MORD NA POLSKIM KRÓLU
Próba porwania, która zakończyła się śmiercią władcy

SZALEŃCZA SZARŻA
Atak brytyjskiej kawalerii na Krymie przeszedł do historii

ADMIRAŁ U STERU WĘGIER
Jak Miklós Horthy manewrował między Niemcami i Sowietami

NR 9(128)/2023 WRZESIEŃ 2023

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Gdyby Hitler wygrał…

HORROR ZWYCIĘSKIEJ III RZESZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031

eprasa.pl 30d58988c7



TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

KONFERENCJA

„Prawna obrona przed polonofobią”

już w październiku!

KŁAMCY PRZED SĄDEM
jak Polacy bronią dobrego imienia swojego narodu

SKUTECZNA POLITYKA HISTORYCZNA
Czego Polska może się nauczyć m.in. od Izraela?

MANIPULACJE, KŁAMSTWA I POMÓWIENIA
jak działają środowiska wrogie Polsce

EDUKACJA I WALKA O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ NA TEMAT II WOJNY ŚWIATOWEJ

Fundusz Sprawiedliwości
Ministerstwo Sprawiedliwości

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 30d58088c7

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska,**
Magda Zubrycka-Wernerowska
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż)

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon.–pt. w godz. 10.00–16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

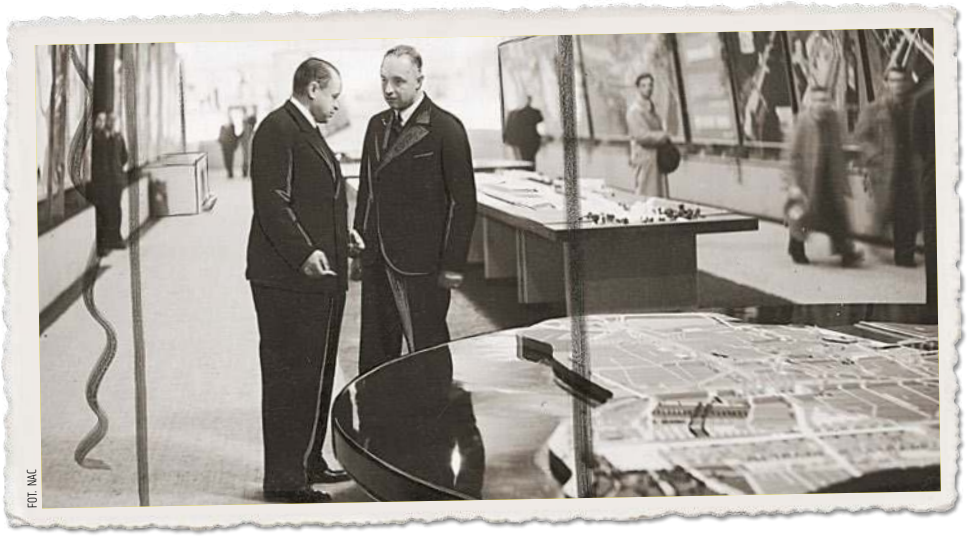
ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 13 października 1938 r.

Prezydent Warszawy Stefan Starzyński (z lewej) na wystawie „Warszawa wczoraj, dziś i jutro"



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Alternatywny koszmar

Co by było, gdyby III Rzesza nie popełniła kilku kluczowych błędów i wygrała wojnę w Europie? Często gdybologia kompletnie nie ma sensu, ponieważ nie mamy pojęcia, jak w alternatywnej rzeczywistości zachowywaliby się poszczególni gracze. W przypadku hitlerowskich Niemiec mamy jednak podstawy, na których możemy oprzeć wizję tego horroru. Niemcy zostawili bowiem po sobie konkretne plany na lata po wygranej przez siebie wojnie. Najbardziej koszmarny z nich wszystkich to Generalny Plan Wschodni (Generalplan Ost – GPO), w którego trakcie naziści zgładziliby kilkadziesiąt milionów Słowian (wszyscy europejscy Żydzi już dawno byliby wtedy wymordowani). Niemcy mieli realizować GPO przez kilka dekad po wygranej wojnie, mordując i wysiedlając całe narody leżące w ich „Lebensraumie". Polacy już w trakcie wojny stali się ofiarami swego rodzaju programu pilotażowego GPO, gdy Niemcy postanowili wysiedlić mieszkańców Zamojszczyzny i sprowadzić w to miejsce niemieckich osadników.

Czy koszmar III Rzeszy panującej nad Europą nie miał prawa się zdarzyć? Jak zauważa prof. Richard Overy, wybitny znawca drugiej wojny światowej, w udzielonym nam wywiadzie, gdyby Niemcy uniknęli kilku kluczowych błędów, historia mogłaby się potoczyć w zupełnie innym, jeszcze mniej łaskawym dla Polaków kierunku. Wystarczyłoby już nawet, żeby w 1941 r. Hitler w odpowiednim momencie zatrzymał Wehrmacht...

Jak pokazuje w swoim tekście Radosław Wojtas, niejeden utalentowany pisarz wziął na warsztat wizję zwycięskiej III Rzeszy. Te opowieści różnią się oczywiście w szczegółach, ale łączy je jedno: przekonanie, że zwycięstwo nazizmu byłoby istną apokalipsą dla ludności „niearyjskiej". W tym numerze również my – bazując na tym, jak sami Niemcy wyobrażali sobie świat po wojnie – malujemy horror zwycięstwa III Rzeszy. Zastanówmy się więc, jak wyglądałaby niemiecka Europa świętująca 80. urodziny Führera... ©℗

eprasa.pl 30d58088c7



/ TEMAT NUMERU

.6 JAKUB OSTROMĘCKI
Koszmar nazistowskiego triumfu

.11 RICHARD OVERY
Największy błąd Hitlera

.14 TOMASZ STAŃCZYK
Plan Germania

.18 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Stracone szanse i złe wybory

.22 RADOSŁAW WOJTAS
Nowy brunatny świat

/ CZASY I LUDZIE

.26 LESZEK LUBICKI
Mord na królu Polski

.31 PIOTR SEMKA
Najważniejszy zegar Rosji

.34 MAREK GAŁĘZOWSKI
Kresowi oficerowie – obrońcy Warszawy

.38 ANNA SZCZEPAŃSKA
Imperium Rhodesa

.42 PIOTR KOSMALA, RYSZARD MOZGOL
Król życia i polityczny wizjoner

.46 ANDRZEJ CHWALBA
Upadek kmiecia

.49 MIKOŁAJ IWANOW
Zbrodnia 00486

.52 SŁAWOMIR KOPER
Salon Niezależnych

.56 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Admirał u steru Węgier

/ CO CZYTAĆ

.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ
„Człowieku, to Słowacki”

.64 RECENZJE

/ FELIETONY

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Miły pokój

.69 PIOTR SEMKA
Tylko bikiniarzy żal

/ WRZESIEŃ 1939 R.

.70 TOMASZ STAŃCZYK
Ludobójstwo Einsatzgruppen

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Szaleńcza szarża pod Bałakławą

.78 MICHAŁ MACKIEWICZ
Proteza generała Sowińskiego

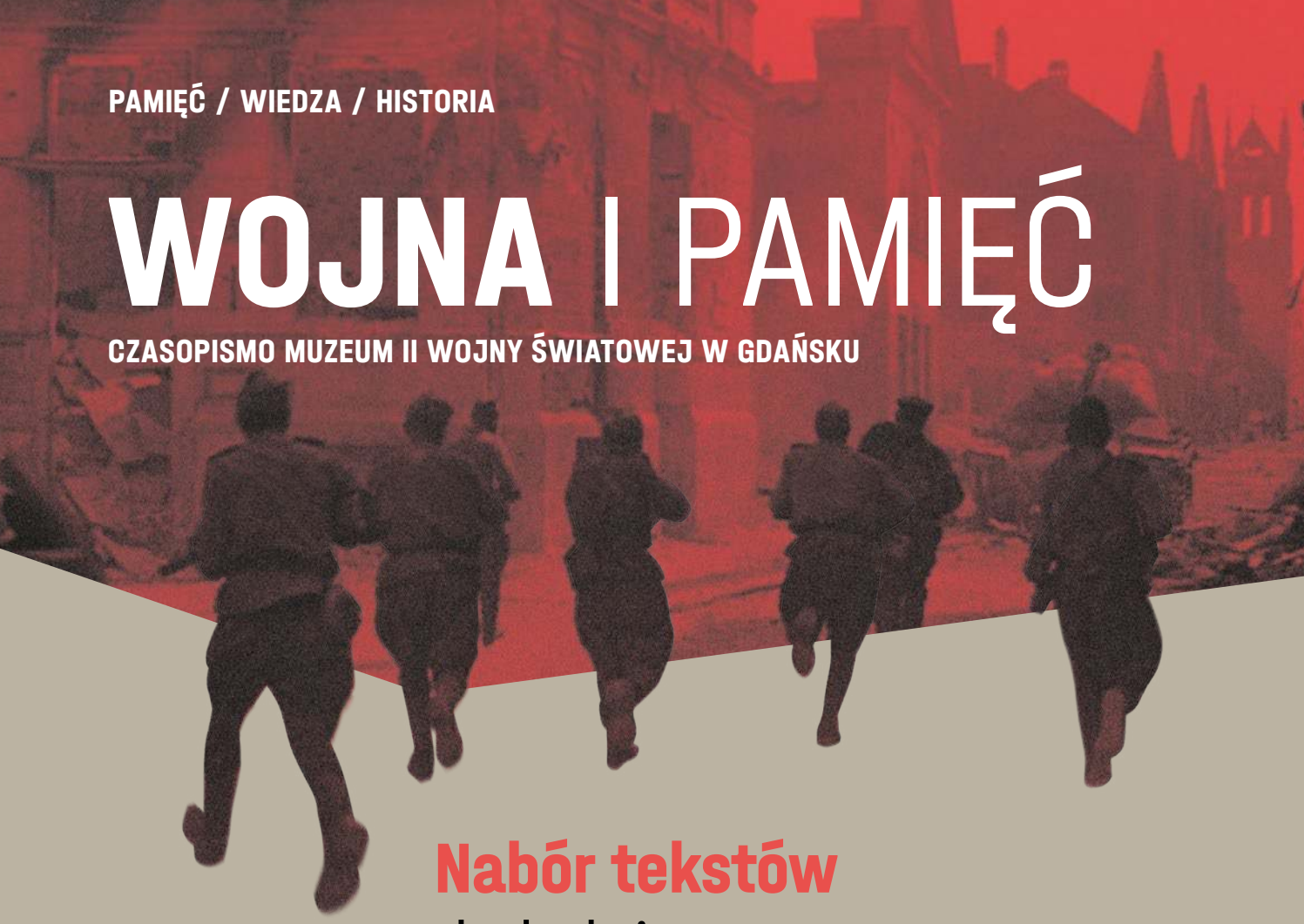
/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Krew na ulicach Lwowa

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Szwajcarzy na pomoc Polakom

eprasa.pl 30d58088c7



PAMIĘĆ / WIEDZA / HISTORIA

WOJNA I PAMIĘĆ

CZASOPISMO MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ W GDAŃSKU

Nabór tekstów

do kolejnego numeru czasopisma

Termin **31 stycznia 2024 r.** → Więcej szczegółów na **muzeum1939.pl**

„Wojna i Pamięć" znajduje się na liście czasopism punktowanych MEiN. Za publikację na łamach periodyku jest przyznawanych **140 punktów**.

Poprzednie numery rocznika są dostępne w naszym sklepie internetowym **muzeum1939.comarch-esklep.pl** i w stacjonarnych punktach sprzedaży.

Muzeum II Wojny Światowej

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 30d58088c7



Iluminacja koło Bramy Brandenburskiej w 50. rocznicę urodzin Adolfa Hitlera
FOT. WISSEN MEDIA VERLAG GMBH/PICTURE ALLIANCE/DPA/PAP

20 lat po wojnie / Niemieckie plany wobec Europy

Koszmar nazistowskiego triumfu



Jakub Ostromęcki

Niemcy byli pewni swojej wygranej i przygotowali plany urządzenia świata po wojnie. Koszmarny projekt Himmlera zakładał, że docelowo między Atlantykiem a Uralem będzie mieszkało 400 mln Germanów. Oznaczałoby to apokalipsę dla Polaków, innych Słowian oraz Żydów

Gunther van Drunen, 45-letni weteran 23. Dywizji Grenadierów Pancernych SS „Nederland", przywykł już do wiadomości informujących o napędzaniu wyścigu zbrojeń przez lobby żydowskie w Białym Domu. Nudziły go już artykuły tłumaczące trudne decyzje gospodarcze, które w związku z tym zagrożeniem musiał podejmować starzejący się już kanclerz. Były esesman sam w końcu je pisał. Dwadzieścia pięć lat temu, w czasie zdobywania centrum Leebhaven (dawniej Leningrad), prawie stracił stopę. Zwolniony z wojska w czasie rekonwalescencji odkrył talenty pisarskie i tak został dziennikarzem w holenderskiej edycji gazety „Völkischer Beobachter".

Van Drunen, spełniający wszelkie wymogi rasowe, przedstawiciel jednego z narodów germańskich, od wielu lat był obywatelem Rzeszy. Podobnego zaszczytu dostąpiło kilkanaście milionów Holendrów, Flamandów, Duńczyków, Norwegów i Szwajcarów zadekretowanych jako Niemcy. Byli nawet w tej grupie nieliczni Francuzi, którzy jakimś cudem przetrwali stulecia sączonej im z paryskiego dworu zniewieściałości i dekadencji.

Świat, w którym żył Gunther, był spełnieniem marzeń niemieckich zdobywców. Szwajcaria nie była, jak się okazało, niezdobytą twierdzą i została podzielona między Włochy i Rzeszę. Francuzom pozostawiono satelickie państwo ze stolicą w Vichy, pozbawiając ich oczywiście kolonii. Przyznano też autonomię Bretanii, na której terenie znajdowały się jednak bazy Kriegsmarine oraz wyrzutnie rakiet i potężne stacje radarowe Luftwaffe. Na zachodzie Wielka Rzesza sięgała od Zatoki Biskajskiej do koła podbiegunowego w Skandynawii. Na wschodzie, na Syberii, wzdłuż 70. południka biegła granica z Japonią. Do Niemiec należał Afganistan. Morze Śródziemne wspaniałomyślnie oddano Włochom, ale Afryka Subsaharyjska była kolonią niemiecką.

Gunther od małego nie lubił aroganckich Anglików. W domu miał książki opisujące triumfy floty holenderskiej w XVII w. i późniejsze upokorzenie

eprasa.pl 30d58088c7

kupieckiej republiki. Cieszył się zatem z klęski Wielkiej Brytanii i stworzenia tam marionetkowego rządu. Spełniło się przy okazji odwieczne marzenie Irlandczyków: dzięki Rzeszy panowali nad całą Zieloną Wyspą.

Wielka polityka nie zaprzątała teraz głowy weterana. W jego mieszkaniu na robotniczych przedmieściach Rotterdamu trwała metodyczna krzątanina. Żona i dzieci pakowały walizki. Gunther wertował książkę telefoniczną w poszukiwaniu firm specjalizujących się w dalekich przeprowadzkach. Musiał jeszcze uporządkować swoje papiery i zabezpieczyć nowy nabytek – nową elektryczną maszynę do pisania. Przyszła niedawno pocztą. Na pudle widniało logo fabryki Steyer-Radom. Była znakomita, a kupił ją niesamowicie tanio. Kolega z redakcji mówił, że zarząd tamtejszego zakładu mógł się pochwalić niskimi kosztami pracy...

Dwadzieścia lat po wojnie

Gunther ruszał w podróż na wschód, by objąć darmowe gospodarstwo na Ukrainie. Sam oczywiście nie musiał uprawiać ziemi. Był weteranem SS, a miał stać się wehrbauerem, czyli żołnierzem rolnikiem. Na jego ziemi liczącej ok. 100 ha pracować będą nadający się do zniemczenia ukraińscy chłopi. W czasie podróży weteran zamierzał napisać książkę pt. „Podróż na Niemiecki Wschód – 20 lat po wojnie".

Kolonizacja terenów na wschodzie szła opornie – wygodniccy ze Szwabii, Badenii, Bawarii, Nadrenii czy właśnie Holandii nie zamierzali się ruszać ze swoich dóbr. Jedynymi zachętami były darmowa ziemia i czas podatkowej wolnizny liczący nawet 20 lat. Dopiero zagrożenie ze strony amerykańskich bombowców B-52 skłoniło wielu do emigracji do bezpieczniejszego interioru.

Gunther wraz z rodziną jechał samochodem przez starą Rzeszę jedną z nowo wybudowanych autostrad. Gdzieniegdzie widać było jeszcze skutki anglosaskich bombardowań, ale kraj prezentował się znakomicie. Nie widać było chorych psychicznie i kalek – były



Hitler na froncie. Obraz Emila Schiebego

FOT. US ARMY CENTER OF MILITARY HISTORY WASHINGTON D.C./DOMENA PUBLICZNA





Plakaty werbunkowe obrony przeciwlotniczej i SS

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

esesman wiedział, że to skutek surowej, ale koniecznej polityki, która zabraniała mnożyć się chorym umysłowo – w rasie germańskiej nie ma wszak miejsca dla słabeuszy. Rodziców małoletnich kalek pytano zresztą wprost, czy zgadzają się na podjęcie ryzykownej terapii leczniczej dla swojego dziecka, która jednak ma małe szanse powodzenia. Większość – jak pisano w gazetach – zgadzała się na to. Nie było więc nad czym płakać. Van Drunen nie płakał też nad Kościołem katolickim – od końca wojny w Rzeszy nie budowano już nowych świątyń obcego Germanom pustynnego bożka. Rzesza miała dość bezczelności i głupoty ludzi pokroju biskupa Münsteru von Galena, wytykających kanclerzowi rzekomo niemoralną politykę wobec chorych i niszczenie „tradycyjnej" rodziny. W czasie gdy Rzesza przelewała krew w walce z bolszewizmem, Galen kopał pod nią dołki. Dobrze więc, że w końcu zamknięto go w więzieniu, gdzie wkrótce zmarł.

Weteranowi podobał się sposób, w jaki Rzesza dbała o wzrost liczby ludności po wojennych stratach. Heidi była wprawdzie żoną Gunthera, ale nie jego jedyną kobietą. Z innych związków miał jeszcze pięcioro dzieci. Ich matki otrzymywały od państwa sowity zasiłek. W nagrodę za służbę narodowi i rasie były wręcz hołubione i biada temu, kto nazwałby te nieślubne dzieci bękartami. Inne staroświeckie kobiety mające nieślubne dzieci, dręczone mieszczańskimi wyrzutami sumienia, mogły zawsze złożyć oświadczenie, że człowiek, który je spłodził, zginął na froncie. Kobiecie

eprasa.pl 30d58088c7



Zjazd partii narodowosocjalistycznej (NSDAP) w Norymberdze, 1934 r.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS



Orzeł z koszar 1. Dywizji Pancernej „Leibstandarte SS Adolf Hitler"
FOT. BUNDESARCHIV/WIKMEDIA COMMONS

takiej wyprawiano wówczas ślub ze zmarłym żołnierzem i od tej pory figurowała ona w swoim środowisku jako szacowna wdowa wspomagana oczywiście państwowymi zasiłkami. Zaiste – przyznawał Gunther – nie był to czas na kurczowe trzymanie się judeochrześcijańskiej wizji rodziny.

W Holandii, którą zostawił za sobą, i w reszcie Rzeszy nie było już Żydów. To przez żydowski bank zbankrutował niegdyś sklep jego ojca, to oni byli wśród bolszewików, z którymi bił się w Rosji. Podobno wywieziono ich gdzieś daleko na Syberię, separując od Aryjczyków – roznosili przecież choroby. Podobno część z nich zmarła, ale sami byli sobie winni. W sumie niewiele już to Gunthera obchodziło. Zamiast Żydów wolał podziwiać most na Łabie w Hamburgu, większy niż ten w San Francisco, oraz muzea w skandynawskim Trondheim i pruskim Königsbergu grupujące dzieła niemieckich mistrzów, zazdrośnie ukrywane dawniej przez nieistniejące już państwa.

Plany III Rzeszy

Oczywiście żaden taki Gunther weteran nie istniał. Powyższy wstęp nie jest jednak historią aż tak alternatywną. Plany Adolfa Hitlera i Heinricha Himmlera w kwestii urządzenia wielkiej germańskiej Rzeszy i rolniczego osadnictwa na wschodzie są bowiem całkiem nieźle udokumentowane. Ewentualna wygrana III Rzeszy w drugiej wojnie światowej mogłaby spowodować, że sny te stałyby się rzeczywistością. Kwestię apetytów geograficznych i przyszłego systemu państwa Hitlera w przystępny sposób przedstawia Gerhard L. Wienberg w „Wizjach zwycięstwa". Opisana tam narodowosocjalistyczna rewolucja obyczajowa miała być rozpisana na etapy. Niemieckie społeczeństwo lat 40. nie było gotowe na nową wizję rodziny propagowaną przez SS. W czasie wojny opisane wyżej przypadki ślubu ze zmarłym żołnierzem wymagały zatem przedstawienia przed sądem listów i zeznań świadków potwierdzających, że poległy w istocie kochał osamotnioną ciężarną kobietę i chciał z nią mieć dzieci. Dopiero wtedy taka kobieta otrzymywała prawo do zasiłku. Akcję T4 opisuje z kolei drobiazgowo Aly Götz w książce „Obciążeni. Eutanazja w nazistowskich Niemczech". III Rzesza, na skutek protestów Kościoła katolickiego, musiała w czasie wojny ukryć akcję mordowania chorych psychicznie. „Führer chce mieć spokój w kraju" – zanotował w swoich dziennikach Goebbels.

Od 1942 r. chorych psychicznie nie mordowano więc w komorach gazowych, ale potajemnie głodzono lub wstrzykiwano im truciznę pod pretekstem „leczenia". Biskupowi von Galenowi nie zamierzano jednak puścić protestów płazem. Goebbels konkludował: „Kwestię kościelną rozwiąże się po wojnie za jednym zamachem". Oznaczało to wprost dechrystianizację starej Rzeszy. Obłudne wyparcie ze świadomości Niemców ludobójstwa popełnionego przez ich władze skwitował biograf Rommla, oficer amerykańskiego wywiadu wojskowego Charles F. Marshall. Odnosił się akurat do żon oficerów, ale jego puentę da się zastosować też do reszty społeczeństwa: „Wiedziały tyle, by wiedzieć, że nie chcą wiedzieć więcej, niż wiedziały".

Dwadzieścia lat po wojnie Europa Środkowa i Wschodnia wyglądałyby kompletnie inaczej niż przed konfliktem. Ziściłby się Generalny Plan Wschodni, i to w swoim najstraszniejszym, maksymalnym wymiarze. Plan ten – w zasadzie cała seria rozporządzeń, okólników i opinii eksperckich – zaczął nabierać kształtów już w 1939 r. 25 listopada 1939 r. Ehrard Wetzel – ekspert Urzędu do spraw Polityki Rasowej NSDAP – stworzył dokument pt. „Sprawa traktowania byłych polskich obszarów z rasowo-politycznego punktu widzenia". Dotyczył on głównie ziem polskich wcielonych do Rzeszy. Szybko gotowe były jednak założenia dla całej Europy Środkowej. Wymyślano je w Głównym Urzędzie Rasy i Osadnictwa SS. Zagadnienie to badał Czesław Madajczyk, a jednym ze słynniejszych opracowań dotyczących losów całej Europy pod rządami zwycięskiej Rzeszy jest praca Isabel Heinemann „Rasa, ziemia, niemiecka krew. Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS i nowy porządek rasowy Europy".

Gdyby obłędny plan wszedł w życie, Polacy byliby spauperyzowaną, zdegenerowaną w większości diasporą żyjącą w małych skupiskach od wybrzeży Atlantyku do Uralu. Osiemdziesiąt procent etnicznych Polaków, czyli ok. 20 mln, zniknęłoby z terytoriów dawnej II Rzeczypospolitej. A konkretnie, odnosząc się do rzeczywistości okupacyjnej, z ziem wcielonych do Rzeszy, Generalnego Gubernatorstwa, fragmentów Komisariatu Rzeszy Wschód i Komisariatu Rzeszy Ukraina. Inteligencja, działacze społeczni, czołowi przedsiębiorcy, politycy, a także oporni biskupi trafiliby do obozów koncentracyjnych lub też zostaliby rozstrzelani w lasach. Większość wypędzonej populacji trafiłaby na zachodnią Syberię, pod granicę z Japonią. Wetzel w komentarzu do pomysłów swego szefa Heinricha Himmlera proponował

eprasa.pl 30d58088c7

wszakże plan alternatywny, dla nas nieco bardziej łaskawy: „Brazylia ze swoją pojemnością [...] potrzebuje gwałtownie ludzi [...]. Przeniesienie milionów najbardziej dla nas niebezpiecznych Polaków w drodze emigracji [...] do Brazylii nie wydaje się niemożliwe [...]. W stosunku do przeważającej jednak części rasowo niepożądanych Polaków należy brać pod uwagę przesiedlenie na Wschód". Exodus Polaków do Brazylii przez Atlantyk musiałby się odbyć albo za zgodą USA, albo po pokonaniu ich floty. Byłoby to zadanie trudne, łatwo sobie zatem wyobrazić propagandowe i przewrotne plakaty na ulicach okupowanych polskich miast: „Żydowski reżim waszyngtoński barierą dla polskiego rozwoju!". Oprócz Polaków na Syberię trafiłoby też 50 proc. Czechów, 65 proc. Ukraińców i 75 proc. Białorusinów. Wielu Ukraińców osiedlono by we wschodniej części Generalnego Gubernatorstwa, gdzie – jak pokazały dzieje Zamojszczyzny z roku 1943 – byliby wobec nas uprzywilejowani. Dwadzieścia jeden procent Polaków wysiedlonych z Zamojszczyzny miało docelowo skończyć w krematoriach Auschwitz i Majdanka. Był to swoisty program pilotażowy dla reszty terenów Gubernatorstwa, toteż po zwycięstwie Rzeszy stosowany byłby pewnie ten sam przelicznik.

Koniec Polaków

Jaki los czekałby Polaków, którzy pozostaliby na ziemiach wcielonych i w Generalnym Gubernatorstwie? Odpowiedział na to Hitler w rozmowie z Martinem Bormannem, który 2 października 1940 r. zanotował: „Robotnikowi niemieckiemu trzeba zapewnić możliwość wyniesienia się na wyższy poziom, co w przypadku Polaków nie wchodzi w rachubę. Generalne Gubernatorstwo nie powinno w żadnym wypadku stać się zamkniętym i jednolitym obszarem gospodarczym, który sam wytwarza całkowicie lub częściowo potrzebne mu artykuły przemysłowe, lecz ma być dla nas rezerwuarem do czarnych robót: cegielnie, budowa dróg. Nie można zrobić ze Słowianina nic innego niż to, czym już jest z natury". Na Zamojszczyźnie doszła jeszcze do tego kolejna funkcja: parobków i robotników rolnych w gospodarstwach u niemieckich osadników.

W Generalnym Gubernatorstwie istniało szczątkowe legalne polskie szkolnictwo. Bez historii, geografii, WF, ze zredukowanym językiem polskim. Z powodu biedy, braku transportu, zamykania szkół na zimę, zajęcia budynków przez wojsko i braku nauczycieli do szkół tych chodziło raptem 20 proc. uczniów w stosunku do liczby z roku 1939. Nauka w ostatnich latach odbywała się raz w tygodniu. Nie wiadomo oczywiście, jak wyglądałaby sytuacja po zwycięstwie Rzeszy, ale Himmler powiedział wszak, że wystarczy, aby Polacy umieli liczyć do 500. Istniałyby też pewnie wciąż szkoły zawodowe i rolnicze, ale w dużej części byłoby to już nauczanie płatne.

Tereny Generalnego Gubernatorstwa zamieszkane przez resztki Polaków byłyby więc krainą, w której na obcego podróżnego spoglądaliby wynędzniali, niedożywieni, nieufni autochtoni. Z powodu wymordowania elit i braku własnych

REKLAMA



eprasa.pl 30d58088c7



Wiec w berlińskim Pałacu Sportu w 1943 r. FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

instytucji w tej zatomizowanej grupie szerzyłyby się wszelkie patologie, m.in. alkoholizm, brak szacunku do pracy i własności. Byłby to też kraj z dużo mniejszym rozdrobnieniem gruntów rolnych – osadnictwo niemieckie wymagało wszak dużych gospodarstw.

Na miejsce wymordowanych i wypędzonych Polaków przybyłyby miliony Niemców. Plan Himmlera zakładał, że docelowo między Atlantykiem a Uralem mieszkałoby 400 mln Germanów! Tak jak w opowieści Gunthera bogaci rolnicy z Nadrenii, Badenii, Szwabii, Bawarii nie za bardzo kwapili się, by ruszać na Dziki Wschód, toteż najpierw ściągano tu Niemców bałtyckich, z Wołynia, Besarabii czy Dobrudży.

Ich osadnictwo przybrałoby na mapie formę wielkich pasów. Jeden ciągnąłby się od Nowego Tomyśla do Łodzi. Tu jedna odnoga podążałaby ku Ciechanowowi, a druga ku Częstochowie, tworząc kordon oddzielający tereny zachodnie od zamieszkałego przez kilka milionów Polaków i Ukraińców Generalnego Gubernatorstwa. Drugi mniejszy pas szedłby przez Sępólno Krajeńskie, Bydgoszcz, Chełmno, Grudziądz. Następny wzdłuż Narwi do Suwałk. Ponad połowa gospodarstw rolnych należałaby do Niemców – reszta do Polaków pracujących we „wsiach służebnych". „Germanizujemy ziemie, nie ludzi" – powtarzał Hitler. Potrzeby wojny spowodowały jednak, że trzeba było zgermanizować część Polaków. Na Pomorzu Zachodnim i Śląsku zostałoby ich nieco więcej, bo tamtejsi gauleiterzy Forster i Bracht chcieli właśnie Polaków wynarodowić, a nie wysiedlać. W niektórych okręgach 80–90 proc. ludności wpisane zostało na trzecią i czwartą folkslistę, czyli byli osobami pochodzenia niemieckiego, które przed 1939 r. zintegrowały się z Polakami lub wręcz za Polaków się uważały.

Ze wspomnianych wyżej 80 proc. wysiedlonych Polaków pewna część trafiłaby do Rzeszy. Wśród nich byliby robotnicy przymusowi oraz ludzie z trzeciej i czwartej folkslisty". Oprócz tego do Rzeszy wywieziono by Polaków „zdatnych do zniemczenia", „o odpowiednich cechach rasowych". We wspomnieniach polskiego lekarza Józefa Rembacza, przydzielonego do pracy w łódzkim obozie RSUHA, czytamy na temat selekcji rasowych: „Badania służyły ocenie postawy, wagi, budowy ciała, kształtu czaszki, szerokości twarzy, wielkości i rozstawu oczu, barwy oczu i włosów, gęstości włosów. W wyniku badania ustalono odpowiednią formułę rasową. Badania te prowadzili specjaliści w kwestiach rasowych, tzw. Eignungsprüfehr – selekcjonerzy". „Badanie" to dotyczyło akurat Niemców z pierwszej i drugiej folkslisty, ale według tej oryginalnej formuły kwalifikowano by też Polaków.

Dramat dzieci

W czasie wojny rozpoczęło się germanizowanie i porywanie dzieci. W dokumencie „Kilka myśli o traktowaniu obcoplemieńców na wschodzie" Himmler zanotował: „Jeśli uznamy takie dziecko za naszą krew, to oznajmi się rodzicom, że pójdzie ono do szkoły w Niemczech i na stałe w Niemczech zostanie. Żadnych kontaktów z rodzicami. Przed rodzicami takiego dziecka dobrej krwi będzie pozostawiona możliwość wyboru: albo dziecko oddać – wtedy przypuszczalnie nie będą więcej płodzić dzieci i zmniejszy się niebezpieczeństwo, że ten wschodni naród podludzi otrzyma, przez takich ludzi z dobrą krwią, niebezpieczną dla nas i równą nam warstwę przywódców. Albo też rodzice zobowiążą się wyjechać do Niemiec i tam staną się lojalnymi obywatelami państwa". Dzieje tych dzieci wskazują, że wśród nich germanizacja osiągnęłaby największe sukcesy.

Różnie układałoby się życie Polaków w starej Rzeszy. Robotnicy przymusowi nosili specjalne naszywki z literą „P", nie mogli opuszczania miejsca zakwaterowania, utrzymywać bliskich stosunków z Niemcami. Przeznaczeni do zniemczenia mieli dowód tożsamości, dokumenty podróżne i takie same przydziały żywności, zarobki i prawo do pomocy społecznej jak reszta Niemców. Los takich Polaków dobrze ilustruje historia rodziny Jasków, przytoczona przez Heinemann. Mieszkali oni u bogatego rolnika Ulricha Senfa z Mehrow koło Berlina. Na Boże Narodzenie gospodarz obdarował ich świeczkami, „aby mogli niemieckim zwyczajem świętować pod rozświetloną choinką". Takie „spoufalanie się z Polakami" wywołało wściekłość lokalnego NSDAP. Senf, zgodnie z prawem uznając jednak Jasków za Niemców, napisał skargę do samego Ottona Hofmanna, szefa jednej z komórek RUSHA.

W Rzeszy można by też spotkać Polaków mieszkających we Francji, którzy według pokrętnej nazistowskiej logiki zostali uznani za wartościowych rasowo. Bez zbędnych ceregieli nadano im niemieckie obywatelstwo, nie pytając, jaki mają stosunek do systemu politycznego III Rzeszy i jej podbojów.

Być może w wyniku postępującej klęski Sowieci wypuściliby z łagrów w 1941 r. dużo większą liczbę Polaków. Tak samo jak w rzeczywistości ocaleni pod dowództwem gen. Władysława Andersa opuściliby ZSRS przed nadejściem Niemców. Gdyby Wielka Brytania została pokonana, musieliby oni uciekać przed Niemcami i Sowietami nie na Bliski Wschód – jak to się stało w 1942 r. – ale prawdopodobnie do Indii. Tu wiedliby pewnie żywot emigrantów, licząc na to, że rząd USA, potrzebując ludzi do walki z III Rzeszą, wyśle po nich flotę. Wśród tych tułaczy znalazłoby się sporo inteligencji i byłby to zapewne ostatni prawdziwy bastion polskości na świecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 30d58088c7

Wywiad / Z prof. Richardem Overym, brytyjskim historykiem, autorem książki „Trzecia Rzesza. Historia upadku imperium”



rozmawia Piotr Włoczyk

Największy błąd Hitlera



Niemieckie oddziały pancerne na stepach Rosji

FOT. BUNDESARCHIV/WIKIMEDIA COMMONS

PIOTR WŁOCZYK: Czy III Rzesza miała realne szanse na wygranie wojny w Europie?

PROF. RICHARD OVERY: Gdyby Hitler nie zdecydował się w 1941 r. na zaatakowanie ZSRS, być może udałoby mu się zneutralizować Wielką Brytanię. W takim przypadku III Rzesza miałaby pod swoją kontrolą olbrzymie połacie Europy. Wojna mogłaby przybrać zupełnie inny charakter...

Otwarcie drugiego frontu w 1941 r. było tym jednym, fatalnym błędem Hitlera?

Tak. Błędy popełnione przez Hitlera w 1941 r. były decydujące dla losów Europy.

Aż do połowy 1941 r. Niemcy mogli być optymistami?

Jak najbardziej. Udało im się do tego czasu wygrać m.in. z Polską i Francją, podbić Bałkany, wyrzucić Brytyjczyków z Grecji... Do rozpoczęcia inwazji na Związek Sowiecki Niemcom szło całkiem dobrze, prowadzili wojnę w sposób dosyć kompetentny i cieszyli się przewagą, którą dawał im dobry sprzęt. Rzut oka na mapę, na której większość Europy znajdowała się pod dominacją Berlina, pokazuje, że Niemcy byli wtedy u szczytu potęgi. Momentem, który zadecydował o kształcie wojny w Europie, była decyzja o zaatakowaniu ZSRS.

Rozważając scenariusz alternatywny, musimy się przede wszystkim zastanowić nad tym, czy w przypadku odłożenia starcia ze Stalinem Hitler byłby w stanie w 1941 r. pokonać Wielką Brytanię. Oczywiście trudno tu powiedzieć coś kategorycznego, ale niewykluczone, że Niemcom udałoby się w 1941 r. tak „przycisnąć” Brytyjczyków, że Londyn nie miałby innego wyjścia i musiałby prosić Niemców o pokój.

Jak ocenia pan poprowadzenie przez Niemców bitwy o Anglię? Przedwczesna zmiana celu ataków Luftwaffe z lotnisk RAF na miasta, przede wszystkim Londyn, była niewybaczalną pomyłką?

Ten przykład często jest podawany jako strategiczny błąd Hitlera, ale to dopiero widać z perspektywy czasu. Niemcy nie mieli wówczas zbyt precyzyjnych danych wywiadowczych i rzeczywiście uważali, że udało im się już w znacznej mierze pokonać RAF, w związku z czym mogli skierować swoje samoloty na Londyn. Tymczasem RAF wciąż dysponował pokaźnymi siłami.

Jeżeli Niemcom udałoby się zamknąć najpierw front zachodni, to o ile wzrosłyby ich szanse na wygranie z ZSRS?

Zwycięstwo w wojnie z Sowietami nawet w takim scenariuszu i tak byłoby bardzo, ale to bardzo trudne. Kluczowe czynniki grały przeciw Niemcom – rozmiar tego gigantycznego państwa, brak dobrych dróg, ostry klimat, a do tego nieprzebrane zasoby ludzkie i surowcowe. Gdyby taką operację planował wówczas racjonalnie myślący przywódca, to doszedłby zapewne do wniosku, że atak na tego kolosa jest zbyt ryzykowny.

Jednak przecież sowiecka armia zaczęła się sypać jak domek z kart na początku operacji „Barbarossa”.

I tylko dlatego może się nam wydawać, że plany III Rzeszy miały niemałe szanse na powodzenie. Z wielu różnych względów sowieckie siły zbrojne były w 1941 r. w kiepskim stanie. Gdyby jednak Armia Czerwona wyglądała wtedy jak sowieckie wojsko, które walczyło na froncie wschodnim niecałe dwa lata później, Niemcy dużo szybciej napotkaliby „ścianę”.

eprasa.pl 30d58088c7



U-Boot na Atlantyku

FOT. AUSTRALIAN WAR MEMORIAL/WIKIMEDIA COMMONS

Atak Niemiec na Związek Sowiecki w 1941 r. był błędem na wielu płaszczyznach. Zacznijmy od gospodarczej. ZSRS zaopatrywał III Rzeszę w kluczowe surowce. Gdyby Hitler skupił się na dociśnięciu Wielkiej Brytanii, by zmusić ją do podjęcia rokowań, mógł przynajmniej odczekać rok lub dwa lata przed konfrontacją ze Stalinem. Przez ten czas zebrałby siły niezbędne do wojny na wschodzie. Gdyby nieco lepiej rozegrał kampanię w Afryce, byłby zapewne w stanie zdobyć dostęp do bliskowschodnich pól naftowych. Co by się stało, gdyby Niemcom udało się w takim scenariuszu rozbić Armię Czerwoną? Zdobycie niemal nieograniczonych zasobów sowieckich zmieniłoby Niemcy w supermocarstwo, z którym bardzo trudno byłoby wygrać nawet Ameryce.

Niemcy nie wybrały jednak wariantu sekwencyjnej walki ze swoimi wrogami. Hitler postanowił walczyć ze wszystkimi naraz, co musiało się dla Niemców skończyć katastrofą.

Czy jednak realne byłoby przewidywanie, że stan pokoju między Niemcami a Związkiem Sowieckim mógł w latach 40. trwać dłuższy czas? Na pewno słyszał pan o tezie Wiktora Suworowa, który przekonuje, że Stalin szykował się wtedy do napaści na Niemcy i Hitler jedynie uprzedził atak ZSRS...

Nigdy nie brałem na poważnie tej tezy. Stalin zawsze był ostrożny. Powoli budował potęgę wojskową swojego państwa i starał się stworzyć wokół niego strefę bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie i w Europie Wschodniej. Nie ma żadnych poważnych dowodów na to, że Stalin szykował się do uderzenia na Niemcy. Być może w latach 50. Stalin zdecydowałby się w końcu podbić resztę Europy, ale w 1941 r. nic nie zapowiadało uderzenia Sowietów na zachód. Nawiasem mówiąc, opowieść o tym, że Hitler musiał uderzyć na ZSRS, by uprzedzić atak Stalina, była po 1945 r. na rękę wielu Niemcom.

Jakie błędy popełnił Hitler na wschodzie, gdy już zdecydował się uderzyć na Sowietów? Odciągnięcie części sił Wehrmachtu od uderzenia na Moskwę latem 1941 r. i skierowanie ich na Ukrainę znalazłyby się na czele takiej listy?

Różnie można na to patrzeć. Zajęcie Moskwy, jak przekonał się Napoleon, nie musi oznaczać końca wojny. Sowieci planowali wycofywanie się na wschód, zresztą przerzucili tam większość swojego przemysłu, więc przejęcie stolicy nie rozwiązywało głównych problemów Niemców. Ponadto bez uderzenia na Ukrainę wszystkie tamtejsze zasoby byłyby do dyspozycji Armii Czerwonej. Hitler wyciągnął pewne lekcje z porażki Napoleona i dlatego nie był wielkim entuzjastą zajmowania Moskwy za wszelką cenę. Bardziej zależało mu na Ukrainie, Donbasie i dalej – na polach roponośnych na południu ZSRS.

Jednak w przeciwieństwie do czasów Napoleona Moskwa była wielkim węzłem kolejowym.

Na pewno byłby to niemały problem dla sowieckiej logistyki, ale jednak Sowieci byli dosyć elastyczni i to, co pokazali w czasie wojny, każe przypuszczać, że dość szybko przebudowaliby system kolejowy. Moskwa wcale nie była decydującym punktem na mapie.

Błędem było na pewno ślepe, masowe mordowanie ludności sowieckiej i jeńców wojennych. Miliony sowieckich obywateli patrzyły przecież początkowo na Niemców jak na wyzwolicieli.

To zdecydowanie był błąd, ale można jednak zrozumieć, dlaczego dla Hitlera, Himmlera i innych zaślepionych nienawiścią rasową ideologów nazizmu masowe mordy były naturalną koleją rzeczy. Niemcy obiecywali przecież zniszczenie „żydowskiego bolszewizmu", skupiając się przede wszystkim na pierwszym członie. Rzeczywiście mnóstwo obywateli sowieckich mieszkających m.in. w państwach bałtyckich, na Białorusi i Ukrainie uważało, że Hitler jest dla nich lepszym wyborem niż Stalin. Ale bardzo szybko miliony osób, które widziały w Niemcach wyzwolicieli, zrozumiały, że III Rzesza to państwo jeszcze bardziej mordercze niż Związek Sowiecki. I dlatego – chcąc nie chcąc – poszli się bić za Stalina. Oczywiście nie brakowało kolaborantów, ale jednak większość obywateli sowieckich widziała w Niemcach śmiertelne zagrożenie.

Wydaje się, że zwłaszcza to, jak Niemcy traktowali sowieckich jeńców wojennych, było dla nich w dłuższej perspektywie zabójczo przeciwskuteczne.

Oczywiście, żołnierze Armii Czerwonej rozumieli dzięki temu, co oznacza niewola. Inna rzecz to utracony potencjał gospodarczy. Gdyby Niemcy nie zabili 2 mln sowieckich jeńców, to byliby w stanie wykorzystać ich jako siłę roboczą, a przecież przez całą wojnę mieli z tym wielki problem.

Pozwolenie feldmarszałkowi Friedrichowi Paulusowi na odwrót spod Stalingradu mogło wpłynąć znacząco na bieg wojny na wschodzie?

Nie wydaje mi się. Gdyby Hitler pozwolił Paulusowi wycofać się nad Don, to jego żołnierze walczyliby po prostu gdzie indziej i gdzie indziej by zginęli.

Wypowiedzenie przez Niemcy 11 grudnia 1941 r. wojny USA wydaje się aktem szaleńca. Czy Hitler kompletnie stracił tamtego dnia rozum?

Na ten temat napisano mnóstwo książek i historycy toczą tu gorące dyskusje. Wiedząc, jakie wrażenie na świecie zrobiły wieści o ataku Japonii na Pearl



RICHARD OVERY
„TRZECIA RZESZA. HISTORIA UPADKU IMPERIUM"
WYDAWNICTWO BUCHMANN

eprasa.pl 30d58088c7



Żołnierze Afrika Korps

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Harbor, nieco łatwiej zrozumieć, dlaczego Hitler postanowił wypowiedzieć Ameryce wojnę. Niemiecki dyktator uważał po prostu, że Japończycy co najmniej na dwa lata uwiążą Amerykanów na Pacyfiku i Niemcy będą się mogli wówczas zająć amerykańską flotą wojenną i handlową na Atlantyku, odcinając Wielką Brytanię i ZSRS od zaopatrzenia.

Czy Hitler nie miał ekspertów, którzy pokazaliby mu wykresy z potencjałem produkcyjnym i ludnościowym Ameryki?

Ależ oczywiście, że Niemcy mieli świetnych ekspertów. Tylko że Hitler ich nie słuchał. Najważniejszym z nich był gen. Georg Thomas, główny strateg ekonomiczny Wehrmachtu. W desperacki sposób starał się on pokazać Hitlerowi rzeczywistość, która czekała na Niemców po wypowiedzeniu wojny Ameryce. Najbliżsi współpracownicy Hitlera zablokowali mu jednak dostęp do wodza. Hitler podzielał stereotypowe spojrzenie na Amerykę, które panowało wśród czołowych nazistów. Uważali oni, że Amerykanie nie są ludźmi wojny, że są słabi i że dobrze wychodzi im produkowanie lodówek, ale już nie czołgów czy samolotów. To oczywiście był gigantyczny błąd, który trudno wytłumaczyć w racjonalny sposób. Niemcy na pocieszenie mogli jednak mówić, że taki sam błąd popełnili Japończycy.

Czy dołączenie do wojny z ZSRS Japończyków mogło przechylić szalę na stronę państw osi?

Ribbentrop starał się namówić w 1941 r. Japończyków, by dołączyli do wojny ze Związkiem Sowieckim, ale Tokio z różnych względów wybrało alternatywny scenariusz wojny.

Wspólny atak III Rzeszy i Japonii na ZSRS byłby końcem państwa Stalina?

Ciężko powiedzieć. Japońska armia stacjonująca w Chinach była dosyć słaba, co pokazała choćby bitwa stoczona z Armią Czerwoną w 1939 r. nad Chałchin-Goł. Japończycy nie mieli dobrych czołgów i broni przeciwpancernej. A pamiętajmy, że walka z Sowietami na Syberii byłaby jeszcze trudniejsza niż atak na ZSRS od zachodu. I właśnie dlatego, wiedząc, że taki scenariusz nie ma dużych szans na powodzenie, Japończycy nie zaatakowali Sowietów.

Czyli Japończycy stwierdzili, że skoro nie mają większych szans w wojnie z Sowietami, to zaatakują... Amerykę?

Dokładnie tak (śmiech). Pamiętajmy jednak, że to miała być wojna morska, a japońska flota była trzecią najpotężniejszą na świecie. Japończycy chcieli utworzyć na Pacyfiku coś na kształt łańcucha obronnego, który byłby dla Amerykanów bardzo trudny do sforsowania. Ten pomysł na prowadzenie wojny miał według planistów japońskich większe szanse na powodzenie niż walka lądowa z Sowietami. W każdym razie w sytuacji, gdy pod koniec 1941 r. Niemcy miały przeciw sobie Wielką Brytanię, Związek Sowiecki, a także Amerykę, nie było już możliwości, by Hitler wygrał wojnę.

Czy jednak na początku 1942 r. państwa Osi nie wygrywały przypadkiem wojny?

Tak mogło się wydawać wielu obserwatorom, ale była to jedynie iluzja. Wynikało to z bardzo pomyślnie układających się dla państw Osi okoliczności w Azji, na Bliskim Wschodzie i w ZSRS, które jednak były chwilowe i nie do utrzymania na dłuższą metę. Po wejściu USA do wojny bilans sił nieubłaganie przechylał się na niekorzyść osi. Wystarczy spojrzeć na dostęp do ropy naftowej, jednego z najbardziej kluczowych surowców dla prowadzenia wojny. Państwa Osi kontrolowały wówczas zaledwie 3 proc. światowych zasobów. Alianci mieli pod kontrolą pozostałe 97 proc. złóż ropy naftowej...

A może jednym z największych błędów Hitlera było budowanie w pierwszych latach rządów potężnej floty nawodnej, zamiast skupić się na inwestowaniu w zabójczo skuteczne U-Booty?

Postawienie od początku na U-Booty na pewno byłoby zauważalne w bitwie o Atlantyk, ale jednak Brytyjczycy zawsze wyprzedzali Niemców na morzu pod względem taktycznym i technicznym. Myślę, że budowanie większej liczby U-Bootów nie pozwoliłoby III Rzeszy zawładnąć Atlantykiem. Niemcy mogli natomiast produkować o wiele więcej czołgów i samolotów w kluczowym okresie wojny. W kręgach wojskowych istniał jednak opór przed masową produkcją, co kojarzyło się Niemcom z „amerykanizacją przemysłu". Niemcy chcieli budować superzaawansowaną broń. I rzeczywiście – generalnie dobrze im to wychodziło, ale produkowali jej zbyt mało.

Czyli zamiast skupiać się na produkowaniu np. tygrysów czy panter, Niemcy powinni byli postawić na prostsze konstrukcje i wytwarzać je masowo?

Oczywiście, choć w 1944 r. przeciętny niemiecki generał powiedziałby pewnie coś innego. Czołg Panzerkampfwagen IV był całkiem udaną konstrukcją i mógł schodzić z taśm montażowych w dużo większej liczbie. Niemcy powinni byli też produkować dużo więcej samolotów. Tymczasem ich produkcja była zadziwiająco źle zorganizowana, co zmieniło się dopiero na przełomie lat 1943 i 1944, gdy Albert Speer zajął się tą działką.

Czy zostało nam coś jeszcze na liście największe błędów III Rzeszy?

Tak. Niemcy mogli wystawić w Afryce Północnej kilka dywizji więcej, co mogło diametralnie zmienić bieg wydarzeń na tamtym teatrze działań. W całej Europie mieli przecież wówczas rozlokowane mnóstwo sił, które kompletnie nic nie robiły. Hitler nie uważał jednak Afryki i Bliskiego Wschodu za priorytet, bo sądził, że uda mu się zdobyć kaukaską ropę. Wysłanie kilku dodatkowych dywizji do Afryki Północnej mogło przechylić szalę zwycięstwa na korzyść Niemców i Brytyjczycy musieliby się wówczas wycofać do Sudanu lub do Afryki Południowej, co zresztą mieli w planach.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Richard Overy jest brytyjskim historykiem, specjalistą w dziedzinie drugiej wojny światowej. W Polsce ukazało się kilka spośród jego najważniejszych książek, m.in. „Trzecia Rzesza. Historia upadku imperium", „1939. Nad przepaścią", a także „Dyktatorzy. Hitler i Stalin".

eprasa.pl 30d58088c7



Makieta gigantycznej Hali Zgromadzeń

FOT. KATERBEGEMOT/WIKIPEDIA/CC BY 3.0

XX w. / Urbanista Adolf Hitler i jego architekt Albert Speer

Plan Germania



Tomasz Stańczyk

W 1950 r. przebudowana stolica Niemiec miała przyćmić największe stolice świata i stać się tak wspaniała jak starożytny Rzym

Naprawdę się starał i brał lekcje rysunku. Cóż z tego, skoro albo było ich za mało – a nie był bogaty z domu – albo nie był wystarczająco zdolny. Komisja egzaminacyjna wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych odrzuciła jego prace i Adolf Hitler nie został studentem. Gdyby historia potoczyła się nieco inaczej, Adolf nie stałby się Hitlerem, którego znamy. Może zostałby scenografem – a pasjonował się operami Wagnera – albo prowadził zajęcia plastyczne dla dzieci. Tak byłoby lepiej dla niego i dla wszystkich.Choć po krachu artystycznych marzeń Hitler wypełnił sobie pustkę polityką, która stała się jego pasją, nigdy nie przestał interesować się sztuką, a w szczególności architekturą. Zamiłowanie do niej łączyło się zresztą z polityką. W stolicy Austro-Węgier zachwyt Hitlera budził Ring, wielki bulwar z reprezentacyjnymi i monumentalnymi budynkami. Jednocześnie nad Dunajem przejął się ideą wielkoniemiecką. Wielonarodowościowa monarchia habsburska, w której coraz trudniej było mówić o przewadze żywiołu germańskiego, nie budziła najmniejszego entuzjazmu Hitlera. Za dużo, jego zdaniem, mieli w niej do powiedzenia Żydzi i Słowianie, a prawdę mówiąc, uważał, że nic nie powinni oni mieć do powiedzenia.

Jako zwolennik idei wielkoniemieckiej i wielkomocarstwowej z nadzieją patrzył na sąsiednie germańskie cesarstwo Hohenzollernów. Jego stolica nie mogła jednak konkurować z Wiedniem, a także Paryżem. Miasta te górowały nad nim swoim rozmachem, budowlami i szerokimi bulwarami. Hitler dobrze to wiedział.

Gdy w 1918 r. Austro-Węgry się rozpadły, Hitler nie uronił łzy nad swoją ojczyzną. Mógł tylko żałować, że do Republiki Weimarskiej nie przyłączono malutkiej teraz, zredukowanej Austrii (20 lat później będzie autorem Anschlussu). Wkrótce stał się przywódcą NSDAP i zaczął na poważnie marzyć o Wielkiej Rzeszy, która miała mieć godną swej wielkości stolicę, a więc i wspaniałą

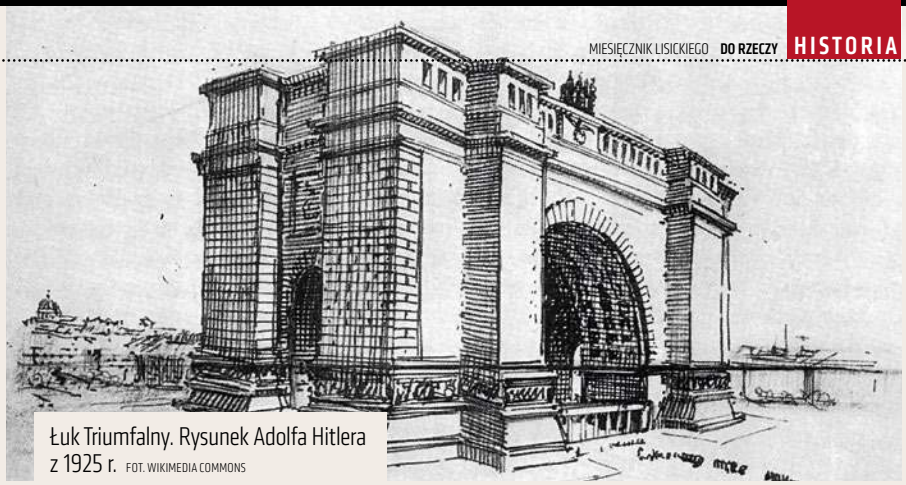
eprasa.pl 30d58088c7

architekturę. Z połowy lat 20. znane są rysunki Hitlera przedstawiające Łuk Triumfalny i Gigantyczną Halę Zebrań.

W „Mein Kampf" Hitler pisał: „Żadna z naszych metropolii nie posiada budowli, która zdominowałaby zarys miasta i która mogłaby stanowić symbol swojej epoki". Taką właśnie miała być monumentalna Hala Zebrań. „Tymczasem tak było w przypadku miast antycznych, każde z nich szczyciło się zabytkiem, z którego mogłoby być dumne. Dla miast starożytnych charakterystyczne nie były rezydencje prywatne, ale budowle publiczne, które nie powstawały dla jakiegoś doraźnego celu, ale zdawały się powołane do wieczności – nie odzwierciedlały bowiem bogactwa pojedynczego właściciela, ale wielkość i ważność społeczeństwa".

Komentując te słowa, Rosa Sala Rose, autorka „Krytycznego słownika mitów i symboli nazizmu", pisała, że Berlin w wizji Hitlera, wzbogacony o imponujące budowle, miał sprawić, by Niemcy pozbyli się kompleksów związanych z przegraną pierwszą wojną światową i stali się dumni z przynależności do wielkiego germańskiego imperium. Nowe oblicze stolicy miało być czynnikiem kształtującym tożsamość narodową i jednoczącym niemieckie społeczeństwo.

Gdy Adolf Hitler został kanclerzem Rzeszy i Wodzem (Führerem) narodu niemieckiego, jego marzenia ujrzenia w Berlinie wspomnianych dwóch monumentalnych budowli zdawały się mieć szanse na realizację. A budowle te były tylko częścią wielkiego urbanistycznego projektu Hitlera. Stolica Niemiec miała odzwierciedlać rosnącą potęgę i ekspansywność III Rzeszy. Hitler nie ograniczał swoich planów tylko do Berlina, monumentalne, patetyczne w wyrazie budowle, związane z władzą państwową, partią i Wodzem, miały powstawać także w innych miastach. W Monachium architekt Paul Ludwig Troost zaprojektował i zrealizował Świątynię Chwały – budowlę, której sercem były sarkofagi narodowosocjalistycznych „męczenników" zabitych podczas tłumienia puczu narodowych socjalistów w 1923 r. Powstały także Führerbau, rezydencja Wodza, i Dom Sztuki Niemieckiej. W Norymberdze zaś na potrzeby zjazdów NSDAP zbudowano Halę Kongresową



Łuk Triumfalny. Rysunek Adolfa Hitlera z 1925 r. FOT. WIKIMEDIA COMMONS



Świątynia Honoru w Monachium (1935 r.)
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIMEDIA COMMONS



Adolf Hitler i Albert Speer
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIMEDIA COMMONS

(Ludwig i Franz Ruffowie) na 50 tys. osób – jej architektura nawiązywała do Koloseum – i wielką trybunę na Zeppelinfeld, licząca 350 metrów długości i inspirowaną Ołtarzem Pergamońskim.

Sztuka klasyczna Grecji i Rzymu oraz XIX-wieczny neoklasycyzm, do których nawiązywały budynki w Monachium i Norymberdze, były obiektem fascynacji Führera. „To, że neoklasycyzm w architekturze monumentalnej stał się stylem obowiązującym, było osobistą decyzją Hitlera" – pisał Piotr Krakowski, autor „Sztuki Trzeciej Rzeszy". Chociaż w Niemczech powstawały budynki w stylu rodzimym, narodowym, to Hitler – jak stwierdzał prof. Krakowski – zupełnie się tymi budynkami ani tym stylem nie interesował, choć były przecież wyrazem niemieckiego ducha i tradycji.

eprasa.pl 30d58088c7

Pasjonowała go tylko architektura monumentalna.

Architekt Führera

Troost zmarł w 1934 r. Hitler, który w sprawach architektury był amatorem – a słowo to nie oznacza bynajmniej dyletanta, lecz miłośnika – i jednocześnie wizjonerskim pasjonatem, potrzebował następcy Troosta. Kogoś, kto jego ideę uczynienia z Berlina wspaniałej stolicy rozrysuje i zrealizuje. Znalazł go w osobie architekta Alberta Speera. Zwrócił na niego uwagę po tym, jak Speer przebudował dla Goebbelsa wnętrza Ministerstwa Propagandy i zrealizował monumentalną oprawę zjazdu NSDAP w Norymberdze. Atutem Speera był młody wiek – gdy Hitler obejmował władzę, architekt miał 28 lat. Hitler powiedział mu wówczas: „Szukałem architekta, któremu mógłby powierzyć kiedyś moje plany budowlane. Miał on być młody, gdyż jak pan wie, moje plany wybiegają daleko w przyszłość. Potrzebuję kogoś, kto także po mojej śmierci działać będzie nadal, korzystając z nadanego mu przeze mnie autorytetu. Kogoś takiego znalazłem w panu" (A. Speer, „Wspomnienia").

Swojego rodzaju rozgrzewką Speera przed stworzeniem w Berlinie monumentalnego kompleksu architektonicznego było zaprojektowanie wielkiej trybuny na Zeppelinfeld w Norymberdze. Speer pisał o niej, że była dwa razy dłuższa od term Karakali. Wszystko musiało być w III Rzeszy większe i lepsze niż gdziekolwiek indziej. Oczywiście powiedział o tym Hitlerowi, a Wódz był z pewnością zachwycony, że architekt w lot pojmuje jego wizję pełnej rozmachu architektury.

W 1936 r. Hitler powierzył Speerowi zadanie zbudowania w stolicy reprezentacyjnego kompleksu z monumentalnymi gmachami. Wytyczną dla architekta były słowa Wodza: „Berlin jako stolica 65-milionowego narodu musi być podniesiony urbanistycznie i kulturowo do takiej rangi, która pozwoliłaby mu konkurować ze wszystkimi stolicami świata".

A jeśli chodzi o przeszłość, to Hitler uważał, że jedynym w historii konkurentem dla stolicy III Rzeszy może być tylko starożytny Rzym. Był pod wrażeniem rzymskich budowli, gdyż nawet ich ruiny świadczyły o wielkości imperium. Speer zanotował jego słowa: „O wielkich epokach historycznych przemawiają przecież tylko monumentalne budowle. Co pozostało po imperatorach Cesarstwa Rzymskiego? Co świadczyłoby dzisiaj jeszcze o ich istnieniu, gdyby nie ich budowle".



Nowa Kancelaria Rzeszy (1939 r.) FOT. BUNDESARCHIV/WIKIMEDIA COMMONS



Makieta alei reprezentacyjnej z Łukiem Triumfalnym i Halą Zgromadzeń
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIMEDIA COMMONS

Cesarstwo Rzymskie przestało istnieć, lecz Hitler uważał, że gdy idea wielkości narodowej ożywa, wtedy najsilniej oddziałują na nią pomniki przeszłości. Stwierdzał, że budowle nad Tybrem pomagają Mussoliniemu nawiązywać do świetności Cesarstwa Rzymskiego i popularyzować ideę nowoczesnego imperium włoskiego. Hitler nadmieniał, że ogromne budowle, które zamierza wznieść, będą w dalekiej przyszłości oddziaływać na Niemców. Chciał, by po tysiącu lat – czy to zachowane, czy zrujnowane – świadczyły o wielkości Niemiec. Swoją drogą uważał, że będą wielką atrakcją turystyczną, niczym bawarskie zamki Ludwika II Wittelsbacha.

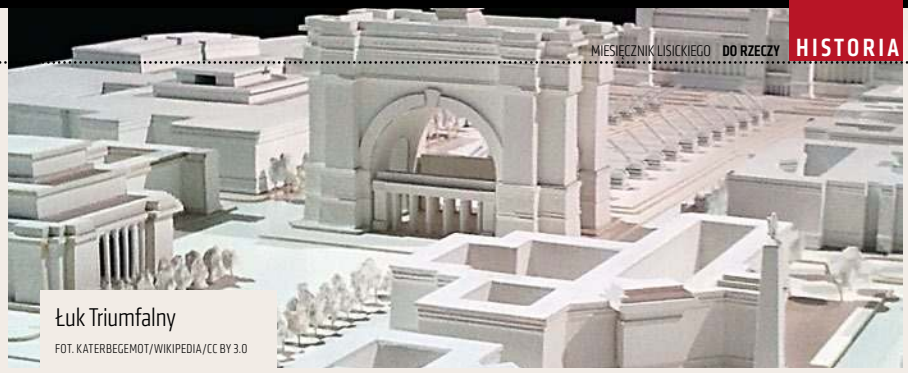
Zanim Speer zabrał się do urzeczywistniania idei Hitlera dotyczących Berlina, zaprojektował tereny zjazdowe NSDAP w Norymberdze, z trybunami liczącymi 160 tys. miejsc. Także tu skala musiała być większa od tej z przeszłości: plac dla pokazowych ćwiczeń wojskowych miał liczyć 1050 na 750 metrów i Speer zaznaczał, że jest znacznie większy od podobnego terenu przy pałacu Kserksesa. Dla defilad architekt zaprojektował dwukilometrową trasę o szerokości 80 metrów. Norymberski gigantyczny stadion obliczony został na 400 tys. widzów – po zwycięstwie olimpiady miały się odbywać już tylko w Niemczech. Hitler nie martwił się o koszty budowy stadionu: „To mniej niż dwa okręty bojowe typu »Bismarck«. Pancernik, jeśli wcześniej nie będzie zniszczony, za 10 lat będzie złomem. A ta budowla będzie stać przez całe stulecia".

Monumentalne budowle

Hitler nie martwił się również o koszta gigantycznego kompleksu architektonicznego w Berlinie. Skoro Pola Elizejskie w Paryżu mają niespełna 2 km długości, to berlińska aleja reprezentacyjna musiała być więc oczywiście dłuższa – i to o 3 km. Szerokość Pól Elizejskich wynosiła 100 metrów. „Na wszelki wypadek zrobimy naszą ulicę o 20 metrów szerszą" – zarządził Hitler.

Przy wielkiej pięciokilometrowej alei, fragmencie jednej z dwóch szerokich wie-

eprasa.pl 30d58088c7



Łuk Triumfalny

FOT. KATERBEGEMOT/WIKIPEDIA/CC BY 3.0

lokilometrowych osi komunikacyjnych, które miały przeciąć Berlin, stanęłyby reprezentacyjne gmachy, z dwoma na jednej linii: Wielka Hala (Hala Ludowa), nakryta ogromną kopułą o średnicy 250 metrów, zwieńczona orłem ze swastyką, oraz Łuk Triumfalny o wysokości 100–117 metrów, dwa razy wyższy niż Łuk Triumfalny w Paryżu. Hala – mieszcząca 150–180 tys. osób – byłaby największym budynkiem na świecie i miałaby służyć Hitlerowi i partyjnym dygnitarzom do wywoływania emocji tłumu i komunikowania mu woli Wodza. Łuk Triumfalny był pomyślany jako pomnik 1,8 mln poległych w pierwszej wojnie światowej żołnierzy niemieckich, ich nazwiska miały być wyryte na ścianach tej budowli. Wzdłuż alei Speer przewidział siedziby ministerstw Rzeszy. Hermann Göring zażądał dla siebie siedziby marszałka Rzeszy. Martin Kitchen, autor książki „Speer. Architekt śmierci", oceniał, że ta rezydencja to „pretensjonalny kamienny kolos, pałac parweniusza w stylu rozdętego baroku. Hol zdominowany był przez wymyślną klatkę schodową, ale Speer przewidująco zaprojektował windę, by oszczędzić otyłemu Göringowi konieczności wspinania się po imponujących schodach". W planach była budowa nowego gmachu Reichstagu, wielokrotnie jednak mniejszego niż Wielka Hala. Pokazywało to żałosną rangę parlamentu, dekoracyjnej maszynki do głosowania.

W styczniu 1937 r. Albert Speer został generalnym inspektorem budowlanym do spraw przeobrażenia stolicy Rzeszy, a w jego pracę nie mogli interweniować ani burmistrz, ani gauleiter Berlina. Po przebudowie stolica zostałaby być może przemianowana na Germanię – ta nazwa pada w pamiętnikach Speera, choć Hitler jej nie używał. Niemniej jednak „planem Germania" nazywa się projekt spółki Hitler-Speer.

Kancelarie Rzeszy

Berliński plan Hitlera był zakrojony na wielką skalę, jego realizacja miała trwać do 1950 r. Pierwszym jednak zadaniem Speera w stolicy było zaprojektowanie nowego, choć jedynie tymczasowego gmachu Kancelarii Rzeszy. Hitler nie chciał czekać kilkunastu lat, aż wprowadzi się do stałej siedziby kanclerskiej.

Stara siedziba, były pałac berlińskiej linii Radziwiłłów, nie odpowiadała Hitlerowi swoim stylem i wielkością, nie posiadała ani monumentalnego, ani patetycznego wyrazu. Nowa siedziba miała wzbudzać respekt i szacunek dla III Rzeszy i jej Wodza. „Potrzebuję olbrzymich galerii i sal, abym mógł imponować zwłaszcza pomniejszym parterom" – powiedział do Speera. Dlatego też galeria, którą musieli przemierzyć goście kanclerza Rzeszy, miała ok. 150 metrów, a gabinet Führera – 400 mkw. Hitler był zadowolony i pochwalił Speera: „Na długiej drodze od wejścia aż do sali przyjęć poczują oni już coś z potęgi i wielkości Rzeszy Niemieckiej".

Aby wzmocnić ten efekt, kazał architektowi trzykrotnie powiększyć powierzchnię sali przyjęć. Powtarzał, że będzie tam przyjmował gości nie jako Adolf Hitler – to Niemcy w jego osobie będą ich gościły. Hitler uznał nową Kancelarię Rzeszy za pierwszą budowlę Rzeszy Niemieckiej. W styczniu 1939 r. przyjął pierwszych gości – ambasadorów akredytowanych w Berlinie.

Projektując pod dyktando Hitlera nowy kompleks urbanistyczny, Speer nie zapomniał o stworzeniu jego plastycznej wizualizacji. Hitler oglądał ją wielokrotnie, jak zahipnotyzowany. Znał wszystkie szczegóły dużej makiety, toteż gdy przychodzili goście, Hitler „z błyszczącymi oczami" sam objaśniał im wszystkie szczegóły. Architekt podkreślał: „Nigdy nie widziałem go tak ożywionego, tak spontanicznego, tak swobodnego, jak w tych właśnie chwilach".

Jednym z projektowanych budynków był nowy gmach Kancelarii Rzeszy, nazwany Pałacem Wodza. Była to – jak zauważał Martin Kitchen – wybujała wersja florenckiego Palazzo Pitti. Pałac Wodza miał zajmować powierzchnię 2 mln mkw., a galeria, którą musieliby przemierzać goście Wodza, by się z nim spotkać, liczyłaby aż 500 metrów długości. Hitler mawiał, że tak gigantyczna budowla będzie budowała nie tylko autorytet Rzeszy, lecz także jego następców. Uważał, że będą pozbawieni jego charyzmy i magnetycznego wpływu na Niemców, więc ogrom wielkiej budowli przynajmniej częściowo zrekompensuje te braki.

Przed wybuchem drugiej wojny światowej trwały prace przygotowawcze do realizacji wielkiego planu. Speer porozumiał się z Heinrichem Himmlerem, sprawującym nadzór nad obozami koncentracyjnymi w sprawie wykorzystania ich więźniów do pracy w Berlinie, a także dostarczania kamienia budowlanego.

Wybuch wojny zastopował przygotowania do realizacji gigantycznej inwestycji, ale w 1940 r. Hitler, w euforii po zwycięstwie nad Francją, nakazał wznowić prace. Postanowił też, że orzeł na szczycie Hali Zgromadzeń będzie trzymał w swoich szponach nie wieniec ze swastyką, lecz glob ziemski. Doszedł bowiem do wniosku, że Berlin-Germania będzie stolicą świata. W końcu jednak realizację „projektu Germania" odłożono na czas po zwycięskiej wojnie.

Pod koniec wojny Hitler stracił zainteresowanie przebudową Berlina być może dlatego, że dał już wszystkie wytyczne Speerowi. Nową pasją Führera był plan przebudowy jego ulubionego miasta – Linzu. Naszkicował wiele gmachów, w tym galerię malarstwa, do której ściągano zrabowane w okupowanej Europie obrazy. Napawałby się tam m.in. widokiem „Portretu młodzieńca" Rafaela, skradzionego z Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Hitler chciał z Linzu uczynić stolicę kulturalną Niemiec i przyćmić Wiedeń, dlatego też reprezentacyjna ulica miała być szersza niż wiedeński Ring, który tak podziwiał. Dla siebie zaprojektował dom w Linzu, w którym zamieszkałby na starość. Kto wie, może przed samobójstwem pomyślał sobie, niczym Neron: „Jakiż artysta w mojej osobie ginie"...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 30d58088c7

1939–1945 / Niemiecka technika militarna



Niemcy zdystansowały aliantów w technice rakietowej. Na zdjęciu: V-1

FOT. CHRON-PAUL/WIKIMEDIA COMMONS/CC-BY-SA-3.0-DE

Stracone szanse i złe wybory



Tymoteusz Pawłowski

Gdyby Niemcy nie szukali wunderwaffe, a skupiliby się na realnych programach, wówczas broniliby się skuteczniej i dłużej. Zapewne byliby nawet w stanie podbić Związek Sowiecki

7 listopada 1942 r., Moskwa, plac Czerwony. Dwudziesta piąta rocznica „rewolucji październikowej" zostaje uświetniona paradą zwycięstwa. Niemiecką paradą zwycięstwa: przez rosyjską stolicę jadą tysiące lekkich czołgów, a nad miastem przelatują tysiące małych myśliwców.

Koniec 1942 r. był chyba ostatnim momentem, w którym Niemcy mogli pokonać Związek Sowiecki. Kluczem do tego zwycięstwa musiałaby być szybkość postępowania – aby zdążyć przed aliantami – oraz zorganizowanie masowej armii. Bóg – jak wiadomo – jest po stronie liczniejszych batalionów.

Niemcy nie pokonali jednak Związku Sowieckiego, nie zdołali bowiem wystawić tak licznych batalionów, które wystawili Rosjanie. Z jednej strony, Rosjanie otrzymali olbrzymią pomoc od Brytyjczyków i Amerykanów, z drugiej zaś Niemcy zrobili chyba wszystko, aby nie wykorzystać swoich możliwości. Mieszkańcy Związku Sowieckiego początkowo widzieli w Niemcach wyzwolicieli i masowo zgłaszali się do walki przeciwko sowieckiej władzy. Szybko jednak zostali zniechęceni. Nie dlatego – jak się czasem twierdzi – że Niemcy przeprowadzali krwawe represje, ale dlatego, że nie zamierzali oddać zagrabionej przez komunistów ziemi w ręce chłopów. W końcu partia narodowosocjalistyczna też była partią lewicową…

Jeszcze ważniejszą przyczyną niemieckiej impotencji militarnej były złe wybory taktyczno-techniczne. Starali się produkować najlepsze czołgi, najlepsze armaty i najlepsze karabiny. Pogoń za jakością odbijała się jednak na ilości, w skrajnych przypadkach tak bardzo, że „najlepsze bronie" powstawały z wieloletnim opóźnieniem albo nie powstawały wcale.

W 1942 r. do służby miały wejść czołgi Tygrys i Pantera, myśliwcami dalekiego zasięgu miały być messerschmitty 210 z uzbrojeniem obronnym w zdalnie sterowanych wieżyczkach, a bombowcami heinkle 177, mające co prawda jedynie dwa silniki, ale o mocy takiej, jak czterosilnikowe bombowce amerykańskie i brytyjskie. Bronią przeciwpancerną miały być armatki – czasem nazywane rusznicami – kalibru 2,8 cm. Problem nazewnictwa wynikał z rewolucyjności tej broni – przewód lufy miał zmienny przekrój, co miało zapewnić tej niewielkiej broni skuteczność ciężkiej armaty.

Pantery pojawiły się dopiero w 1943 r., tygrysy okazały się rozczarowaniem.

eprasa.pl 30d58088c7



Czołg PzKpfw VI Tiger. Na jego widok Rosjan ogarniała „tygrysofobia" FOT. BUNDESARCHIV/WIKIMEDIA COMMONS

Messerschmitty 210 rozsypywały się w locie i trzeba je było zezłomować, napęd heinkli 177 był tak podatny na pożary, że do końca wojny nie znaleziono rozwiązania problemu, a „2,8 cm schwere Panzerbüchse 41" okazała się tak skomplikowana w produkcji i utrzymaniu, że szybko zaprzestano jej produkcji.

Pogoń za najlepszą bronią

Jednak nawet gdyby III Rzesza pokonała Związek Sowiecki, nie miałaby szans na wygranie wojny światowej i pokonanie Brytyjczyków (nie wspominając nawet o Amerykanach). Niemcy mieli dostęp jedynie do zasobów Eurazji, Brytyjczycy natomiast – do całego świata. Co do zasady: państwo morskie, mające dostęp do zasobów światowych, wygrywa z państwem kontynentalnym.

Niemcy produkowali armaty (czołgi, samoloty itp.), ale Brytyjczycy – korzystając z zasobów kolonii i neutralnych państw – mogli zbudować tych armat (czołgów itp.) wielokrotnie więcej. To uzbrojenie było do siebie zbliżone jakością, niezależnie od tego, czy produkowali je Niemcy czy Brytyjczycy. Oczywiście do dziś można się spierać, który myśliwiec był lepszy: Spitfire czy Messerschmitt 109.

Niemcy wierzyli jednak, że materiałową przewagę wroga da się pokonać przewagą jakościową. Dość szybko okazało się jednak, że to nie działa: latem 1940 r. doszło do powietrznej bitwy o Anglię, w której po obu stronach walczyły równorzędne samoloty, a brytyjscy piloci okazali się równie skuteczni jak niemieccy. Niemcy ponieśli pierwszą porażkę. Wówczas w Berlinie zaczęto poszukiwać cudownych broni.

Cudowna broń – jak sama nazwa wskazuje – jest bronią skuteczną dzięki metafizyce. Fizyki bowiem nie da się oszukać, trzeba liczyć na cud. Bardzo dobrym przykładem wczesnej wunderwaffe są wspomniane już czołgi Pantera oraz Tygrys. Pierwszy z nich ważył 45 ton, a drugi – 56. Miały potężniejsze działa, grubszy pancerz, mocniejsze silniki niż czołgi brytyjskie amerykańskie czy sowieckie. Na papierze były to najlepsze ówczesne czołgi, w rzeczywistości zaś takie dobre już nie były. Pancerz, działo, silnik to nie wszystko, liczą się także akcesoria i infrastruktura. Niemieckie superczołgi były tak ciężkie, że nagminnie psuły się sprzęgła i skrzynie biegów, spalały olbrzymie ilości paliwa, niszczyły drogi, nie mogły przejeżdżać przez mosty, a w razie awarii nie było ciągników, aby odholować je do warsztatu… Cud się nie wydarzył i wojnę wygrały shermany, cromwelle i T-34 – słabsze, ale dzięki masie nieprzekraczającej 30 ton niesprawiające takich problemów (i produkowane w olbrzymiej liczbie).

Góra urodziła mysz

Poszukiwanie cudownych broni nie tylko nie przyniosło Niemcom sukcesu, lecz także przyśpieszyło ich porażkę. Dobrym przykładem jest osławiony program broni odwetowych – bomb latających V-1, rakiet V-2 i superdziała V-3 – który przyniósł mizerne skutki. Niemieckie zarządzane zbrojeniami było po prostu nieefektywne i nieracjonalne. Gdy Brytyjczycy w 1940 r. znaleźli się w krytycznej sytuacji, zrobili to, czego nie zrobili Niemcy: wstrzymali badania nad nieperspektywicznymi broniami i skupili się tylko na tych projektach, które mogły przynieść rezultaty w ciągu kilkunastu miesięcy.

Niemcy tego nie potrafili zrobić. Jednym z powodów był charakter narodowy, czy raczej utrwalony systemem szkolnym system tradycji, nakazujący wiarę w wyższość techniczną narodu niemieckiego. Kolejnym – totalitarny system rządów. W państwie demokratycznym



Model działa kolejowego 800 mm Dora („Schwerer Gustav") FOT. JAN WELLEN/WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 30d58088c7



Messerschmitt Me-262, pierwszy myśliwiec odrzutowy użyty – z sukcesem – bojowo. Poniżej: rakieta balistyczna V-2 FOT. USAF, AELFWINE/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

jeśli inżynier źle wykonuje swoją pracę, wówczas jest zwalniany przez menedżera. W państwie totalitarnym skuteczność jest drugorzędna – liczy się jedynie posłuszeństwo wobec partii i wodza.

Cudowne bronie w III Rzeszy starał się produkować przemysł, siły zbrojne, partia, SS, a nawet poszczególni przywódcy partyjni. Adolf Hitler im na to zezwalał, pozwalając składać zamówienia na najbardziej fantastyczne cudowne bronie. Armii pozwolił zbudować działo nazwane „Schwerer Gustav", ważące 1350 ton i wystrzeliwujące pociski o 800 mm średnicy – użyto go raz, podczas oblężenia Sewastopola. Flota miała „Grafa Zeppelina" – ni to lotniskowca, ni to krążownika – który zardzewiał w doku. SS opracowywało coś nazwanego Bachem Ba 349 Natter: będącego połączeniem samolotu i kierowanej rakiety, wystrzeliwującej w stronę bombowców wroga kilkadziesiąt mniejszych rakiet.

Jednym z najbardziej szalonych projektów był „Antipoden-Bomber", samolot startujący z długich na kilka kilometrów i prostych torów kolejowych, który dzięki silnikom rakietowym miał wzlecieć 140 km powyżej ziemi, a następnie „odbijając" się od atmosfery, zbombardować Amerykę i wylądować gdzieś na antypodach. Eugen Sänger wraz ze swoją żoną Ireną zaproponowali takie rozwiązanie w grudniu 1941 r. i niemal do końca wojny ich badania były finansowane przez III Rzeszę.



Nie można zapomnieć o aspekcie finansowym niemieckich wunderwaffe. Dla wielu Niemców – także polityków, menedżerów i inżynierów – wojna była doskonałą okazją do zbicia olbrzymich majątków. Najbardziej opłacalne były wieloletnie projekty badawcze, które nie przynosiły wymiernych rezultatów.

Wzorcowym przykładem takiego niemieckiego misia była... mysz, czyli czołg Maus. Wiosną 1942 r. Porsche zaprezentował swój pomysł Hitlerowi, któremu tak się spodobał ten 100-tonowy czołg, że nie tylko nakazał jego produkcję, lecz także doradził kilka zmian, po wprowadzeniu których – któżby odmówił wodzowi? – masa pojazdu wzrosła do niemal 200 ton. Rozpoczęto przygotowania do produkcji, rozwiązano przy tym mnóstwo nieistotnych, a kosztownych problemów (np. zaprojektowano specjalny system do pokonywania rzecznych brodów wykorzystujący ruchomą elektrownię), ale ostatecznie zbudowano jedynie dwa prototypy, a kilka kolejnych wozów miało trafić do służby pod koniec 1945 r. Maus był doskonałym dowodem na megalomanię Hitlera, charakterystyczną zresztą dla państw totalitarnych, chcących wykazać się „osiągnięciami". Tymczasem o osiągnięcia w państwie totalitarnym jest trudno, ponieważ zniechęca ono do siebie wszystkich, którzy myślą niezależnie. Z III Rzeszy wygnano – lub zmuszono do wyjazdu – wielu znakomitych naukowców, z Albertem Einsteinem na czele. Zniechęcono również tych, którzy pozostali: dla zachowania totalitarnego charakteru państwa zwalczano w III Rzeszy krótkofalowców i amatorów radiowców, co zakończyło się upadkiem elektroniki i utratą przewagi, którą na początku wojny Niemcy mieli w produkcji i wykorzystaniu radarów

W 1938 r. Otto Hahn oraz Fritz Strassmann opisali energetyczne skutki rozszczepienia jądra atomu. Wyniki ich badań zainicjowały prace nad amerykańską bombą atomową. Niemcy natomiast chcieli zbudować reaktor i uzyskać źródło napędu okrętów, a na pomysł bomby wpadli bardzo późno albo nie wpadli wcale.

Niemcy byli pionierami samolotów odrzutowych, ale spory pomiędzy producentami, bałagan administracyjny, nadmierny perfekcjonizm czy wreszcie mieszanie się Hitlera do procesu decyzyjnego doprowadziły do opóźnienia w uruchomieniu produkcji

Messerschmitta Me-262. Chociaż wyprodukowano ponad 1,4 tys. tych maszyn, to przez 10 końcowych miesięcy wojny zdołały zestrzelić jedynie kilkaset wrogich samolotów.

Chociaż cudowne bronie powstawały w Niemczech przez całą drugą wojnę światową (a także przed nią), to najbardziej znane są te z 1945 r. Jednak nie zostały sprawdzone na rzeczywistym polu walki, nie można więc powiedzieć, czy byłyby użyteczne czy też nie. Fligerfaust – na podobieństwo przeciwczołgowego Panzerfausta – miał niszczyć samoloty. U-XXI miały być doskonałymi okrętami podwodnymi. Vampir – dzięki podczerwieni – miał umożliwić widzenie w nocy. Horten 229 miał być odrzutowym latającym skrzydłem lepszym od wszystkich innych samolotów. Być może któraś z tych cudownych broni udowodniłaby swoją przydatność, ale można mieć co do tego wątpliwości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 30d58088c7

„Hity w Sieci” - cotygodniowy przegląd najciekawszych, najzabawniejszych i najbardziej wiralowych filmów, zdjęć i postów z internetu. Każdy z odcinków uzupełnia sonda uliczna, w której napotykane osoby zmierzą się z przewrotnymi pytaniami dziennikarzy Telewizji Republika.

REPUBLIKA

HITY w sieci







sobota
11:11

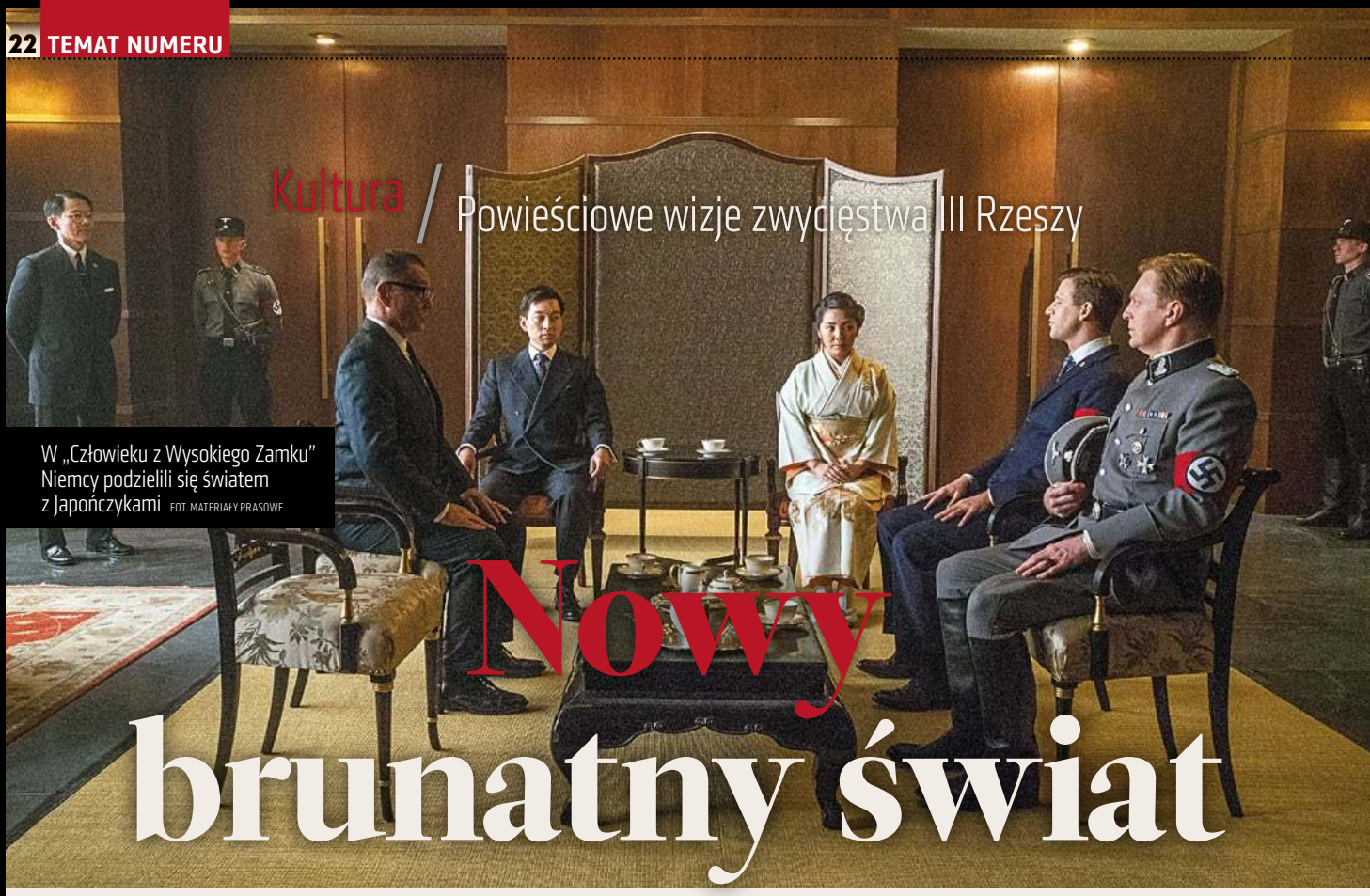
Na program zapraszają:

Mirona Hołda
Oskar Szafarowicz
Dominika Krawiel

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 30d58088c7



Kultura / Powieściowe wizje zwycięstwa III Rzeszy

W „Człowieku z Wysokiego Zamku" Niemcy podzielili się światem z Japończykami FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nowy brunatny świat



Radosław Wojtas

Niemcy wygrywają drugą wojnę światową i wprowadzają swoje porządki – to motyw podejmowany w popkulturze przez wielu twórców. I choć wyobrażenia świata rządzonego przez Hitlera lub jego następców są w szczegółach zróżnicowane, to łączy je jedno – Niemcy zgotowali ludzkości prawdziwe piekło na ziemi

Askoro Niemcy wygrali i następne stulecie umocniło ich zwycięstwo, to hitlerowscy przywódcy byli dosłownie panami świata. A ludzie ci, jak wszyscy wiedzieliśmy, mieli w sobie zalążki najbardziej fantastycznych tyranów, których wyczyny po zawładnięciu światem sprawiłyby, że żywoty rzymskich cezarów i mongolskich chanów czytałoby się jak sprawozdanie z posiedzenia rady parafialnej" – słowa te włożył w usta jednemu z bohaterów książki „Dźwięk rogu" pisarz podpisujący się pseudonimem Sarban, a w rzeczywistości zawodowy dyplomata brytyjski – John William Wall (1910–1989).

Niewiele w „Dźwięku rogu" dyplomatycznej powściągliwości. Jednak jak inaczej pisać o piekle na ziemi, które rasa panów zgotowała wszystkim „podludziom"? Ci z nich, którym dopisało szczęście – albo inaczej: którzy zostali w tym celu wyhodowani – żyją tylko po to, by służyć.

„– Są tańsze niż maszyny – wyjaśnił doktor, kiedy coś na ich temat powiedziałem. – Poza tym graf nie lubi mechanizacji. Idzie na pewne ustępstwa, jeżeli chodzi o machinę destrukcji, ale woli mi dać trzech niewolników niż jeden odkurzacz.

– Co to za ludzie? Jakiej są narodowości? – spytałem.

Wzruszył ramionami. – Chyba Słowianie. Nigdy nie interesowałem się ich hodowlą. Zawsze byli dla mnie pozbawionymi twarzy okazami podludzi. Hodują ich masowo gdzieś w Guberni Południoworosyjskiej. Domyślam się, że pańskie małe kłopoty ze współczesnością nie pozwoliły panu na zapoznanie się z odkryciami Wesslera w dziedzinie sztucznego zapłodnienia i z zastosowaniem procesu Roeder-Schwaba do przyśpieszenia rozwoju fizycznego. Czy nie przyjemnie jest pomyśleć, że ojcem obu tych wołów był może ten sam kawałek miedzianego drutu... i jak by pan ocenił ich wiek? [...]. – Nie więcej niż piętnaście, najprawdopodobniej dwanaście. Nad wyraz rozwinięte dzieci, co? Na szczęście tylko fizycznie".

Jako dobrze przygotowane narzędzia nie posiadają zbyt wielu zbędnych funk-

eprasa.pl 30d58088c7

cji. „– Nie wątpię, że z czasem zaczną ich hodować bez zbytecznych organów, ale już teraz hodowcy przycinają im zaraz po urodzeniu te, które mogą być przyczyną kłopotów. Czy zauważył pan, że oni nie mówią? Graf wymaga drobnych zabiegów na ich strunach głosowych, zanim zostaną do nas dostarczeni".



Mapa świata według powieściowej wizji Philipa K. Dicka

FOT. SKYLARWESTON/WIKIMEDIA COMMONS/CC BY-SA 3.0

Ludzie do zabawy

W książce napisanej przez brytyjskiego dyplomatę podludzie służą Niemcom nie tylko do pracy. Sprawdzają się doskonale w rekreacji. Na różnorakie sposoby, bo czego, jak czego, ale fantazji Niemcom trudno odmówić. „Pojawiła się tam dziwna postać, biegnąca co tchu wśród kęp trawy: postać ludzka, ale jakże fantastycznie przebrana. Walczyła o życie, bo głosy niewidocznych jeszcze psów były coraz bliższe i nie ulegało wątpliwości, że pędzą, żeby zabić. Uciekająca postać przykuła mój wzrok: była to wysoka, długonoga dziewczyna z twarzą i głową ukrytą pod bajecznie kolorową maską z dziobem, spod której wypływały rozwiane włosy […]. Jej piersi okrywały pióra złote i szkarłatne, wzdłuż ramion miała umocowane kasztanowate i tęczująco zielone pióra z lotek, a od talii ciągnął się za nią długi, wygięty ogon z piór brązowych i złotych. Te ozdoby oraz żółte buty stanowiły jej jedyne odzienie".

Akurat to polowanie polegało na łapaniu „ptaków" w siatkę. Po co? No a po co jest zwierzyna? Aby podać myśliwym podczas kolacji. „– Panowie! – krzyknął graf głosem jak ryk byka. – Zapraszam was do skosztowania zwierzyny, którą ustrzeliliście! […] Przed każdym gościem leżał na półmisku, odsłonięty teraz, »ptak«, którego upolował na porannych łowach, pozbawiony już piór, tylko w masce z dziobem i ciasno związany, kolana do szyi, ręce do kostek nóg. Leśniczy odstawili gościom krzesła i gestem wskazali, gdzie należy przeciąć więzy »ptaków«, a potem dyskretnie kiwnęli głowami w stronę wyścielonych skórami legowisk".

Austriak Otto Basil (1901–1983) zakpił z gestapo i całego zbrodniczego systemu Niemiec lat 40. XX w. wydaną w 1966 r. „Brunatną rapsodią". W tej opowieści to nie na Hiroszimę i Nagasaki, lecz na Londyn spada bomba atomowa. Niemcy pospołu z Japonią zwyciężają aliantów i dzielą świat między siebie. Plan eksterminacji Żydów został zrealizowany, Słowianie służą Aryjczykom za niewolników. W dawnych Stanach Zjednoczonych, które teraz noszą nazwę Stanów Zależnych Ameryki Północnej, rządzi – kontrolowany oczywiście przez Berlin – Ku Klux Klan, a od Irlandii do Uralu wznoszą się obozy dla podludzi, zamki SS oraz klasztory rasowej matki.

Basil w swojej książce zauważa i uwydatnia okultystyczne zapędy nazistów. W partii zwyciężył „kierunek metafizyczny", a pragmatyczni i kierujący się – jak mogłoby się zdawać – wyłącznie zimną logiką Niemcy uczestniczą w np. takich praktykach: „Na frontowej ścianie pustej apsydy wisiał potężny chrześcijański krzyż (brakowało jednak ciała Ukrzyżowanego), do którego przybito gwoździami równie wielki czarny hakenkreuz. Nie było obrazów ani żadnych innych rytualnych ozdób. Zarówno na emporze, jak i na dole, w nawie, tłoczyli się ludzie. Uczestnicy nabożeństwa (większość stanowiły stare kobiety w żałobnych strojach) zwróceni byli twarzami, na których malował się wyraz ekstazy, ku stojącemu na stopniach ołtarza czarnobrodemu mężczyźnie o czerwonych policzkach; na jego barkach po obydwu stronach siedziały ptaki, nieruchome, jakby wypchane, kawki, wrony albo kruki […]. Wierni kiwali się rytmicznie w przód i w tył, kołysząc się w swego rodzaju uroczystym rytuale i nie przerywając przy tym monotonnego zawodzenia. »Füh-rer! Füh-rer!«".

Nad odpowiednim miejscem w świecie każdego człowieka czuwa w „Brunatnej rapsodii" Urząd do spraw Polityki Demograficznej i Czystości Rasowej, którego centralnym programem jest program eutanazji Tiergartenstrasse 4. „W 1959 roku dotyczyło to jeszcze równo 748 000 osób, w całej Europie. Wkrótce potem obniżono tę liczbę, ponieważ wszyscy obciążeni dziedzicznie, którzy byli w miarę zdolni do pracy, zostali przeniesieni do UmL-i, gdzie trzymani w specjalnych, przypominających przegrody dla świń klatkach służyli jako króliki doświadczalne dla potrzeb neurochirurgii lub wykonywali najniższe roboty. (Nawet debile po skutecznie przeprowadzonej lobotomii trafiali z powrotem do gospodarki) […]. Jakże to mówiono o T4?... Rakarnia Rzeszy".

A co się działo, kiedy ktoś próbował wyłamać się z tego porządku? Czyż to nie oczywiste? „Jeden [film szkoleniowy – przyp. R.W.] zwłaszcza mi zaimponował – mówi jedna z bohaterek »Brunatnej rapsodii«. – Pokazano w nim ścinanie krnąbrnych podludzi za pomocą topora, we wszystkich fazach i w zbliżeniu. A więc »ręczna« egzekucja, jakie wykonuje się jeszcze, jak wiadomo, jedynie w celu zastraszenia. U bułgarskiego więźnia o byczym karku, skazanego za prześladowanie pewnej dziewczyny krwi niemieckiej ciągłymi oświadczynami, głowa w ogóle nie chciała spaść. Kat […] musiał uderzyć trzy razy, nim skazaniec skonał".

Szpieg w krainie nazistów

Robert Harris, brytyjski pisarz specjalizujący się w thrillerach historycznych, autor światowych bestsellerów, w książce „Vaterland" także sięgnął do scenariusza wygranej przez Niemców drugiej wojny światowej. Jest rok 1964, Niemcy

eprasa.pl 30d58088c7

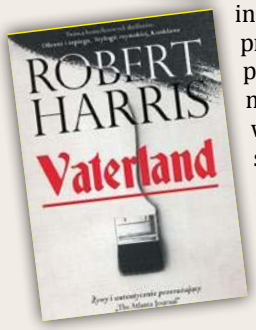
cementują swoją władzę nad Europą. Na dobrą sprawę Hitler ma już tylko dwa poważne zmartwienia. Pierwszym są nieliczni partyzanci, z którymi bez problemu będzie mógł się rozprawić, jeśli uda mu się pomyślnie rozstrzygnąć zmartwienie numer dwa. A jest nim stan zimnej wojny, w którym Rzesza pozostaje ze Stanami Zjednoczonymi.

Nadarza się ku temu znakomita okazja – 75. urodziny Führera. Do Niemiec, udających cywilizowane, pozbawione terroru państwo, przyjeżdża prezydent Stanów Zjednoczonych, co jest oznaką ocieplenia się klimatu między dwoma mocarstwami i skłonności USA do zawarcia sojuszu. Z bestią tym łatwiej jest się układać, że nie wszystkie jej okrucieństwa wyszły na światło dzienne. Wszak historię piszą zwycięzcy, a zatem świat nie zna chociażby skali masowych mordów ludności cywilnej, zwłaszcza eksterminacji Żydów; prawdy nie znają również Niemcy, którym tym łatwiej żyć w państwie Adolfa Hitlera. I wokół tego nakreślona jest cała oś fabularna kryminału, w którym inspektor Kriminalpolizei i amerykańska dziennikarka mogą zedrzeć maskę z paszczy niemieckiego potwora.

Książkę zekranizowano (film „Vaterland – Tajemnica III Rzeszy" w reżyserii Christophera Menaula z 1994 r.). W roli głównej wystąpił Rutger Hauer, za co był nominowany do Złotych Globów, ale nagrody nie otrzymał. Dostała ją za to Miranda Richardson w kategorii najlepszej aktorki drugoplanowej w filmie telewizyjnym.

Kolejna pozycja to książka „SS-GB", w której Len Deighton ukazuje











podbitą i upokorzoną przez Niemców Wielką Brytanię. Szala wojny na niekorzyść Anglików przechyliła się już w 1941 r., Winston Churchill został stracony, a król uwięziony w londyńskiej Tower. Książka i powstały na jej bazie serial ukazują losy inspektora nadzorowanego przez SS Scotland Yardu, który podejmując śledztwo w sprawie morderstwa, zostaje wplątany w intrygę sięgającą samych szczytów władzy.

Świat to za mało

W „Człowieku z Wysokiego Zamku" Philipa K. Dicka (na podstawie książki powstał nieźle oceniany serial; na Amazon Prime dostępne są cztery sezony) Niemcy podzielili się światem z Japończykami, choć wszystko wskazuje na to, że nie jest to zbyt trwały sojusz. Niemcom „udało się z Żydami, Cyganami i badaczami Pisma Świętego. I Słowianie zostali odepchnięci o dwa tysiące lat wstecz, do swojej kolebki w Azji. Wyparci całkowicie z Europy, ku ogólnemu zadowoleniu. Z powrotem do wypasania jaków i polowania z łukiem". Stany Zjednoczone, gdzie rozgrywa się akcja powieści, podzielone zostały między strefę wpływów niemieckich i japońskich, z dzielącą je zoną buforową. Ale Aryjczykom Ziemia nie wystarcza, wyciągają rękę jeszcze dalej. Niemcy, „z ich dążeniem, żeby odgryźć więcej, niż mogą przełknąć", raz już w historii „przegapili moment, gdy inne państwa europejskie zbudowały swoje imperia kolonialne" i tym razem nie zamierzają popełnić tego błędu, inwestując takie siły i środki, że „zanim pierwszy japoński statek kosmiczny oderwie się od Ziemi, Niemcy będą mieli w garści cały Układ Słoneczny".

Osuszone i poddane pod uprawy Morze Śródziemne, Afryka w ciągu 15 lat niemal całkowicie wyczyszczona z ludności tubylczej, nawet nieprzydatni Niemcy, np. starcy, nie zajmują niepotrzebnie zbyt długo miejsca i nie zużywają zasobów… „Niemcy do wszystkiego się przykładają. A kiedy coś robią, robią to solidnie" – pisze Philip K. Dick. I dalej: „Ludożercy z wystawy paleontologicznej zajęci robieniem naczynia z czaszki wroga, cała rodzina pracowicie wygrzebująca zawartość, aby – w pierwszej kolejności – pożreć surowy mózg. Potem narzędzia z ludzkich kości. Co za oszczędność: nie tylko zjadać ludzi, których się nie lubi, ale jeszcze jeść z ich własnych czaszek. Pierwsi technicy! Prehistoryczny człowiek w sterylnie czystym białym fartuchu w laboratorium berlińskiego uniwersytetu pracujący nad wykorzystaniem czaszek, skóry, włosów, tłuszczu innych ludzi".

Urojenia pana Dicka

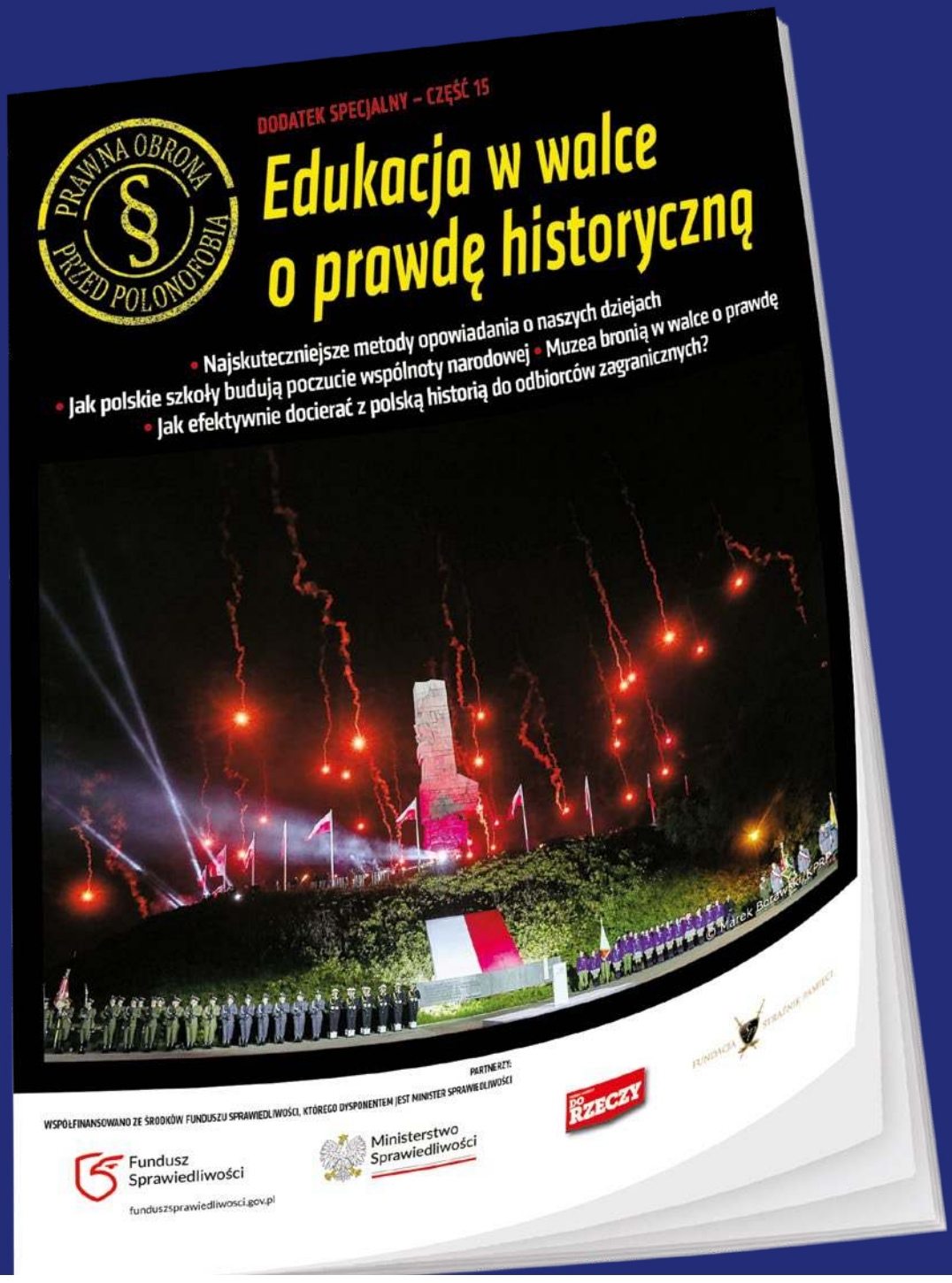
„Człowiek z Wysokiego Zamku" to książka, w której prawda i fałsz mieszają się ze sobą i są trudne do rozróżnienia. Trochę jak w życiu autora „Czy androidy śnią o elektrycznych owcach?", na której oparto scenariusz filmu Ridleya Scotta „Łowca androidów". Męczony przez manie prześladowcze paranoik, któremu zdawało się np., że Stanisława Lema wymyśliło KGB, tak jak nie wierzył w istnienie Lema, tak nie ufał Niemcom. Z uporem nalegał na osobistą korektę przekładu na niemiecki (a znał ten język) „Człowieka z Wysokiego Zamku". „Powiedziałem mu, że zachowuje się naprawdę paranoidalnie – pisze w »Metamorfozie Philipa K. Dicka« Norman Spinrad. – Lecz gdy dotarła do niego korektorska wersja powieści, okazało się, że zostały tam usunięte dość pokaźne fragmenty dotyczące nazistów".

„Dlaczego nas to nie dziwi?" – pyta retorycznie w przedmowie do „Człowieka…" Maciej Parowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 30d58088c7

Już 4 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

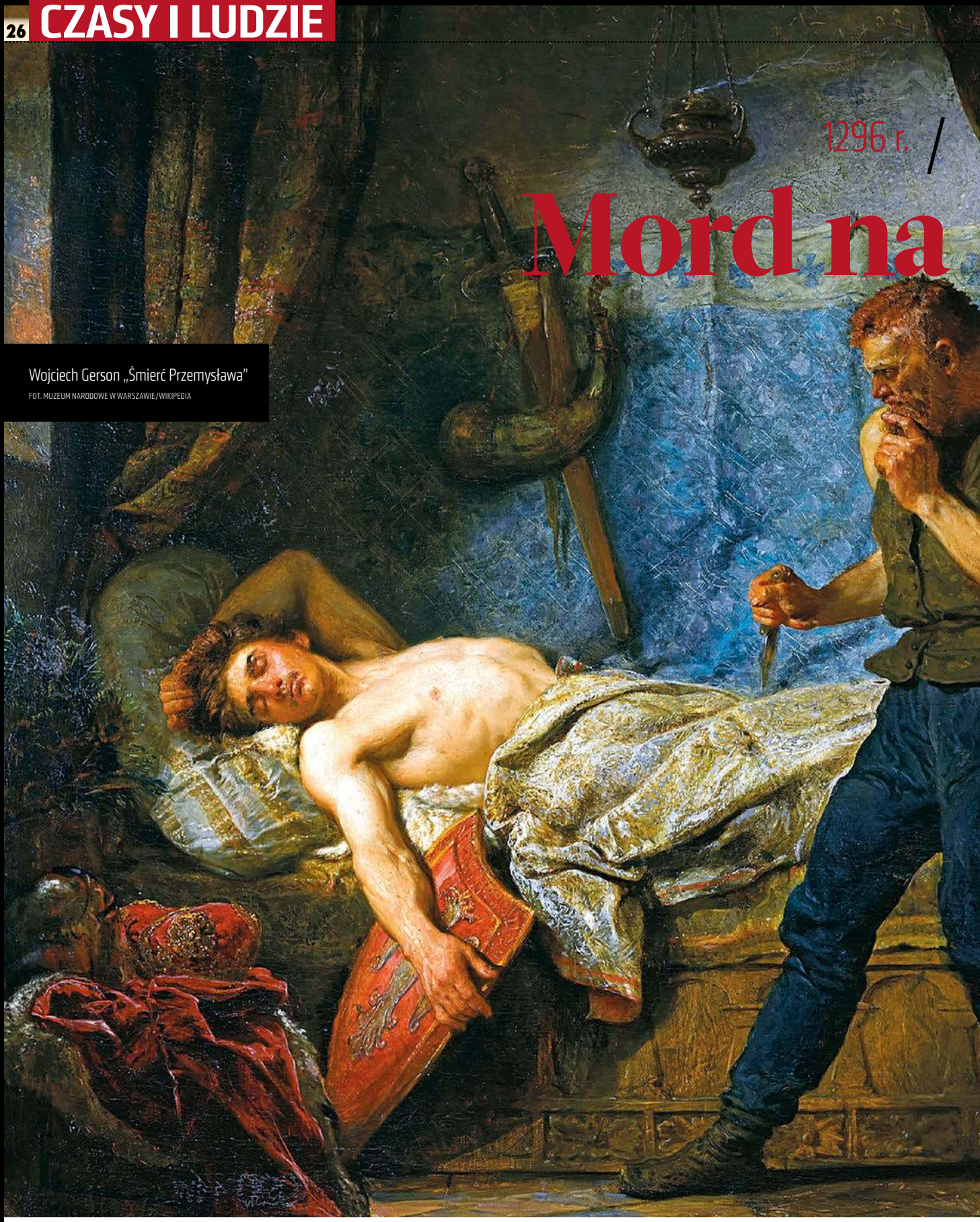
funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 30d58088c7

1296 r. /

Mord na



Wojciech Gerson „Śmierć Przemysława”

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE/WIKIPEDIA

eprasa.pl 30d58088c7

Napad na Rogoźno

królu Polski



Leszek Lubicki

„I choć król Przemysł, przerażony strasznym i niespodziewanym napadem, nie wiedział zupełnie, jacy wrogowie i w jakiej liczbie go napadli, opanowawszy jednak strach, jako mąż odważny i znany z siły, napada na wrogów ze swoimi ludźmi, którym zachętą, słowem i czynem dodawał odwagi do stawienia oporu wrogom, a starłszy się z nimi, wielu spośród nich rani lub zabija” – tymi słowami Jan Długosz opisywał ostatnie chwile króla

eprasa.pl 30d58088c7



Jan Czesław Moniuszko „Przemysław przy zwłokach Ludgardy”

FOT. DOMENA PUBLICZNA/„KŁOSY” 1879 NR 732

Ponad 200 lat minęło, gdy ostatni władca Polski, Bolesław Śmiały (Szczodry), dostąpił zaszczytu rządzenia niepodzielnym państwem z tytułem królewskim. W 1295 r. odżyła nadzieja na odrodzenie Królestwa Polskiego, a tym samym zakończenie rozbicia dzielnicowego. Na krótko jednak. Przemysł II królował tylko siedem miesięcy. Był to Piast z krwi i kości. Praprawnuk Mieszka III Starego, zatem w prostej linii potomek trzeciego z naszych wielkich Bolesławów, Krzywoustego. „Żył lat 38 […], kraj podźwignął, wlewając w jego rozszarpane ciało ducha rządu, myśl jedności państwa pod jednym berłem, której trwałość na przyszłe czasy krwią swą opłacił” (Wójcicki, 1876).

Książę Wielkopolski

„Przemysł II pozostaje postacią słabo znaną, w gruncie rzeczy zapomnianą, dzieląc w tym los niemal wszystkich polskich władców doby rozbicia dzielnicowego. Od pozostałych jedno go tylko różniło – był królem” (Strzelczyk, 2010). Otóż to. Możemy nawet odważyć się na stwierdzenie, że Przemysł II także jako król Polski w świadomości społecznej zbytnio się nie utrwalił. Zatem nie został spełniony postulat wyrażony już w XV stuleciu przez naszego najwybitniejszego dziejopisa Jana Długosza: „Był mężem, którego naród polski przez wszystkie następne pokolenia i wieki winien sławić i wynosić w największych pochwałach jako tego, który ten naród wyniszczony i bezsilny podniósł i uczynił panem sąsiednich krajów. Pierwszy wlał weń żywotność, która miała mu zapewnić powodzenie przez wiele wieków, i dał światło za ciemnotę, wolność za niewolę, a smutek zamienił w radość”. Warto zatem krótko w tej opowieści nakreślić postać tego władcy.

Przemysł II był pogrobowcem, urodził się cztery miesiące po śmierci ojca, Przemysła I, władcy Wielkopolski. Opiekę nad nim zaczyna sprawować stryj Bolesław Pobożny. On doprowadza do ślubu bratanka z 13-letnią księżniczką meklemburską Ludgardą. Był to typowy ślub dynastyczny. Zawarto w ten sposób sojusz z Pomorzem Zachodnim. Poza tym takie przymierze mogło lepiej zabezpieczyć Wielkopolskę przed zakusami Brandenburgii. Prawdopodobnie już po ślubie młody książę obejmuje samodzielną władzę w dzielnicy poznańskiej przynależnej mu po ojcu. Gdy sześć lat później, w roku 1279, umiera jego stryj Bolesław Pobożny, który nie pozostawił męskiego potomka, Przemysł II obejmuje władzę nad całą Wielkopolską. Po 10 latach trwania związku małżonkowie dalej nie posiadają dziecka. „Tak szczęśliwe złączone kraje zamiast swoją potęgą potomkowi sposobność dźwignięcia ojczyzny podać, miały w razie bezdzietności stać się łupem współzawodników, powiększyć zamęt publiczny” (Szajnocha, 1849).

Książę przypuszcza, że żona jest bezpłodna. Według jednej z wersji wydarzeń postanawia zakończyć ten związek w sposób szybki, wcale nierzadki w średniowieczu. Według jednej z wersji wydarzeń postanawia zakończyć ten związek w sposób szybki, wcale nierzadki w średniowieczu. Dokonuje tego sam lub wydaje odpowiednie polecenie swoim ludziom. A być może i bez polecenia, ale przy „milczącej zgodzie”, bliscy współpracownicy księcia, aby wybawić go z kłopotu braku następcy, duszą poduszkami Ludgardę. Czy rzeczywiście w Przemyśle II odezwała się najgorsza z cech piastowskiego rodu – okrucieństwo? Tak przez wieki uważano za sprawą m.in. zapisów Jana Długosza, który – jak uważa prof. Tomasz Jurek – „wiedzę na temat Ludgardy czerpie głównie z pieśni ludowych i opisał tak barwnie ten dramat małżeński, że do Przemysła II przylgnęła opinia okrutnika […]. Nie da się jednak ukryć, że jest to rysa na wizerunku Przemysła II” („Władcy Polski”, 2018).

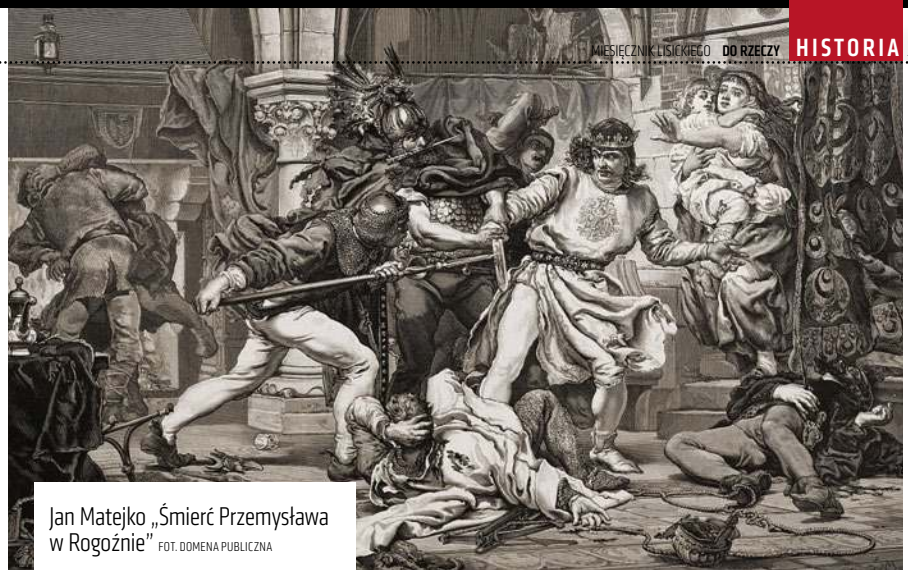
Jednak obecnie słychać, rzadkie co prawda, głosy, że Ludgarda zmarła z przyczyn naturalnych. „Rocznik Traski”, powstały w połowie XIV w., a więc prawie że współczesny temu wydarzeniu, zapisał tylko, że „prawdy o jej śmierci nikt nie zdołał zbadać”. I z tą tajemnicą pozostaniemy zapewne już na zawsze, niemniej badacze prawdopodobnie nie ustąpią. „Nie wydaje się, by można mówić o jakimkolwiek zamknięciu dyskusji; w nowszej nauce przeważa raczej sceptycyzm co do tezy o żonobójstwie” (Strzelczyk, 2010). Przemysł wyprawia żonie uroczysty pogrzeb. Ludgarda 14 grudnia 1283 r. zostaje pochowana w gnieźnieńskiej katedrze.

Król Polski

Książę po śmierci żony zmienił się bardzo, stał się wręcz mężem stanu. Dwa

eprasa.pl 30d58088c7





Jan Matejko „Śmierć Przemysława w Rogoźnie" FOT. DOMENA PUBLICZNA

tygodnie po tym tragicznym wydarzeniu tron arcybiskupa gnieźnieńskiego obejmuje Jakub Świnka. Na uroczystość przybywa Przemysł i w darze przekazuje mu wielkiej wartości pierścień. Uznaje się to wydarzenie za początek bardzo owocnej współpracy księcia Wielkopolski z księciem Kościoła. „W Przemysławie widać męża ambicyi wielkiej, zagrzanego myślą wskrzeszenia potęgi Chrobrych i Mieszków, za których spadkobiercę się uważał. Dobór do rady takich ludzi jak Świnka dowodzi, jaka myśl mu przewodniczyła" (Kraszewski, 1888). Taka postawa zapewne sprawiła, że Kościół jakoby nie zauważył padających na Przemysła podejrzeń o żonobójstwo, choć zawsze piętnował takie czyny. Historycy sugerują, że abp Świnka w ten sposób podporządkował księcia swoim planom, czyli idei zjednoczenia Polski. Jakub Świnka był księciem Kościoła, ale jeszcze bardziej politykiem, a nie moralistą, któremu od początku pasterzowania w Gnieźnie najbardziej zależało na odrodzeniu Królestwa Polskiego (jak i całemu wówczas polskiemu Kościołowi). Po śmierci Henryka Probusa Przemysł na krótko w 1290 r. zajmuje Kraków. Gdy z niego wyjeżdża, ze skarbca katedralnego zabiera insygnia koronacyjne Bolesława Śmiałego. Pięć lat później za zgodą papieża dochodzi do koronacji Przemysła II na króla Polski.

„Ważne zmiany zaszły tymczasem w Wielkopolsce i przyczyniły się do wzmocnienia potęgi i wpływu Przemysława. Książę pomorski Mestwin II albo Mszczug [obecnie częściej Mszczuj lub Mściwój – przy. red.], szczery przyjaciel i sojusznik wielkopolskiego księcia, umierając, ustanowił Przemysława swoim następcą. Ten wzrost potęgi poddał Przemysławowi myśl koronowania się królem całej Polski, ażeby przez zjednoczenie wszystkich książąt pod jednem berłem wznowić dawną ojczyzny potęgę […]. Dnia 26 lipca r. 1295 koronował się Przemysław w katedrze gnieźnieńskiej królem całej Polski i księciem Pomorza […]. Przemysław rozpoczął teraz rokowania z książętami i możnowładztwem, ażeby wspólnemi siłami obalić panowanie czeskie w Krakowie. Przedwczesna śmierć położyła jednak kres zamysłom dzielnego króla" (Sokołowski, 1911).

Aktu namaszczenia i koronacji dokonał arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka, „główny autor całej polityki koronacyjnej […]. Po 219 latach od czasu koronacji Bolesława Szczodrego (Śmiałego) Gniezno znów było miejscem koronacyjnego obrzędu, dokonanego tymi samymi insygniami, które wcześniej zdobiły majestat Bolesława" (Nowak, 2015). Być może dlatego, że władztwo Przemysła nie sięgało Krakowa, czyli najbardziej pożądanego tronu w Polsce, „do dzisiaj nie został rozstrzygnięty spór, czy koronował się na króla ogólnopolskiego czy też dzielnicowego" (Labuda, 2012), ponieważ jego władanie obejmowało tylko Wielkopolskę i Pomorze Gdańskie. Inaczej widzi to zagadnienie inny uczony, który uważa podobne oceny za „obrazoburcze", twierdząc, że „stworzenie takiego królewskiego trzonu państwa dawało szanse stopniowego rozszerzenia zwierzchnictwa króla na resztę Polski ciągle jeszcze książęcej […]. Na odwrotnej stronie pieczęci króla Przemysła widniał orzeł z koroną na głowie […]. To oczywisty znak roszczeń do Krakowa i ogólnopolskiego charakteru odnowionego królestwa" (Baszkiewicz, 2008).

Dla podkreślenia podniosłości tamtej chwili powiedzmy jeszcze, że pieczęć majestatyczna Przemysła II ozdobiona była napisem: „Sam Wszechpotężny zwrócił Polakom zwycięskie znaki". Bez wchodzenia w spory historyków możemy wprost powiedzieć, że był to pierwszy krok do zjednoczenia Królestwa Polskiego. Jednak już ćwierć wieku później (pomijając w tym czasie panowanie w Polsce czeskiego Wacława II) kolejny Piast, Władysław Łokietek, również przywdziewa koronę. Tym razem po raz pierwszy koronacja odbywa się w Krakowie. Od tego czasu Polska małymi kroczkami staje się wielką potęgą, a godność królewska już bez przerwy trwać będzie w naszym kraju aż do rozbiorów. Dodajmy przy tym, że żoną Łokietka była Jadwiga, córka Bolesława Pobożnego, zatem stryjeczna siostra Przemysła II, a później matka królowa ostatniego Piasta na polskim tronie, Kazimierza Wielkiego.

Zabójstwo króla

Po koronacji król objeżdża podległe mu ziemie, szczególnie Pomorze, gdzie potwierdza przywileje tamtejszej szlachty. Po powrocie pozostaje w Poznaniu, skąd 5 lutego 1296 r. udaje się na zapusty do Rogoźna. Mają one wówczas trwać

eprasa.pl 30d58088c7

trzy dni. „Nie wiemy, kto towarzyszył królowi w jego ostatniej podróży. Z uwagi na jej pokojowy charakter […] orszak królewski też zapewne nie był duży. Być może Przemysławowi towarzyszyło, oprócz grona dworzan, kilku urzędników wielkopolskich. Najprawdopodobniej też najpóźniej 7 lutego wieczorem znalazła się w okolicach Rogoźna zbrojna grupa zamierzająca dokonać następnego dnia napadu na króla […] zorganizowana przez margrabiów brandenburskich, a jej zadaniem miało być porwanie i uprowadzenie Przemysła – oczywiście na teren Brandenburgii. Inne źródła oskarżają o napad poddanych Przemysła („swoich"), z tym że kodeks szamotulski Rocznika Traski dodaje, że byli to członkowie rodu Zarembów. Wreszcie trzecia grupa źródeł oskarża o napad zarówno Brandenburczyków, jak i poddanych króla – Nałęczów i Zarembów" (Swieżawski, 2006). Wieczorem tego dnia podobno bardzo hucznie świętowano, i to tak mocno, że nikt nie zauważył nad ranem w Środę Popielcową 8 lutego wkradających się do dworu obcych zbrojnych. Straż mocno podpita została bez problemu obezwładniona. Jednak król zareagował i podjął z bandytami walkę. Został w niej ranny. A ponieważ celem najeźdźców nie było zabicie go, tylko uprowadzenie celem wymuszenia ustępstw na rzecz Brandenburgii, wykrwawiającego się monarchę wsadzono na konia. Ranny Przemysł nie mógł się utrzymać w siodle i opóźniał ucieczkę. Dowódca bandytów podjął decyzję, aby go dobić.

„Śmiertelny cios zadał polskiemu władcy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Pomorzanin Jakub Kaszuba. Ciało martwego monarchy porzucili Brandenburczycy przy drodze we wsi Sierniki […]. Wina za śmierć Piasta w całości spada na margrabiów brandenburskich i ich ludzi" (Leksykon, 1999). Co do udziału rodów Nałęczów i Zarębów w zbrodni – choć obciążano ich wówczas, to jednak do dziś nie znaleziono dowodów ich winy.

Wśród ludu krążyły po śmierci króla plotki, że zasłużył sobie na przedwczesną śmierć, choć oburzenie w narodzie po jego zabójstwie było wielkie. Jego zwłoki uroczyście pochowano w poznańskiej katedrze, obok drugiej żony Ryksy. „Cykl niejako się zamknął: książę, który na jednoczyciela Polski wyrósł w konsekwencji



Przemysł II. Rysunek Jana Matejki
FOT. DOMENA PUBLICZNA

skrytobójstwa, sam zakończył żywot z ręki skrytobójców" (Urbański, 2006). Na nim kończy się męska wielkopolska linia Piastów.

Przemysł dziedzica się nie doczekał, choć po śmierci Ludgardy był jeszcze dwukrotnie żonaty. Natomiast córka króla i jego drugiej żony Ryksy szwedzkiej, królewna Ryska Elżbieta, bardziej znana w Czechach jako Reiczka (Eliška Rejčka), została dwa razy królową – Polski i Czech jako żona Wacława II czeskiego oraz Czech jako żona Rudolfa III Habsburga. W wieku 19 lat była już dwukrotną wdową.

Opowieść tę ilustrujemy obrazami dwóch naszych wielkich malarzy historycznych, Jana Matejki i Wojciecha Gersona. Jakże odmienne są to artystyczne wizje śmierci Przemysła. W okresie, kiedy ci dwaj malarze tworzyli swoje obrazy, czyli w drugiej połowie XIX w., używano jeszcze w historiografii imienia króla „Przemysław" i dlatego oba te malowidła w tytule podają to właśnie imię. Obraz Gersona należy traktować jako alegorię śmierci króla polskiego Przemysła II. Przekazy historyczne nic nie mówią nam, aby król dokonał żywota w czasie snu. Natomiast tutaj artysta właśnie w taki sposób pokazał jego skrytobójczą śmierć. Malarz nie liczył się zatem z przekazami historycznymi, choćby z opowieścią Jana Długosza. Oto jej krótki fragment: „I choć król Przemysł, przerażony strasznym i niespodziewanym napadem, nie wiedział zupełnie, jacy wrogowie i w jakiej liczbie go napadli, opanowawszy jednak strach, jako mąż odważny i znany z siły, napada na wrogów ze swoimi ludźmi, którym zachętą, słowem i czynem dodawał odwagi do stawienia oporu wrogom, a starłszy się z nimi, wielu spośród nich rani lub zabija".

Wojciech Gerson był osobą jak na owe czasy wybitnie wykształconą, zatem być może uczynił tak, aby „Polacy żyjący pod zaborami, poza pełną napięcia historią, mogli zobaczyć w dziele alegorię swojego kraju – podstępnie zgładzonego, bez możliwości obrony, ale szlachetniejszego od napastników. Czy ta alegoria była prawdziwa? Na pewno świetnie namalowana" (Zarzycki, 2016). Kompozycja jest na tyle realnie ujęta, że oglądający obraz powinien zrozumieć, że chodzi tu o skrytobójstwo z obcego podszeptu.

U mistrza z ulicy Floriańskiej zbrodnia ta jest całkowicie inaczej ukazana. Na płótnie Jana Matejki pełno jest ruchu, walki, dynamiki. Widzimy króla ubranego w piękny strój z orłem na piersi, z koroną na głowie, podkreślającą jego majestat. Są też leżące na podłodze trupy, czyli jest tak, jak pisał Długosz. Nie będziemy dłużej zatrzymywać się przy tej kompozycji, którą czytelnik może zobaczyć na załączonej tutaj reprodukcji. To dzieło malarskie znajduje się w zbiorach Galerii Nowoczesnej w Zagrzebiu i zapewne mało osób jest wśród nas, które mogły ten obraz zobaczyć w oryginale. Natomiast płótno Wojciecha Gersona obejrzeć możemy, nomen omen, w Sali Matejkowskiej Muzeum Narodowego w Warszawie. Oba obrazy pobudzają jednak wyobraźnię widza, ukazując nieodwracalne zagrożenie, jednak bez ostatecznego rozwiązania, czyli samego zabójstwa i śmierci polskiego króla.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

LITERATURA:

„Piastowie. Leksykon biograficzny", *praca zbiorowa,* ***Kraków 1999;*** *Baszkiewicz J.,* ***„Odnowienie Królestwa Polskiego 1295–1320", Poznań 2008;*** *Kraszewski J.I.,* ***„Wizerunki królów i książąt polskich", Warszawa 1888;*** *Labuda G.,* ***„Pierwsze wieki monarchii piastowskiej", Poznań 2012;*** *Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski", Warszawa 2018;*** *Nowak A.,* ***„Dzieje Polski", t. 2, Kraków 2015;*** *Sokołowski A.,* ***„Dzieje Polski ilustrowane", t. 1, Wiedeń 1911;*** *Strzelczyk J.,* ***„Przemysł II – odnowiciel Królestwa Polskiego", „Rocznik Wieluński" 10, 2010;*** *Swieżawski A.,* ***„Przemysł król Polski", Warszawa 2006;*** *Szajnocha K.,* ***„Pierwsze odrodzenie się Polski 1279–1333", Lwów 1849;*** *Urbański M.,* ***„Poczet królowych i żon władców polskich", Warszawa 2006;*** *Wójcicki K.W.,* ***„Album Jana Matejki", Warszawa 1876;*** *Zarzycki J.,* ***„Wojciech Gerson, »Śmierć Przemysława (zamordowanie króla polskiego)«", Culture.pl, 2016.***

eprasa.pl 30d58088c7

XV–XXI w. / Czas na Kremlu



Baszta Spasska moskiewskiego Kremla oraz jej plany z XIX w. pokazujące usytuowanie zegara

FOT. ADOBE STOCK, KREML.RU

Najważniejszy zegar Rosji



Piotr Semka

Lenin, który dobrze rozumiał, jakie znaczenie symboliczne będzie miało wznowienie pracy zegara na Baszcie Spasskiej, nakazał bezpiece odnaleźć specjalistę znającego się na skomplikowanej konstrukcji z czasów carskich...

Kurant ten wybijał godzinę rozpoczęcia wielkich parad sowieckich i rosyjskich na placu Czerwonym z okazji 1 maja, 9 maja i 7 listopada (rocznica wybuchu rewolucji bolszewickiej). Co roku na tle Baszty Spasskiej Władimir Putin wygłasza ponadto przemówienie noworoczne. Jak wyglądały losy tego słynnego czasomierza i dlaczego jest on tak ważny dla Rosjan?

Symbol „trzeciego Rzymu”

Pod koniec XV w. na szczytach rosyjskich władz powstał pomysł, aby na jednej z baszt Kremla umieścić duży zegar, którego tarcza byłaby widoczna z daleka. Od 1491 r. przebudowę Kremla miał nadzorować włoski architekt Pietro Antonio Solari, sprowadzony do Rosji na życzenie wielkiego księcia moskiewskiego Iwana III Srogiego. To Solari nadał wyjątkowe znaczenie Baszcie Spasskiej, która powstała w miejscu innej ważnej dla mieszkańców Moskwy baszty. Wcześniej, przed rządami kniazia Iwana III, znajdującą się w tym miejscu basztę nazywano Bramą Frołowską od leżącej obok cerkwi świętych Froła i Ławra.

Iwan III nie szczędził pieniędzy włoskim architektom. Efektowną przebudową Kremla chciał uczcić uwieńczenie procesu „zbierania ziem ruskich”. Dodatkowo uważał, że religijno-polityczna teoria mówiąca, iż Moskwa to „trzeci Rzym”, musi być poświadczona wyjątkowym dziełem, pełnym architektonicznej

eprasa.pl 30d58088c7

potęgi. Włoski architekt ten efekt osiągnął.

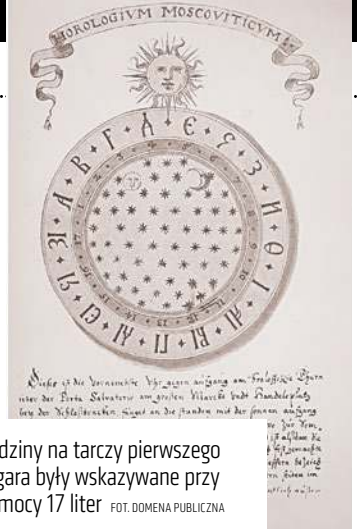
Od chwili, gdy na bramie zawieszono ikonę Zbawiciela w Siłach (rus. Spas w Silach), główną basztą bramną Kremla stała się Baszta Spasska. Już wcześniej brama była miejscem szczególnym z racji dwóch umieszczonych tam ikon – Zbawiciela Smoleńskiego (znajdującej się pod bramą wieży od strony placu Czerwonego) oraz jeszcze cenniejszego Obrazu Zbawiciela Nie Ludzką Ręką Uczynionego, który oglądać mogli tylko car i załoga Kremla. O znaczeniu tej baszty świadczyło to, że nie wolno było przejeżdżać pod nią konno (aby odchody nie zanieczyściły tego wyjątkowego miejsca) i że każdy, kto wchodził lub wychodził z Kremla, musiał zdjąć czapkę, aby oddać hołd dwóm świętym ikonom znajdującym się na zewnątrz i wewnątrz bramy. Przez bramę wpuszczano (pieszo) na dwór carski zagraniczne poselstwa, przez nią wychodziły na wojnę pułki mające walczyć w imieniu cara. Tędy też władcy Rosji dostawali się do swojego pałacu.

Najważniejszy zegar

Pierwszy zegar na Kremlu pojawił się prawdopodobnie w 1404 r. i był dziełem serbskiego mnicha Łazara z klasztoru na górze Athos w Grecji. Z czasem w całej Rosji instalowano coraz więcej czasomierzy. Zegary na Baszcie Spasskiej pojawiły się najpóźniej w 1585 r. Dokładna data nie jest znana, lecz wiadomo, że już w XV w. władcy rosyjscy zatrudniali zegarmistrzów, którzy pracowali także na Kremlu.

Zegar działał „odwrotnie" niż to, co znamy dzisiaj. Na baszcie znajdowała się ogromna tarcza, a na niej nieruchoma wskazówka skierowana w dół. Godzinę wskazywała obracająca się tarcza, na której zaznaczono jedynie 17 godzin. Stare rosyjskie zegary dzieliły dobę na godziny dzienne i nocne. Zegar ruszał w momencie wybicia dnia, a kończył działanie o pierwszej godzinie nocy.

Ten archaiczny sposób mierzenia czasu zaczął irytować cara Michaiła Fiodorowicza. Był to pierwszy car z dynastii Romanowów. Stary zegar z Baszty



Godziny na tarczy pierwszego zegara były wskazywane przy pomocy 17 liter FOT. DOMENA PUBLICZNA

Spasskiej został oddany klasztorowi jarosławskiemu, a zadanie wykonania nowego czasomierza otrzymał angielski mistrz Christopher Galloway.

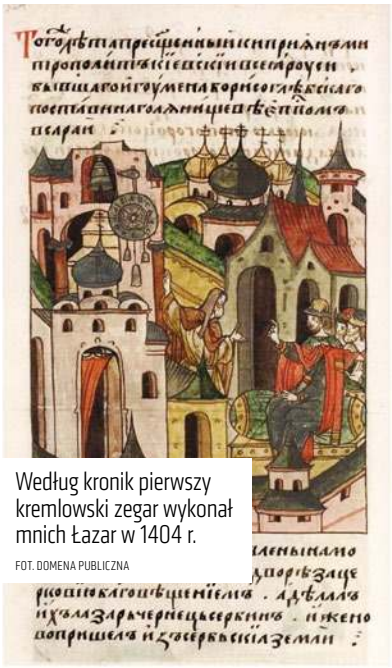
Największym zagrożeniem dla zegarów były w tamtych latach wybuchające co pewien czas pożary. Aby ochronić zegar w razie szalejącego żywiołu, obudowano go piękną rzeźbioną głowicą namiotową z białego kamienia, aby utrudnić dotarcie ognia do delikatnego mechanizmu. Mimo że „nowocześniejszy", to i tak kształt nowego zegara zaskoczyłby dzisiejszego obserwatora. Znów to nie wskazówki się obracały, ale sama tarcza prowadząca cyfry poza nieruchomą wiązkę słońca, która wskazywała godzinę na tarczy. Odczyty zegara były zmienne w zależności od wysokości przesilenia słonecznego. W najdłuższych dniach i godzinach było to 17 godzin dziennie.

Rosjanie nie wyobrażali sobie istnienia zegara bez kurantów. Ich odlaniem, skomponowaniem i stworzeniem specjalnego mechanizmu dla zespołu kilkunastu dzwonów zajął się w 1624 r. mistrz Kirył Samojłow. Pamiętać należy, że w obyczajowości rosyjskiej dzwony, a tym bardziej zespoły dzwonów, które tworzyły kuranty, były niezwykle ważnym symbolem. Rosyjski folklor pełen jest baśni, w których dzwon sam z siebie bije, aby ostrzec Rosjan przed wrogiem lub by przekazać znak od Boga, a także aby wyrazić rozpacz z powodu śmierci ukochanego przez Boga władcy. Bardzo często w czasie buntów i powstań dzwony wzywały do rebelii. Znane są ukazy carskie nakazujące duchownym wzmacnianie drzwi i montowanie skomplikowanych zamków, by ograniczyć dostęp do dzwonów rozmaitym buntownikom.

Zarówno zegar, jak i kuranty, mimo otoczenia mechanizmu czasomierza kamienną koronką, bardzo ucierpiały w wyniku pożaru Moskwy w 1654 r. Car Aleksy I Romanow, który powrócił do Moskwy po kampanii polskiej i spaleniu Wilna, uznał to za znak od Boga. Jak to odnotował jeden z ówczesnych rosyjskich kronikarzy: „Cała wieża stanęła w płomieniach z zegarem, dzwonami i wszystkimi ich akcesoriami. Te, spadając, swoim ciężarem zniszczyły dwa sklepienia z cegły i kamienia i tak oto ta niesamowita rzadkość została uszkodzona. Kiedy oczy cara wracającego z wyprawy wojennej padły z daleka na tę piękną spaloną wieżę, na której zniekształcone były ozdoby i wiatrowskazy, a różne posągi wyrzeźbione w kamieniu runęły na ziemię – zamarł. Widząc ten ogrom zniszczeń, car ronił obfite łzy". Baszta Spasska i zegar zostały odrestaurowane w 1668 r.

Nowa epoka i stara tradycja

W 1701 r. kolejny potężny pożar spustoszył Kreml. Zegar spłonął wraz z innymi budynkami. Wielki reformator i miłośnik nowinek Piotr Wielki postanowił wtedy wyrzucić dawny mechanizm zegara na złom i zamówić w swojej



Według kronik pierwszy kremlowski zegar wykonał mnich Łazar w 1404 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 30d58088c7



Poświęcenie ikony Zbawiciela (Spasa) na Baszcie Spasskiej, 2010 r.
FOT. KREMLIN.RU/WIKIPEDIA

ukochanej Holandii nowy zegar z dzwonkami.

Cztery lata później 30 wozów przywiozło z Amsterdamu do Moskwy zegar, za który mistrzowie holenderscy zażądali 42 474 rubli. W 1709 r. moskwianie mogli obejrzeć nową tarczę zegarową. Dzieło holenderskiego zegarmistrza Jakowa Garnela odpowiadało dzisiejszemu kształtowi tarcz zegarowych – była to okrągła tarcza podzielona na 12 godzin.

Kolejni władcy zaniedbywali jednak odpowiednią konserwację skomplikowanego mechanizmu zegara, a ten zaczął coraz częściej się psuć. Dopiero Katarzyna II, która bardzo dbała, aby wszystko w jej otoczeniu działało we wzorowy sposób, nakazała architektowi Wasilijowi Bażenowowi opracowanie efektownego projektu odbudowy całego Kremla włącznie z nowym zegarem. Ten projekt nigdy jednak nie został zrealizowany.

Nowy zegar, powstały na bazie starego zegara angielskiego, opracował niemiecki mistrz zegarmistrzowski, niejaki Facius. To nowe dzieło Katarzyny działało sprawnie, ale w 1812 r. wojska napoleońskie zajęły Kreml i zniszczono mechanizm zegarowy. Specjalna komisja pod kierownictwem mechanika Jakowa Lebiediewa naprawiła niedługo później urządzenie. Od 1815 r. moskwianie mogli znów regulować zegarki na podstawie czasomierza na Baszcie Spasskiej.

28 lutego 1851 r. szef moskiewskiego urzędu pałacowego znów skarżył się w liście do ministra pałacu cesarskiego, że „tarcze popadły w wielką ruinę, dębowa podstawa pod zegarem zgniła od długowieczności". Do kolejnego generalnego remontu zegara sprowadzono dwóch mistrzów zegarmistrzowskich, braci Nikołaja i Iwana Butenopów. Ostatni raz przed rewolucjami 1917 r. zegar naprawiany był w 1911 r.

Kuranty biją „Międzynarodówkę"

Baszta Spasska, podobnie jak Kreml, była w listopadzie 1917 r. odważnie broniona przez kadetów wiernych Rządowi Tymczasowemu Aleksandra Kiereńskiego. Aby zdobyć basztę i całą twierdzę, bolszewicy sprowadzili na plac Czerwony ciężką artylerię. Jej zadaniem był ostrzał ostatniej placówki w Moskwie, która nie chciała ulec nowej władzy. Pociski trafiły w bijący zegar, wyrwały wskazówkę zegara i mocno uszkodziły mechanizm obracający wskazówkami.

Lenin, który dobrze rozumiał, jakie znaczenie symboliczne będzie miało wznowienie pracy zegara na Baszcie Spasskiej, nakazał bezpiece Feliksa Dzierżyńskiego odnaleźć specjalistę znającego się na skomplikowanej konstrukcji. Czekiści swoje zadanie wykonali i sprowadzili na Kreml Nikołaja Berensa.

Gdy zasłużony zegarmistrz zorientował się, że nie chodzi o aresztowanie i rozstrzelanie, tylko o „prace naprawcze", mógł zająć się odbudową zniszczonego mechanizmu. Do dzwonów zegara kremlowskiego wykonano nowe wahadło o długości 1,5 m i wadze 32 kg. Ta naprawa wystarczyła na 17 lat. W tym czasie zauważono przy okazji, w jak kiepskiej kondycji znajduje się tarcza zegarowa wykonana z żelaza, na której wcześniej umieszczono pokryte płatkowym złotem cyfry. Złocenia odpadały z obręczy tarcz, więc należało wykonać nowe obręcze. Mechanizm zegara rozebrano w całości, wyczyszczono i pomalowano. Aby pokryć cztery obręcze tarcz godzinowych, wskazówki i cyfry, potrzebowano aż 26 kg złota.

W 1941 r. planowano zamontować nowy elektromechaniczny napęd zegara, ale wybuch wojny sowiecko-niemieckiej (w czerwcu) odsunął to zamierzenie na okres późniejszy. Wreszcie w 1974 r. ponownie wyremontowano najważniejszy zegar Rosji.

W czasach komunistycznych, krótko po rewolucji październikowej, zastąpiono carski hymn „Międzynarodówką". Od 18 sierpnia 1918 r. kuranty co trzy godziny grały „Internacjonał" na zmianę z tradycyjnym rosyjskim wojennym marszem żałobnym pt. „Padłeś ofiarą", jednak to skromne „ustępstwo" na rzecz przeszłości wzbudziło z czasem sprzeciw ideologicznych cerberów. Od 1932 r. kuranty odgrywały już tylko „Międzynarodówkę".

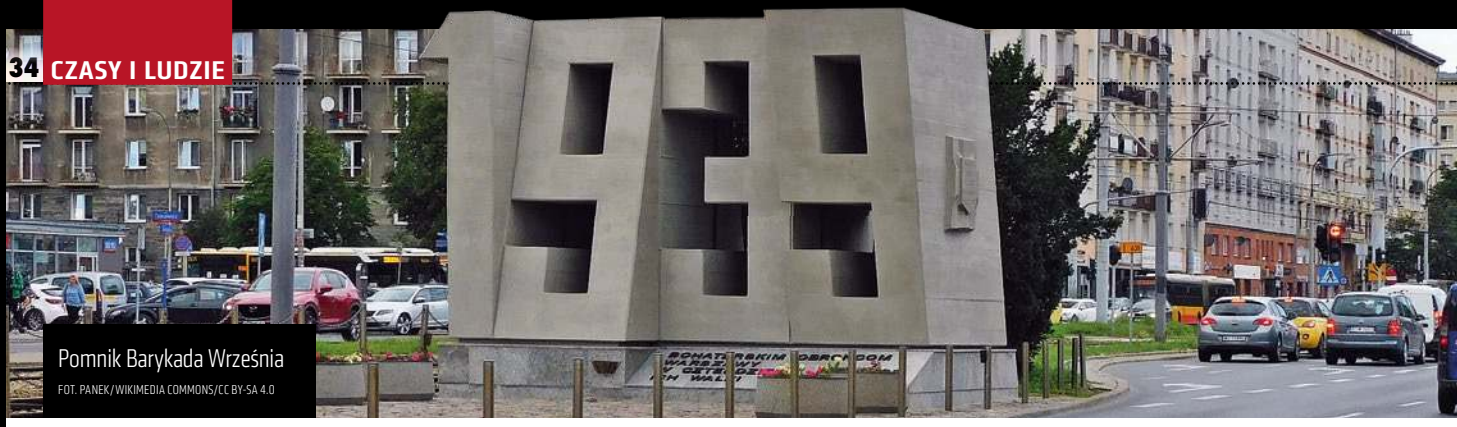
W końcu w całym Związku Sowieckim każdego dnia ludzie mogli wysłuchać dźwięku kurantów z Baszty Spasskiej. Podobnie jak w Polskim Radiu transmituje się hejnał z wieży mariackiej w Krakowie, tak w ZSRS transmitowano wygrywany przez dzwony hymn.

W 1944 r. ZSRS zrezygnował z „Międzynarodówki" jako hymnu narodowego i na rozkaz Stalina przyjęto nowy utwór, którego kompozytorem był Aleksandr Aleksandrow, a autorem słów Siergiej Michałkow. Jednak próby przestawienia kurantów na odgrywanie melodii nowego hymnu się nie powiodły. Do „Międzynarodówki" jednak już nie powrócono.

W 1996 r., z okazji inauguracji prezydentury Borysa Jelcyna, wprowadzono nowe utwory. O godz. 12 i 6 usłyszeć można pieśń patriotyczną, a o godz. 3 i 9 utwór „Chwała" z opery „Iwan Susanin". Na początku 2020 r. na dzwonnicy znajdowało się 17 dzwonów, ale tylko 14 z nich bije w rytm melodii lub oznajmia kolejne godziny. Dźwięk głównego dzwonu bijącego co godzinę jest dla milionów Rosjan brzmieniem, które wciąż powoduje patriotyczne wzruszenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 30d58088c7



Pomnik Barykada Września

FOT. PANEK/WIKIMEDIA COMMONS/CC BY-SA 4.0

1939 r. / Antoni Jan Brzozowski, Tadeusz Leonard Chorostecki, Bolesław Zygmunt Henryk Smulikowski

Kresowi oficerowie – obrońcy Warszawy



Marek Gałęzowski

Trzej młodzi podporucznicy należeli do pokolenia wychowanego w II Rzeczypospolitej i bohatersko jej bronili

„Żołnierze załogi Warszawy! Wódz Naczelny powierzył nam obronę stolicy. Żąda on, by o mury Warszawy rozbił się napór wroga, by został położony kres niszczenia polskich ziem [...]. Żołnierze! objęliśmy pozycję, z której nie ma zejścia. Na tej pozycji wróg może usłyszeć jedną tylko odpowiedź: »Dość! Ani kroku dalej«” – pisał gen. Walerian Czuma, dowódca obrony Warszawy, 8 września 1939 r., w dniu, kiedy pierwsze czołgi niemieckie zaatakowały stolicę Polski.

Atak odparto, a miasto trwało następnie w obronie przez kolejne trzy tygodnie. Oficerowie i żołnierze Wojska Polskiego, którzy podczas niej polegli, reprezentowali wszystkie rodzaje broni i pochodzili z różnych części Rzeczypospolitej. Niemało – z ziem wschodnich, które Polska utraciła po drugiej wojnie światowej. Wśród nich byli trzej podporucznicy rezerwy: Antoni Jan Brzozowski, Tadeusz Leonard Chorostecki i Bolesław Zygmunt Henryk Smulikowski, przez najbliższych nazywany Leszkiem.

Wnuk powstańca 1863 r.

Szlachecka rodzina Brzozowskich, pieczętujących się herbem Belina, osiadła na Podolu w drugiej połowie XVIII w., w tej jego części, która po rozbiorach Rzeczypospolitej została zagarnięta przez Rosję. I tam, w jednym z należących do niej majątków – Żabokrzycach (obecnie w odwodzie winnickim na Ukrainie) – w 1910 r. urodził się Jan A. Brzozowski. Jego dziadek – Jan Tadeusz Brzozowski – walczył w powstaniu styczniowym, za co był więziony przez władze rosyjskie; zapewne w 1887 r., po śmierci swojego

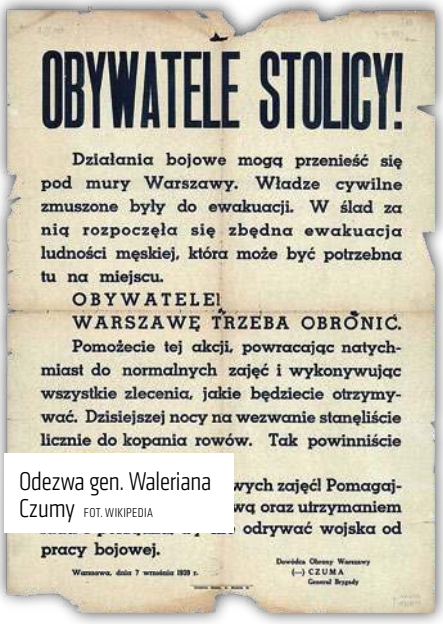
eprasa.pl 30d58088c7

ojca Zenona Izydora Antoniego, otrzymał m.in. Żabokrzyce. Wspomnijmy, że Zenon Brzozowski (czyli pradziad naszego bohatera) był absolwentem Liceum Krzemienieckiego, a w 1837 r. odbył z jego najsłynniejszym absolwentem, Juliuszem Słowackim, podróż do Grecji, a następnie Egiptu, Palestyny i Syrii.

Po traktacie ryskim Żabokrzyce znalazły się w granicach ZSRS; zapewne nieco wcześniej Brzozowski z rodzicami wyjechał do Polski. Egzamin maturalny zdał w szkole ojców marianów na Bielanach, wówczas pod Warszawą, dziś części miasta, a później ukończył studia w Wyższej Szkole Handlowej w Poznaniu. Pracował w handlu – w Gdyni, a następnie w powiecie kostopolskim na Wołyniu.

W 1933 r. Jan Antoni odbył roczną służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. Otrzymał ocenę dobrą, chociaż jego obowiązkowość, pilność i ambicję pracy, uzdolnienia wojskowe, zdolności dowodzenia, organizacyjne, kierownicze i wychowawcze uznano za małe bądź przeciętne. Wysoko oceniono natomiast stosunek do służby wojskowej oraz poczucie honoru i ambicji osobistej. Został następnie przydzielony jako podoficer rezerwy do 12. Pułku Ułanów Podolskich, w którym dowodził plutonem ciężkich karabinów maszynowych. W opinii z 1935 r. charakteryzowano Brzozowskiego nieco lepiej niż wcześniej: „Inicjatywę posiada, dość energiczny. Charakter mało wyrobiony; siła woli przeciętna [...]. Dość inteligentny [...]. Zdolności dowodzenia posiada, lecz nie pracuje nad ich rozwojem i pogłębieniem wiedzy wojskowej [...]. Zmysł organizacyjny posiada, zaradny. Skłonności do uchybień nie wykazywał. Dokładność w pracy i sumienność – przeciętna. W stosunku do podwładnych taktowny i opanowany. Rozumie psychikę żołnierza, jednak w drużynie swej za mało wykazał troskliwości o konie i podwładnych".

Opinia ta dała ocenę dobrą, jednak według dowódcy pułku płk. Bronisława Rakowskiego nie pozwalało to jeszcze mianować Brzozowskiego na stopień oficerski, co ten wybitny później dowódca w II Korpusie PSZ na Zachodzie uzasadniał w ten sposób, że młody podchorąży „nie wykazał chęci przypomnienia i pogłębienia wiadomości wojskowych". Z pierwszym dniem 1937 r. został jednak mianowany podporucznikiem, a rok później przeniesiono go do 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich. Tam uzyskał ocenę dobrą i lepszą opinię niż w poprzednich latach: „Karny, pracowity, lojalny, sumienny w wykonywaniu obowiązków służbowych. Towarzysko bardzo dobrze wyrobiony. Wiedzę wojskową posiada w dużym stopniu. Nadaje się na d-cę plutonu ckm. W czasie ćwiczeń otrzymał dobre wyniki [...]. Chętny do służby. W terenie się orientuje – stosunek do podwładnych wzorowy – dyscyplinowany, towarzysko wyrobiony".


OBYWATELE STOLICY!

Działania bojowe mogą przenieść się pod mury Warszawy. Władze cywilne zmuszone były do ewakuacji. W ślad za nią rozpoczęła się zbędna ewakuacja ludności męskiej, która może być potrzebna tu na miejscu.

OBYWATELE!
WARSZAWĘ TRZEBA OBRONIĆ.

Pomożecie tej akcji, powracając natychmiast do normalnych zajęć i wykonywując wszystkie zlecenia, jakie będziecie otrzymywać. Dzisiejszej nocy na wezwanie stanęliście licznie do kopania rowów. Tak powinniście

...wych zajęć! Pomagaj-
...wą oraz utrzymaniem
... odrywać wojska od
pracy bojowej.

Dowódca Obrony Warszawy
(—) CZUMA
Generał Brygady

Warszawa, dnia 7 września 1939 r.

Odezwa gen. Waleriana Czumy FOT. WIKIPEDIA

W chwili wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. Brzozowski był dowódcą plutonu szwadronu kolarzy w macierzystym pułku, który przydzielono do Pomorskiej Brygady Kawalerii. Z nią też uczestniczył w największej bitwie polskiego września – nad Bzurą. I to jego pluton odznaczył się w zwycięskim boju o zdobycie Góry Ozorkowej. Potem walczył pod Orlą i był wśród tych, którzy przedarli się przez Puszczę Kampinoską do oblężonej przez Niemców Warszawy. Na Bielanach – tam, gdzie niegdyś uczęszczał do gimnazjum – grupę tę dołączono do tzw. dywizjonu detaszowanego 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich rtm. Antoniego Wieniewskiego i skierowano do obrony Mokotowa.

Nie wiadomo, czy ppor. Brzozowski wziął udział w tych walkach. Według jednej wersji poległ bowiem 22 września 1939 r. w parku Łazienkowskim, podczas ostrzału artylerii niemieckiej. Jednak w innych opracowaniach pojawia się informacja, że bił się pod dowództwem rtm. Wieniewskiego w pobliżu Królikarni i wraz z nim poległ tam 25 września. Podporucznik rezerwy Jan Antoni Brzozowski, szwoleżer i potomek powstańca styczniowego, został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

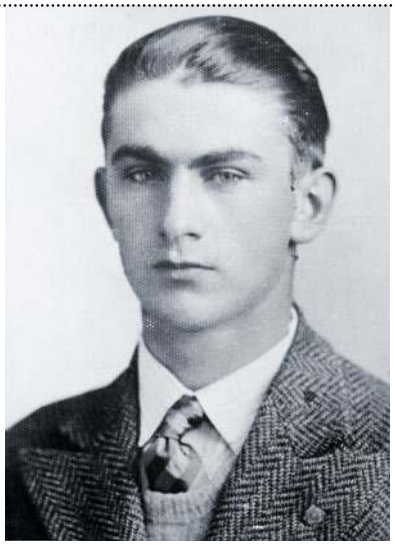
Badacz endemitów z polskich jezior

Drugi z bohaterów naszej opowieści – Bolesław Zygmunt Henryk Smulikowski – wywodził się ze Lwowa. W rodzinnym mieście ukończył Gimnazjum Matematyczno-Przyrodnicze im. Braci Śniadeckich i rozpoczął studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Dorosłe życie związał z Warszawą i tamtejszym uniwersytetem, w którym po ukończeniu studiów rozpoczął pracę naukową. Rodzice Bolesława należeli do drugiego pokolenia niepokornych XIX w. Julian Smulikowski był nauczycielem, wybitnym działaczem Związku Nauczycielstwa Polskiego, publicystą oświatowym, posłem na Sejm RP, najpierw reprezentującym Polską Partię Socjalistyczną, po 1926 r. – piłsudczykowski Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Przed listopadem 1918 r. działał też w środowisku niepodległościowym, m.in. w POW, za co został odznaczony Krzyżem Niepodległości. Matka, Maria, również nauczycielka, dyrektorka szkół, aktywna w ruchu nauczycielskim, w czasie drugiej wojny światowej uczestniczyła w cywilnej obronie Warszawy, należała do AK i brała udział w ratowaniu Żydów przez Zagładą. Brat Bolesława, Adam, podobnie jak rodzice nauczyciel i jak on oficer uczestniczący w obronie Warszawy, po kapitulacji był kolejno w SZP – ZWZ – AK. Pełnił funkcję kuriera i kierownika Odcinka Południe, a później służył w Bazie Łączności AK w Szwajcarii.

Angażował się w działalność polityczną. Należał do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, uczestniczył w protestach przeciw szykanom wobec

eprasa.pl 30d58088c7





Zygmunt Smulikowski, na obu zdjęciach FOT. MUZEUM I INSTYTUT ZOOLOGII PAN

studentów pochodzenia żydowskiego na uczelniach wyższych, co spowodowało nawet poturbowanie go przez bojówkę Obozu Narodowo-Radykalnego.

Po ukończeniu studiów został asystentem w Katedrze Zoologii Systematycznej i Morfologicznej UW. Specjalizował się w limnologii, czyli hydrologii jezior, badającej życie w śródlądowych zbiornikach wodnych, „ze szczególnym uwzględnieniem rozsiedlenia i ekologii małżów z rodziny groszkówek (Pisidium) współczesnych i subfosylnych jez. Wigry. […] Oznaczał materiały Pisidium nadsyłane z zagranicy, m.in. do pracy Kaj Berga, dotyczącej fauny dennej jeziora Esrom w Danii (Zelandia)" – tak charakteryzowano jego zainteresowania badawcze w „Słowniku biologów polskich".

Jego matka wspominała, że prowadził korespondencję z naukowcami z Kanady i Wielkiej Brytanii, którym wysyłał odkryte przez siebie okazy fauny endemicznej, m.in. z jeziora Wigry oraz tatrzańskich stawów. „Z wielkim znawstwem nagromadzone materiały oraz ukończona w rękopisie praca uległy zniszczeniu w czasie okupacji [ściślej – podczas nalotów niemieckich na Warszawę – przyp. M.G.]" – wspominała matka.

Po maturze Smulikowski odbył służbę w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Biedrusku (powiat poznański), którą ukończył z wynikiem zadowalającym: „Inteligencja znaczna. Charakter zapalczywy, mało podatny na wpływy. Orientacja słaba. Jako żołnierz dobrze wyszkolony. Ambicja duża – nawet wygórowana. Zdolny. Wiadomości z k.m. – dobre. Wytrzymałość marszowa mała. Jako strzelec – przeciętny. Prezencja dobra".

Przydzielony następnie do 26. pp szybko zasłużył na lepszą opinię: „Energiczny, bardzo ambitny, charakter ustalony, opanowany, zdyscyplinowany, obowiązkowy, pracowity. Towarzysko wyrobiony, bardzo koleżeński […]. Fizycznie bardzo wytrzymały – ruchliwy. Postawa bardzo dobra. Przed frontem prezentuje się bardzo dobrze […]. Umysł jasny, bystry. Pamięć bardzo dobra. Orientuje się bardzo dobrze i szybko. Odporny na najcięższe warunki w służbie. Decyzja bardzo szybka i pewna. W pracy bardzo dokładny i sumienny. Rozkazy wykonuje ściśle. Samodzielny".

Podkreślano również jego zdolności instruktorskie i taktyczne, a także to, „że zachowaniem swym i dokładnym wykonaniem obowiązków potrafi dać przykład podwładnym […]. Potrafi utrzymać dyscyplinę w oddziale". W konkluzji uznawano, że nadaje się bardzo dobrze na dowódcę plutonu i broni towarzyszących.

1 stycznia 1935 r. został mianowany podporucznikiem. W następnym roku odbył ćwiczenia w 35. pp. Otrzymał ocenę słabszą niż w poprzednich latach: „Pracowity, ambitny, charakter wyrobiony, melancholijnego usposobienia, powolny, mało energiczny. Żadnymi zdolnościami nie wyróżnia się". W drugiej opinii pisano, że „nie przejawia zapału w pracy. Powolny, bez dążności do narzucenia własnego wpływu podwładnym. W pojmowaniu obowiązków jest tylko biernym wykonawcą", co wyraziło się w ocenie dostatecznej jako dowódcy plutonu. Ostatecznie uznano go za dobrego dowódcę plutonu, ale z adnotacją, że nadaje się jedynie na to stanowisko.

Wkrótce został przeniesiony do 21. Warszawskiego Pułku Piechoty „Dzieci Warszawy", gdzie uzyskał znacznie lepszą ocenę niż poprzednią: „Duża inteligencja, umysł bystry i szybko orientujący się w każdej nowej sytuacji. Charakter zrównoważony, służbę wojskową traktuje poważnie. W sytuacji państwa zorientowany bardzo dobrze".

Ocenę bezpośredniego przełożonego podzielał dowódca batalionu, w którym służył Smulikowski: „Inteligentny, zdolny. Fachowo dobrze przygotowany. Ogólnie dobry dowódca plutonu km. Pod względem fizycznym wytrzymały i odporny na trudy. Ogólne zdolności posiada w dużym stopniu, jako instruktor i dowódca plutonu zdolny. W służbie osiągnął dodatnie wyniki. Osobiście nabył doświadczenia i praktyki w dowodzeniu. Dobry dowódca plutonu km".

Według dostępnych źródeł i publikacji we wrześniu 1939 r. dowodził plutonem w I batalionie macierzystego pułku. Matka, którą po raz ostatni odwiedził w tym czasie, zapamiętała jego zaczerwienione z niewyspania oczy i prośbę o poczęstowanie skumbriami w tomacie (jak mówiono o konserwie rybnej – makreli lub płoci w sosie pomidorowym, który to zwrot stał się zresztą znany dzięki satyrycznemu wierszykowi Konstantego I. Gałczyńskiego o tym samym tytule), a później odjazd na motocyklu na swoją pozycję bojową.

Został ciężko ranny 15 września 1939 r., podczas natarcia Niemców na pozycje polskie przy ul. Grochowskiej; wówczas to stoczono bodaj najcięższą bitwę w obronie prawobrzeżnej Warszawy. Zmarł 10 dni później w Szpitalu

eprasa.pl 30d58088c7



Żołnierze 40. Pułku Piechoty ze Lwowa, w którym służył Tadeusz Chorostecki. Poniżej odznaka pamiątkowa pułku

FOT. MICHALJANIK/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0, ELŻBIETA KOSSECKA/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

Ujazdowskim. Jego przedmioty osobiste – wieczne pióro oraz papierośnicę z połówką papierosa – przekazano matce. Obiecujący naukowiec spoczął w prowizorycznej mogile przy Szpitalu Ujazdowskim, a później, jak wielu innych obrońców Warszawy, na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Wojna nie tylko przerwała jego życie w wieku 27 lat, lecz także – jak wspomniano – pochłonęła też jego prace naukowe.



„Energiczny, inicjatywa duża, duże poczucie honoru”

„Straszliwy ogień artylerii i czołgów odniósł skutki [...]. Trzy pociski artyleryjskie trafiają w schron, grzebiąc rannych, w tym dowódcę 1. plutonu Tadeusza [L.] Chorosteckiego” – pisał Marek Sadzewicz w książce o obronie Woli i Ochoty. Chorostecki, urodzony w 1911 r. w Łopatynie (powiat radziechowski w Tarnopolskiem), był rówieśnikiem Bolesława Smulikowskiego. Uczył się w Gimnazjum im. Króla Jana III Sobieskiego w Złoczowie, gdzie w 1932 r. zdał egzamin maturalny. Rok później ukończył II Kurs Dywizyjny Podchorążych Rezerwy Piechoty przy 19. pp, z oceną dobrą. W opinii dostrzeżono jego bardzo duże zainteresowanie służbą wojskową, obowiązkowość i zdyscyplinowanie, uznając, że zapowiada się na bardzo dobrego oficera liniowego. Mieszkał następnie w Łopatynie.

Jako oficer rezerwy został przydzielony do 40. pp „Dzieci Lwowskich” na stanowisko dowódcy plutonu. W 1935 r. uzyskał ocenę bardzo dobrą: „Energiczny, inicjatywa duża, duże poczucie honoru i godności osobistej, solidarny, koleżeński, towarzyszki. Do służby wojskowej i wojska ma zamiłowanie. Fizycznie dobrze rozwinięty, postawny [...]. Inteligencja duża, bystry, spostrzegawczy, decyzja szybka i dość trafna [...]. Plutonem dowodzi dobrze. Posiada silny charakter niepodatny na złe wpływy, wymagający i sprawiedliwy, usposobienia łagodnego, troskliwy o swych podwładnych”.

W obronie Warszawy dowodził plutonem w II batalionie 40. pp. W pierwszych dniach walk zajął on stanowisko przy ul. Opaczewskiej i u wylotu ul. Szczęśliwickiej na Ochocie. Już w czasie pierwszego szturmu niemieckich oddziałów pancernych na Warszawę 8 i 9 września 1939 r. Chorostecki odznaczył się tak bohaterską postawą, że przedstawiono go do odznaczenia Virtuti Militari. 19 września został ranny odłamkiem gruzu w głowę podczas ostrzału artylerii niemieckiej. Kiedy sześć dni później wskutek bombardowania zniszczeniu uległo skrzydło narożnego budynku przy ul. Opaczewskiej, co spowodowało uwięzienie pod gruzami części żołnierzy jego kompanii, ppor. Chorostecki „zorganizował natychmiast akcję ratunkową, usunął gruz z klatki schodowej i dotarł do zawalonych piwnic, wynosząc rannych żołnierzy”.

Poległ następnego dnia – 26 września 1939 r. – w czasie generalnego szturmu Niemców na Warszawę, na pozycji, której bronił od początku bitwy o stolicę Polski – przy ul. Opaczewskiej.

*

Dzieciństwo wszystkich bohaterów tej historii przypadło jeszcze na okres, kiedy ich ojczyzna znajdowała się w niewoli trzech zaborców. Dalsza część ich życia upłynęła w niepodległej Polsce, w której szkołach zdali egzaminy maturalne, a później odbyli służbę wojskową. Wszyscy we wrześniu 1939 r. bronili stolicy Polski, wykazując się wybitnym poczuciem obowiązku i honoru. W tej walce oddali życie i na zawsze spoczęli na warszawskich cmentarzach. Niech w narodowej pamięci pozostanie obraz tych mężnych oficerów Wojska Polskiego!



Żołnierze niemieccy na ulicy Grójeckiej FOT. NAC

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl 30d58088c7



Robotnicy Republic Gold Mining Company, 1888 r.
FOT. ROBERT HARRIS/WIKIMEDIA COMMONS

XIX w. / Diamenty, podboje i zakochana Polka

Imperium Rhodesa



Anna Szczepańska

Linię kolejową od Kairu do Kapsztadu, spinającą brytyjskie posiadłości w Afryce, miał zbudować polityk, wizjoner, a w końcu jeden z najbogatszych ludzi na świecie – Cecil Rhodes. Na jego cześć dzisiejsze tereny Zambii i Zimbabwe nazwano Rodezją

Pomnik Cecila Rhodesa został usunięty sprzed gmachu Uniwersytetu Kapsztadzkiego w 2015 r. Obalaniu monumentu towarzyszyły wiwaty, śpiewy i radosne okrzyki. Tak czarni mieszkańcy Kapsztadu świętowali upadek symbolu zniewolenia, rasizmu i imperialnej polityki białego człowieka. Pomnik usuwano z terenu, który Rhodes przekazał na rozbudowę uniwersytetu. Pięć lat później podobną decyzję podjął Uniwersytet Oksfordzki, który usunął wizerunek Rhodesa z przestrzeni publicznej. Ironią w tym przypadku jest to, że to Cecil Rhodes ufundował stypendium, dzięki któremu tysiące młodych ludzi (także z kolonii) mogło studiować właśnie na Oksfordzie. Rhodes zasłynął powiedzeniem: „Urodzić się Anglikiem to jak wygrać pierwszą nagrodę na loterii życia". To chyba dobrze oddaje jego charakter i przekonanie o dziejowej misji synów Albionu.

Pochodził z dość zamożnej rodziny i miał przed sobą wszelkie perspektywy na zrobienie wielkiej kariery. Choć początkowo mogło się wydawać, że wszelkie plany pokrzyżowały mu choroby. Zamiast w mury uczelni, w 1870 r. został wysłany do Południowej Afryki, gdzie miał podratować zdrowie. Siedemnastoletni Rhodes dołączył do brata nadzorującego plantację bawełny w Natalu. Interes nie szedł zbyt dobrze, toteż obaj postanowili przenieść się do Kolonii Przylądkowej w okolice Kimberley, gdzie rozpoczynała się właśnie „diamentowa gorączka". Kolejne lata pokazały niezwykły upór Rhodesa. Życie dzielił pomiędzy kopalnie i studia na Oksfordzie, które ukończył w 1881 r. Zaczął snuć śmiałe wizje budowy imperialnej potęgi Wielkiej Brytanii. Opowiadał o monumentalnej inwestycji, którą miała być linia kolejowa od Kairu do Kapsztadu. Marzył o pogodzeniu Brytyjczyków i Burów, którzy żyliby pod wspólną, oczywiście brytyjską, flagą. Niektórzy byli tymi planami zafascynowani, inni uznawali go za szaleńca.

Oprócz marzeń Rhodes miał przede wszystkim talent do interesów. W latach 80. założył De Beers Mining Company. Dekadę później firma, wykupując mniejsze przedsiębiorstwa, odpowiadała za

eprasa.pl 30d58088c7

niemal 90 proc. światowego wydobycia diamentów.

Brytyjska Afryka

Mapa brytyjskich posiadłości u południowego krańca Czarnego Lądu w połowie XIX w. nie prezentowała się imponująco. Na przełomie wieków XVIII i XIX Wielka Brytania przejęła co prawda holenderskie kolonie na tym obszarze, lecz szybko wdała się w spory z mieszkającymi w Afryce holenderskimi osadnikami (zwanymi Burami) oraz afrykańską ludnością (w tym z potężnym władcą Zulusów Czaką). W latach 30. XIX w. Burowie ruszyli na północ (tzw. Wielki Trek), tworząc dwie republiki: Transwal i Oranię. W tym czasie Brytyjczycy zajmowali Kolonię Przylądkową i Natal.

O podboju terenów na północ od Kolonii Przylądkowej Rhodes myślał wiele lat. Wierzył, że Brytyjczycy są predestynowani do przejęcia nieznanego interioru Afryki. Był przekonany, że Londyn może wygrać wyścig o Afrykę z innymi europejskimi mocarstwami, tym bardziej że u progu lat 80. XIX w. granice europejskich wpływów nie zostały jeszcze ustalone. Problemem dla Rhodesa był jednak brytyjski rząd, który nie wydawał się zainteresowany perspektywą, którą roztaczał biznesmen z południa Afryki. Zdaniem Rhodesa czynnikiem hamującym ekspansję byli też chrześcijańscy misjonarze, którzy za mocno przejmowali się losem miejscowej afrykańskiej ludności.

„Przestrzegam Izbę, że jeśli zrezygnuje z kontroli interioru, to spadniemy z pozycji najważniejszego państwa w Południowej Afryce do roli niewielkiego kraju" – podkreślał w parlamencie w Kapsztadzie, w którym zasiadał od początku lat 80. Rhodes liczył, że Burowie (którzy także byli biali, a więc na pewno rozsądni) podporządkują się Brytyjczykom. Wspólnie można było stawić czoła afrykańskim plemionom i skierować się na Beczuanę, a później do Matabelelandu (dziś Zimbabwe) i dalej na północ. Burowie nie byli jednak skłonni do współpracy. W 1880 r. wybuchła pierwsza wojna burska, a Wielka Brytania została zmuszona uznać niepodległość Transwalu.

Rhodes rozumiał, jak ważne jest poparcie Burów dla jego planów. Utrzymywał kontakty z burskimi politykami, w tym z prezydentem Transwalu Paulem Krugerem, który jednak nie miał o nim najlepszego zdania, nazywając go „uosobieniem kapitału", a nawet „przekleństwem Afryki Południowej". Dziś mało kto pamięta, że w tamtym czasie z wpływami i bogactwem Transwalczyków należało się liczyć. Byli jedną ze stron w czasie konferencji berlińskiej w 1884 r., kiedy zdecydowano o podziale Afryki pomiędzy europejskie mocarstwa.

W 1885 r. Rhodes ogłosił objęcie Beczuany protektoratem. Zadanie to zgodził się finansować rząd w Kapsztadzie za aprobatą Londynu. Obszar ten, czyli dzisiejsza Botswana, Rhodes określał jako „południowoafrykański Kanał Sueski" i klucz do wnętrza Afryki. W 1885 r. Rhodes oczami wyobraźni widział już linię kolejową biegnącą z Kapsztadu przez Beczuanę do Matabelelandu. Zajęcie Beczuany było pierwszym krokiem do realizacji projektu. Niewykluczone przy tym, że zajęto ją w ostatniej chwili, gdyż obszarem tym zainteresowani byli Transwal, a także niemieccy kupcy, którzy od 1884 r. pojawiali się na południowo-zachodnim wybrzeżu Afryki (dzisiejsza Namibia). Zdaniem historyka Henryka Zinsa rosło zagrożenie zawiązania sojuszu pomiędzy Transwalem i Niemcami. Taki układ odciąłby Brytyjczyków na dłuższy czas możliwość ekspansji na północ.



Pomnik Cecila Rhodesa, który stał na terenie Uniwersytetu Kapsztadzkiego
FOT. DANIE VAN DER MERWE/WIKIMEDIA COMMONS



Cecil Rhodes FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Lokalny patriota

Rhodes posiadał szeroką autonomię względem rządu w Londynie. Decydowała o tym w pewnym sensie niezwykła rozpiętość brytyjskiej polityki zagranicznej. Londyn zaangażowany był na północy Afryki, w Azji, na Bliskim Wschodzie. Cecil Rhodes, który dał się poznać jako lokalny patriota, był zarazem gorącym orędownikiem brytyjskiego panowania nad Afryką. W Londynie ufano, że podejmie odpowiednie decyzje i zabezpieczy interesy Korony na południu Afryki.

Rosło też przekonanie (zarówno wśród południowoafrykańskich Brytyjczyków, jak i w Wielkiej Brytanii), że panowanie nad Afryką jest zarezerwowane dla Londynu. Władzą nad kontynentem, z racji jego powierzchni, trzeba było się podzielić, lecz przejmowanie poszczególnych terytoriów powinno odbywać się za brytyjską akceptacją. W tym kontekście Brytyjczykom nie podobało się przejęcie przez Portugalczyków Angoli i Mozambiku. Jeszcze groźniejsze dla interesów Korony było pojawienie się Niemców w południowej części Afryki i zajęcie dzisiejszej Namibii. W Londynie odczytywano to jako wtrącanie się Niemiec w nie swoje sprawy. Taki pogląd nie był nowością. Już w 1875 r. brytyjski minister do spraw kolonii, lord Carnarvon, wskazywał: „Nie chciałbym, aby ktokolwiek usadowił się nazbyt blisko nas na południe od Transwalu, który musi być nasz; lub na północy zbyt blisko Egiptu". Kiedy Beczuana dostała się Brytyjczykom, Rhodes był pewny, że wszystko potoczy się po jego myśli. Niektórzy misjonarze działający na terenie Matabelelandu byli przychylni pomysłom, aby teren ten dołączyć do brytyjskiego dominium. To oni zachęcali lokalnych wodzów, aby sprzedawali ziemię brytyjskim firmom wydobywczym. Dla zbiurokratyzowanych Brytyjczyków traktaty podpisywane nawet pod kolbami karabinów

eprasa.pl 30d58088c7

miały urzędową wartość. W 1888 r. król ludu Matabele, Lobengula, podpisał umowę z Brytyjczykami, która umożliwiała wydobywanie cennych surowców (Rhodes utworzył wtedy British South Africa Company). Taki traktat oznaczał w praktyce oddanie ziemi Brytyjczykom, choć Lobengula wierzył, że zezwolił białemu człowiekowi jedynie na wykopanie w ziemi „wielkiej dziury".

Po zajęciu Matabelelandu przyszła kolej na podporządkowanie Maszonalandu (dziś północne Zimbabwe) oraz Niasy (Malawi). W 1890 r. Brytyjczycy ruszyli na terytorium ludu Maszona, gdzie założyli Salisbury (Harare), oraz na obszar dzisiejszej Zambii, podporządkowując sobie stopniowo całą krainę. Rok później podobna wyprawa ruszyła do Niasy. Obok złamania oporu Afrykanów Brytyjczycy musieli stoczyć ciężkie walki z arabskimi handlarzami niewolników i kości słoniowej.

Na wszystkich tych terenach, choć były to formalnie brytyjskie kolonie, przemożne wpływy zyskały potężne firmy należące do Rhodesa. Na cześć pioniera, wizjonera i diamentowego potentata terytoria na północ od Beczuany nazwano Rodezją.

Premier

W 1890 r. Cecil Rhodes został premierem Kolonii Przylądkowej i stał się najpotężniejszą postacią w południowej Afryce. Licząc na większy rozwój przemysłu wydobywczego, planował usunąć Afrykanów z ich ziem. Miało to na celu zmuszenie ich do poszukiwania pracy w górnictwie. Jak twierdził Rhodes, należało przyzwyczaić czarnych do myśli, że większość z nich spędzi życie na pracy fizycznej – przede wszystkim pracy w brytyjskich spółkach wydobywczych. Choć niewolnictwo było już zniesione, to warunki zatrudnienia Afrykanów urągały ludzkiej godności.

W 1892 r. Rhodes doprowadził do wprowadzenia ustaw pozbawiających prawa głosu niemal wszystkich czarnych oraz biedniejszych białych. Afrykanie zostali zepchnięci na margines jeszcze bardziej, kiedy – także za sprawą Rhodesa – wprowadzono prawo zakazujące czarnym osiedlania się w niektórych



Lobengula, król ludu Matabele FOT. WIKIPEDIA



Katarzyna z Rzewuskich Radziwiłłowa. Malował Giovanni Boldini FOT. CHRISTIE'S/WIKIMEDIA COMMONS

regionach. Było to preludium do wprowadzanych w dalszych latach apartheidowskich ustaw i segregacji rasowej na terenie południowej Afryki.

Pomimo licznych sukcesów Rhodesa wciąż nękał jeden problem – Transwal i niepokorny Paul Kruger, który (zwłaszcza po wygranej w pierwszej wojnie burskiej) nie zamierzał podporządkować się Brytyjczykom. Frustrację Rhodesa potęgowało to, że Transwal dosłownie leżał na surowcach. Tego samego nie można było powiedzieć o Rodezji, która, choć też zasobna, to jednak trochę rozczarowała Rhodesa. Od połowy lat 90. zaczął wspierać opozycyjnych wobec Krugera działaczy zwanych Uitlanders. Pod koniec grudnia 1895 r. z Kolonii Przylądkowej ruszył tzw. rajd Jamesona, którego celem było wsparcie zbrojne „Uitlanderów", a następnie wezwanie na pomoc Brytyjczyków i wspólne obalenie Krugera. Oficjalnie była to akcja niezależna od rządu w Kapsztadzie, jednak szybko wyszło na jaw, że powiązany jest z nią Rhodes. Akcja zakończyła się kompromitacją. Burowie pojmali członków ekspedycji i wydali ich Brytyjczykom. Bezpośrednim skutkiem rajdu był upadek kariery politycznej Rhodesa. W 1896 r. zrezygnował z funkcji premiera, porzucił plany podboju Afryki i zamieszkał w Rodezji. Rajd Jamesona uznaje się też za jeden z powodów wybuchu drugiej wojny burskiej (1899–1902). Choć jej początki były obiecujące dla Burów, to ostatecznie wojska brytyjskie pokonały Transwal i Oranię i włączyły obie republiki do swoich posiadłości.

Plotki i skandale

Jako premier Rhodes znajdował też czas na liczne przyjęcia, które urządzał w rezydencji Groote Schuur, którą odbudował w holenderskim stylu kolonialnym i pozostawił jako siedzibę dla kolejnych premierów. O to, czy prawdą jest, że nie lubi kobiet, zapytała Rhodesa ponoć królowa Wiktoria. Rhodes miał odpowiedzieć: „Jak mógłbym nie lubić płci, do której należy Wasza Wysokość?". Mimo to plotkowano, że jest homoseksualistą.

Prawdziwym utrapieniem w ostatnich latach życia stała się dla Rhodesa pochodząca z Polski arystokratka Katarzyna z Rzewuskich Radziwiłłowa. Od 1896 r., kiedy poznała Rhodesa, obsesyjnie słała do niego listy, a w końcu przyjechała do Afryki Południowej, gdzie zyskała jego zaufanie. Były premier zerwał tę znajomość po trzech latach z powodu plotek o rzekomym ślubie i podejrzeń, że Katarzyna jest obcą agentką. Zdesperowana kobieta, która została bez środków do życia, zaczęła podrabiać podpisy Rhodesa na czekach, za co skazano ją na dwa lata więzienia. Rhodes nie doczekał ogłoszenia wyroku – zmarł 26 marca 1902 r. na chorobę serca.

Większość fortuny przeznaczył na stypendia dla młodych ludzi. Zapewne wbrew zamysłowi Rhodesa skorzystało z niego także wielu czarnoskórych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:
Chamberlain M.E., ***„Scramble for Africa", London 2013;*** *Kruger P.*, ***„The memoirs", Toronto 1902;*** *Meredith M.*, ***„Diamonds, Gold and War", New York 2008;*** *H. Zins*, ***„Cecil Rhodes i powstanie Protektoratu Beczuany w 1885 roku", „AUMCS" vol. LII/LIII, 1997/1998.***

eprasa.pl 30d58088c7



Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

eprasa.pl 30d58088c7



Pałac Emanuela Małyńskiego w Żurnem na Wołyniu

FOT. KRAJOZNAWCZE MUZEUM W BEREZNEM

1873–1938 / Niezwykły ziemianin z Wołynia

Król życia i polityczny wizjoner





Piotr Kosmala Ryszard Mozgol

Opowiadał się za konserwatywną zjednoczoną Europą, wolną od rosyjskich wpływów

Odchodził samotny i opuszczony, pozbawiony opieki rodziny i przyjaciół. A przecież nic nie wskazywało, że taki może być koniec życia Marka Emanuela Małyńskiego, jednego z najbogatszych polskich właścicieli ziemskich, szermierza, lotnika i podróżnika, zaciętego konserwatywnego publicysty, bon vivanta i dandysa epoki fin de siècle, który przyszedł na świat 150 lat temu na Wołyniu.

Emanuel Małyński urodził się 25 marca 1873 r. w malowniczo usytuowanym secesyjnym pałacyku w Żurnem pod Bereznem w rodzinie dubieńskiego marszałka szlachty Michała Małyńskiego herbu Poraj oraz pochodzącej z kurlandzkiej rodziny szlacheckiej baronówny Anny von Wrangel zu Addinal, wdowy po Bolesławie hr. Chodkiewiczu. Rodzina Małyńskich zbudowała w połowie XIX w. potężną własność ziemską dzięki spadkowi po śmierci Michała Korzeniowskiego. Odziedziczone przez Michała Małyńskiego ziemie, składające się głównie z lasów, dzięki sprawnemu i nowoczesnemu zarządzaniu dały podstawę do budowy fortuny, która uczyniła jego rodzinę w ostatnim dziesięcioleciu XIX w. jedną z najbogatszych na Ukrainie.

Emanuel wspominał w jednej ze swoich książek, że aby uniknąć szkodliwego pośrednictwa, właściciele ziemscy starali się stworzyć majątki samowystarczalne, w których pozyskiwane surowce przerabiano na wysokiej jakości produkty. W przypadku dóbr Małyńskich wykorzystano przede wszystkim europejską koniunkturę na papier i nisko oprocentowane francuskie kredyty napływające do carskiej Rosji, dzięki którym zbudowano papiernię produkującą m.in. doskonałej jakości gilzy do papierosów oraz linię kolejki wąskotorowej dostarczającej surowiec i opał.

Pozycja Małyńskich w tej gałęzi przemysłu była tak silna, że nad Sekwaną dokonywano modyfikacji maszyn według wskazówek przychodzących z Wołynia. Niewiele później przyszła kolej na następne inwestycje, wśród których znalazły się gorzelnia, wieża ciśnień dająca bieżącą wodę oraz elektryfikacja przeprowadzona przez sprowadzonego

eprasa.pl 30d58088c7





Walka szermiercza podczas Challenge de Małyński w 1907 r.
FOT. GALLICA

z Warszawy głównego elektryka przedsiębiorstwa Emila Wedla. Gospodarność, irygacja i idące za tym zwiększanie areału ziemi uprawnej nie miały na celu tylko pomnożenia osobistego bogactwa, ale na przełomie wieków XIX i XX składały się na trwającą również na Wołyniu walkę o ziemię, którą należało za wszelką cenę – wbrew apetytom caratu – utrzymać w polskich rękach. Ojciec Emanuela był aktywnym uczestnikiem tej walki, inteligentnie zastrzegając w prasie sprzedaż ziemi wyłącznie w polskie ręce.

Niezwykły chłopiec

Mieszkańcy Żurnego zapamiętali małego Marka Emanuela, nazywanego Emanuelem lub pieszczotliwie Nelem, jako chuderlawego i niewysokiego chłopca o niezwykłych zdolnościach sportowych. Dobrze jeździł konno, wspaniale grał w tenisa, świetnie strzelał i boksował, ale prawdziwe mistrzostwo osiągnął w fechtunku. To zamiłowanie do sportu przejawiał przez całe swoje życie.

Osobą, która posiadała duży wpływ na kształtowanie osobowości Emanuela Małyńskiego, był ekscentryczny stryj Jan II „hrabia" Małyński, kolekcjoner dzieł sztuki, posiadacz znacznej fortuny, autor kilku książek, mizogin i reakcjonista żyjący w niewirkowskim pałacu niczym pustelnik. Jan w 1873 r. został dożywotnim kawalerem Instytutu Mariańskiego, otrzymując z Wiednia tytuł kawalera i odznaczenie Krzyżem Mariańskim, z którymi wiązał prawo do używania tytułu hrabiowskiego. Emanuel po śmierci stryja odziedziczył jego majątek, kolekcje dzieł sztuki i pobudzające dziennikarską wyobraźnię aktywa obliczane na 2,5 mln rubli. Wydaje się, że sądził, iż odziedziczył również tytuł hrabiowski, którym się posługiwał i który przylgnął do niego pomimo braku praw.

Wydaje się, że wysłanie Marka Emanuela Małyńskiego do Krakowa w celu odebrania edukacji było świadomym działaniem rodziców, stanowiącym również deklarację polityczną. W 1893 r. Emanuel Małyński ukończył jedną z najlepszych szkół na terenie Galicji – I Cesarsko-Królewską Szkołę Realną w Krakowie, kontynuował naukę, studiując prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zaangażował się w działalność społeczną i religijną, miał udział w spółce ziemiańskiej, organizującej zakup folwarku Mydlniki, na potrzeby Studium Rolniczego UJ. Nie skończył studiów, ponieważ wraz ze śmiercią Jana Małyńskiego i Michała Małyńskiego został jedynym właścicielem potężnego majątku ziemskiego złożonego z dóbr berezeńskich, niewirkowskich i ożohowickich na Wołyniu. Latyfundium Emanuela Małyńskiego jeszcze po traktacie ryskim, który pozostawił Sowietom znaczną część ziemi, znajdowało się w dziesiątce największych majątków ziemskich w II Rzeczypospolitej.

Razem z Hermaszewskim

W ostatnich latach XIX stulecia Emanuel Małyński rozpoczął podróże po świecie trwające nieprzerwanie do wybuchu wielkiej wojny. Odwiedził Indie, Japonię, Bliski Wschód. Przemierzył Azję Środkową, Stany Zjednoczone i Kanadę, interesując się tradycjami mieszkańców oraz sytuacją ekonomiczno-polityczną. Z pasją oddawał się polowaniom. Przemierzając w 1905 r. Amerykę ze Wschodniego Wybrzeża na zachód, przyglądał się hodowlom koni, komentował poligamię mormonów, zastanawiał się nad rozwojem linii tramwajowych i zgubą, którą niesie cywilizacji rozwój wielkich miast. W jego podróżach nieodłącznym towarzyszem był jego wierny

eprasa.pl 30d58088c7

valet Sylwester Hermaszewski, który przywiózł na Wołyń z jednej z wypraw pierwszy odbiornik radiowy. Wnuk Sylwestra, znany kosmonauta i pierwszy Polak w kosmosie Mirosław Hermaszewski wspominał, że gdy dziadek zademonstrował radio rodzinie, jego żona chwyciła za flakon z wodą święconą, aby odpędzić drzemiącego jakoby w pudle diabła.

W początkach ubiegłego stulecia Małyński osiadł w Paryżu, zamieszkał w Palais Rose przy Avenue Bois de Boulogne. Swoje dobra odwiedzał raz do roku, powierzając powadzenie majątku zarządcom. W Paryżu realizował swoje aspiracje sportowe i towarzyskie. Starał się podobno o rękę pięknej baleriny Cléo de Mérode, bohaterki skandalu towarzyskiego z udziałem króla Belgów, za którym zresztą kryła się kolonialna walka wywiadów. Aby ją poznać, przyćmił księżnę Monako na organizowanej przez Sarę Bernhardt gali Werthera. Zorganizował prywatny pokaz tańca Cléo de Mérode w swoim pałacu w Żurnem, gdzie wystąpiła w 1903 r. dla kilkunastoosobowej grupy polskich arystokratów. Za oceanem rozpaczano, że balerina tańczyć już będzie wyłącznie dla młodego polskiego ziemianina, ponieważ niebawem wychodzi za niego za mąż. W swoich pamiętnikach Cléo de Mérode nie podaje nazwisk, ale odmalowuje postać pasującą do Małyńskiego, mężczyzny o pięknych dłoniach, niezwykle wysportowanego, hojnego, zazdrosnego i zaborczego. Ich znajomość przerwać miał krwawy pojedynek – wiele wskazuje, że niejedyny w życiu Małyńskiego.

Challenge de Małyński

Jako utalentowany szermierz, uczeń legendarnego szpadzisty Ambroise'a Baudry'ego, Małyński został w 1904 r. prezesem École d'Escrime Pratique (Szkoły Szermierki Praktycznej). Nie szczędził środków finansowych na swoje pasje, czym ściągał na siebie niejednokrotnie krytykę za trwonienie fortuny. Zorganizował jednak wiele turniejów szermierczych posiadających wspaniałą oprawę artystyczną i cenne nagrody. Ponoć odgrywał znaczącą



EMANUEL MAŁYŃSKI
„NA SKRÓTY DO UPRAGNIONEGO POKOJU"
WYDAWNICTWO KEY4

rolę w zjednoczeniu francuskich szkół szermierczych w jeden organizm. Jeszcze przed wielką wojną Małyński został fundatorem otwartego turnieju szermierczego i strzeleckiego Challenge de Małyński. Pojawiał się w czasie zawodów i turniejów w otoczeniu znanych i pięknych aktorek, takich jak słynna Gabrielle Robine, ale tak naprawdę głowę stracił całkowicie dla lotnictwa.

W lutym 1909 r. został właścicielem jednej z pięciu maszyn braci Wright zakupionych w Europie po prezentacji w Monako. Na tej maszynie został wykonany 18 października 1909 r. przez Charles'a de Lamberta (syna jednego z ostatnich namiestników Królestwa Polskiego przed powstaniem styczniowym) słynny lot nad Paryżem – wyczyn porównywany do dopłynięcia Kolumba do Ameryki.

W elitarnym klubie

W 1910 r. Małyński otrzymał po zdaniu lotniczych egzaminów 209. certyfikat Aéro-Club de France, jako jeden z pierwszych polskich awiatorów. Uczestniczył wówczas w wielu wyprawach lotniczych po Francji, ale powinien zostać zapamiętany przede wszystkim z pierwszego wzlotu nad Wołyniem w październiku 1911 r. na trasie: Żurne – Zabary – Szepietówka – Antonin – Żurne. W tym samym roku swoimi planami przelotu nad zimowym Bałtykiem z fińskiego Åbo do Sztokholmu sprowokował dyplomatyczne tarcia pomiędzy Rosją a Szwecją. Lot ostatecznie się nie odbył ze względu na twarde szwedzkie weto, które uświadomiło państwom europejskim pojawienie się nowego „pionowego elementu" wojny. Już w 1910 r. Małyński przepowiadał zmiany, jakie przyniesie rozwój lotnictwa w dziedzinie transportu. W czasie wielkiej wojny zaangażowany był w prace nad jedną z największych konstrukcji lotniczych, bombowca strategicznego „Swiatogor". W uznaniu zasług został zaliczony w poczet Les Vieilles Tiges, elitarnego klubu pilotów i konstruktorów ententy.

Prace Małyńskiego stawiają go w gronie ojców założycieli zjednoczonego Starego Kontynentu. Postulował on budowę Europy w duchu konserwatywnym

Zdobycie władzy przez bolszewików w Rosji, ich wpływy w Europie Zachodniej zamieniły dotychczasowego pięknoducha w publicystę politycznego, posiadającego na koncie kilkadziesiąt książek i artykułów prasowych. W 1918 r. ukazała się w Londynie, wywołując skandal, pierwsza książka Emanuela Małyńskiego „A Short Cut to a Splendid Peace", w której sformułował program przebudowy politycznej Europy i rozbioru gnijącej bolszewickiej Rosji. Niedawno po raz pierwszy wydano ją w Polsce pt. „Na skróty do upragnionego pokoju".

Na straży Starego Kontynentu

Jego inna publikacja – „Pour sauver L'Europe" (której przetłumaczone na język polski fragmenty znalazły się w książce „Na straży Starego Kontynentu") – została oceniona w USA jako podstawa do budowy zwartego programu europejskiego w polityce zagranicznej, który niestety mógł stanowić zagrożenie dla amerykańskich planów politycznych. I trudno się tym ocenom dziwić, ostatecznie Małyński był przekonany, że polityka prezydenta Woodrowa Wilsona – i poniekąd traktat wersalski – nieuchronnie prowadzi do kolejnego konfliktu zbrojnego.

Tymczasem zdaniem publicysty odpowiedź Europejczyków powinna być w tej sytuacji zgoła odmienna. Nawet dziś zdziwienie musi budzić aktualność ówczesnych postulatów pana na Żurnem, takich jak budowa regionalnych bloków

eprasa.pl 30d58088c7

międzynarodowych i ich wzajemna integracja, wprowadzenie w Niemczech systemu federalnego jako czynnika ograniczającego militaryzm, wreszcie zjednoczenie Europy jako remedium na ekonomiczny i militarny uwiąd Starego Kontynentu. To zjednoczenie rozumiał jako ustanowienie wewnątrzeuropejskiej strefy wolnego handlu i zewnętrznych ceł zaporowych, wprowadzenie wspólnej waluty i polityki fiskalnej oraz konieczne połączenie współpracy gospodarczej z polityczną i wojskową.

Ciekawie brzmi dzisiaj także jego postulat definitywnego odsunięcia Rosji od wpływów na politykę europejską, a nawet jej częściowej parcelacji przez czterech sojuszników: Wielką Brytanię, Francję, Niemcy i Polskę, których współpraca mogłaby przekształcić się z czasem w „coś na kształt federacji paneuropejskiej". Dziś coraz chętniej przywoływane prace Emanuela Małyńskiego (w 2005 r. we Francji ukazała się 25-tomowa reedycja jego najważniejszych dzieł) stawiają go w gronie ojców założycieli zjednoczonego Starego Kontynentu, choć trzeba pamiętać, że postulował on odbudowę relacji europejskiej na bazie ponadnarodowego ruchu konserwatywnego stojącego „na straży Christianitas". I że, jak przystało na konserwatystę, Małyński tęsknił za monarchią austro-węgierską – za jej upadek winił siły pozaeuropejskie i proponował jej odtworzenie w formie federalistycznej.

Zwolennik Marszałka

Polska po 1918 r. go rozczarowała, zaczynając swój marsz od lewej nogi, przeszczepiając najgorsze idee i zasady francuskiego republikanizmu nad Wisłę, owinięte narodowymi hasłami. Dlatego z nadzieją powitał zamach majowy i wbrew części monarchistów poparł Piłsudskiego, a później sanację, upatrując w Marszałku – jak pisał – męża politycznego wyrastającego ponad swój naród. Włączył się jeszcze wtedy na Wołyniu w liczne prace społeczne, wspierając działania wojewody Henryka Józewskiego.

Tymczasem wielka wojna i kolejne lata były nie tylko końcem świata dla kultury środowiska, w którym żył Małyński, lecz także zrujnowały jego materialne podstawy egzystencji. Od 1928 r. popadający w ruinę i długi majątek Małyńskiego rozprzedawano, pomimo wprowadzenia z dużym rozmachem cenionej hodowli koni na potrzeby Korpusu Ochrony Pogranicza. Ostatecznie resztki zadłużonego majątku wraz z pałacem w Żurnem Emanuel Małyński zapisał siostrom św. Urszuli Ledóchowskiej z przeznaczeniem na utrzymanie przewidzianego w pałacu domu dla sierot, zastrzegając w testamencie, że działalność urszulanek na Wołyniu musi posiadać charakter polski i być prowadzona w obrządku łacińskim. Ze względu na pogarszający stan zdrowia osiadł w Lozannie, poświęcając się pisaniu artykułów. Zaangażował się jeszcze w prace periodyku „Contre Revolution".

Jasnowidzka i jasnowidz

W 1909 r. Małyński spotkał się w towarzystwie kilku osób ze sławną wówczas jasnowidzką, która spisała na kartce informacje o jego losie w ciągu najbliższych 10 lat. Wydawały się one wtedy fantastyczne, a sam Małyński z dystansem podchodził do tych rewelacji. Liczni paranaukowi zwolennicy tych praktyk uznali w 1928 r. notatkę za jeden z najmocniejszych dowodów na możliwość przepowiadania przyszłości. Czy potrzebne są do tego nadprzyrodzone umiejętności? W latach 30. na łamach frankofońskiej prasy Emanuel Małyński wieszczył rychły powrót „europejskiej wojny domowej", obawiając się, że skutkiem konfliktu między narodami Starego Kontynentu będzie „intronizacja bolszewizmu na ruinach świata". Remedium upatrywał w wyprzedzającym uderzeniu Europy pod przywództwem Polski i Węgier na Związek Sowiecki, w wielkiej europejskiej krucjacie antybolszewickiej.

Przenikliwość obróciła się przeciw niemu samemu. Zmarł 17 maja 1938 r. w Lozannie, widząc jasno katastrofę majaczącą na horyzoncie. Umierał w pokoju szwajcarskiego hotelu Montana z dala od ojczyzny, przed czym przestrzegał go niespełna rok wcześniej znajomy magnat naftowy Franciszek Zamoyski. O sprawy ostatniej posługi zadbał wynajęty prawnik, a w skromnym pogrzebie wyruszającym 19 maja 1938 r. z „kaplicy ubogich i chorych" Bois-Cerf nie uczestniczył nikt spośród rodziny, znajomych czy hojnie wspomaganych finansowo działaczy politycznych i sportowych. Francuska federacja szkół szermierczych, która zawdzięczała mu tak wiele, żenująco wymieniała go wśród żyjących członków honorowych jeszcze rok po śmierci. Jedynymi osobami, które może uroniły łzę i pamiętały o nim w modlitwie, byli prymas August Hlond oraz św. Urszula Ledóchowska.

Nakładem Wydawnictwa Key4 ukazała się książka Emanuela Małyńskiego »Na skróty do upragnionego pokoju« (Warszawa 2022) w opracowaniu Ryszarda Mozgola.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Lot Emanuela Małyńskiego wraz z instruktorem nad Mourmelon-le-Grand, marzec 1910 r. FOT. GALLICA

eprasa.pl 30d58088c7

Wywiad / Z prof. Andrzejem Chwalbą, współautorem (wraz z Wojciechem Harpulą) książki „Cham i Pan. A nam, prostym, zewsząd nędza?”



rozmawia Piotr Włoczyk



Józef Chełmoński „Orka”.
FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU/WIKIMEDIA COMMONS

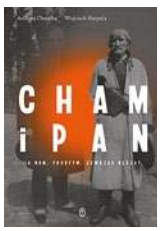
Upadek kmiecia

– Powstanie systemu pańszczyźnianego sprawiło, że słowo „kmieć” zaczęło być zastępowane przez słowo „chłop” będące prawdopodobnie pochodzenia rosyjskiego, oznaczającego „chołopa”, czyli osobę poddaną władzy pana – mówi historyk z UJ

PIOTR WŁOCZYK: Czemu miało służyć wysyłanie przez szlachtę do chłopskich chat ludzi, którzy rozlewali po izbach wódkę?

PROF. ANDRZEJ CHWALBA: Takie sytuacje miały związek z tzw. narzutami wprowadzonymi przy okazji przymusu propinacyjnego. Oznaczało to, że chłop był zobowiązany do konsumpcji alkoholu wyprodukowanego wyłącznie we włościach swojego pana, w jego gorzelniach i browarach, czyli wódki zwanej okowitą oraz piwa. Gdyby wypił alkohol w karczmie innego pana, to byłby ukarany. Wyjaśnijmy, że wódka produkowana z żyta nie miała tej mocy, co współczesna żytniówka, gdyż było to jedynie ok. 20 proc. W drugiej połowie XVII w. dekoniunktura na rynkach zagranicznych na zboże zbiegła się ze zniszczeniami w czasach potopu. Wówczas panowie doszli do przekonania, że najlepszym sposobem na odbudowę zniszczonych folwarków i dworów jest inwestowanie w nowe karczmy i w dworską propinację.

Nawet w małych wioskach je stawiano, a w większych wsiach istniały dwie, a nawet trzy karczmy! Nawiasem mówiąc, szlachta musiała konkurować na tym polu z plebanami, którzy również mieli swoje karczmy. Pan nie tylko zmuszał swoich chłopów do konsumpcji we własnych karczmach, lecz także zaczął określać ilość alkoholu, którą musieli wypić. Jeżeli nieszczęśnik nie wypił tyle, ile wynosił jego „przydział”, to urzędnicy dworscy przychodzili do niego i tę „brakującą” ilość alkoholu wylewali przed nim, co oznaczało, że musiał zapłacić za cały „przydział-owy trunek”. Panowie potrafili być zatem bezlitośni w wyzyskiwaniu wsi.



ANDRZEJ CHWALBA, WOJCIECH HARPULA „CHAM I PAN. A NAM, PROSTYM, ZEWSZĄD NĘDZA?”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Jak wyglądała sytuacja na tym alkoholowym polu przed wprowadzeniem narzutów?

Od czasów osadnictwa na prawie niemieckim, czyli od XIII–XIV stulecia, kmiecie mieli prawo wytwarzania trunków na swoje potrzeby. Przede wszystkim wytwarzali niskoprocentowe piwo, który to napój traktowano jako towarzysza pracy. Piwo do posiłków piły także kobiety, a nawet dzieci! Ale stopniowo panowie ograniczali to chłopskie prawo, niemniej w wypadku chłopów czynszowników te stare prawa dalej były nieraz respektowane.

Dlaczego dzieci miałyby sięgać po – mimo wszystko – alkoholowy napój?

eprasa.pl 30d58088c7

Niewielka zawartość alkoholu miała tę właściwość, że chroniła przewód pokarmowy przed zepsutym jedzeniem. To była bardzo ważna zaleta tego niskoprocentowego piwa.

Propinacja była częścią przywileju piotrkowskiego, który został uchwalony w 1496 r. Szlachta zyskała w nim prawa kosztem chłopstwa. Z dzisiejszej perspektywy to symboliczny moment – kończy się średniowiecze i życie polskich chłopów staje się coraz trudniejsze...

To prawda, aczkolwiek jeszcze w końcu XVI stulecia sytuacja materialna kmieci była zadowalająca, gorsza zagrodników, a najtrudniejsza komorników. W tej materii istniały też różnice regionalne, dlatego tak trudno o wspólny mianownik. Dopiero po wojnach XVII stulecia, wielkich zniszczeniach i epidemiach los prawie wszystkich chłopów zdecydowanie się pogorszył.

Jakimi konkretnie wolnościami cieszył się w średniowieczu polski chłop?

Przede wszystkim dysponował wolnością osobistą. Mógł wieś opuścić i przenieść się w inne miejsce. Ale ponieważ pan nie mógł na jego odejściu stracić, to jeżeli chciał zmienić miejsce zamieszkania, musiał na swoje miejsce wskazać zastępcę (w wypadku wsi na prawie niemieckim), ale co do zasady wolno mu było odejść. W XIII–XIV w. wieś była jeszcze samorządowa – miała swojego sołtysa. Działał on wraz z ławnikami, którzy byli jego współpracownikami. Wspólnie decydowali, gdzie wybudują drogę czy gdzie powstanie szkółka dla dzieci wiejskich, ale przede wszystkim ściągali podatki i zajmowali się sprawami sądowymi.

W początkach naszej państwowości chłopi byli poddanymi księcia lub króla, ale w kolejnych wiekach w to miejsce weszli panowie. Panem był nie tylko szlachcic, lecz także przedstawiciel Kościoła. Także mieszczanie bywali panami, czyli właścicielami wsi, i mieli swoich chłopskich poddanych. Przykładowo Gdańsk był właścicielem kilkudziesięciu wsi, a Akademia Krakowska – ok. 30 wsi. Z kolei większość szlachty zagrodowej w ogóle nie miała poddanych.



Chłop w dybach. Ilustracja z „Żywota Ezopa Fryga" Mikołaja z Lublina, XVI w. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Od XV w. szlachta stopniowo ograniczała władzę samorządu wiejskiego i wykupywała sołectwa, aczkolwiek w wielu dobrach, m.in. królewskich, sołectwa dalej pozostały w chłopskich rękach. Ale tam, gdzie ich nie było, władzę nad wsią sprawował pan poprzez swoich urzędników na czele z wójtem. Wójt już nie był organem samorządu wiejskiego, lecz pana, i miał chronić jego interesy, aczkolwiek zdarzało się, że solidaryzował się z gromadą wiejską.

Samorząd staje się więc fasadą.

Tak. Szlachcic w XVI w. mawiał, że jest u siebie senatem, czyli to on decyduje, co mu wolno i czego mu nie wolno. Czyli był prawodawcą w swoich włościach. Zresztą podobnie było w innych krajach Europy, więc Korona Polska nie była jakimś wyjątkiem. Ważnym momentem w dziejach relacji pańsko-chłopskich był początek XVI w., gdy król Zygmunt Stary podjął decyzję, że nie będzie już stawał między chłopem a panem.

Dlaczego król z tego zrezygnował?

Ponieważ chciał mieć święty spokój. Jak wiemy, Zygmunt Stary nie należał do zbyt aktywnych władców, trudno mu przychodziło podejmowanie decyzji. Ponadto o prawo do pełnej kontroli nad swoimi wsiami zabiegała szlachta. Ale w dobrach królewskich, czyli w królewszczyznach, dalej to król był zwierzchnikiem chłopów. Ich pozycja prawna do końca Rzeczypospolitej była relatywnie lepsza niż w dobrach szlacheckich. Chłopi zachowali prawo składania skarg na panów, którzy użytkowali dobra panującego, a sprawy sporne rozstrzygały sądy referendarskie. Król u siebie był senatem, w związku z czym pozwalał procesować się z panami, zwłaszcza z tymi, którzy bywali niemiłosierni wobec królewskich poddanych. Procesy trwały nieraz wiele lat, ale chłopi nie byli bez szans na zwycięstwo. Gdyby było inaczej, to z tego instrumentu by nie korzystali.

Jak wyglądał opór ze strony chłopów, którzy tracili coraz więcej praw na rzecz panów?

Zmiany w praktyce przebiegały wolno, były rozpisane na dziesięciolecia, a nie na lata. Chłopi jeszcze przez wiele dekad nie przestawali się odwoływać do króla, szukając u niego sprawiedliwości na drodze legalnej, ale najczęściej uciekali od „złego pana" i szukali szczęścia u innych.

Opór chłopski nie mógł być oporem czynnym, ponieważ na tej drodze wieś nie miała żadnych szans. Chłopi z sąsiednich wsi należeli często do różnych panów i w każdej inny był ich los i inne interesy. Stąd trudno o solidarność. Ale nawet w jednej wsi nie było o nią łatwo, gdyż żyli tam chłopi zamożni, cieszący się szacunkiem wsi i chłopi bez ziemi, pracujący u tych pierwszych. Dlatego chłopi, jeśli już zdecydowali się na opór, to wybierali opór bierny, który polegał m.in. na pozorowaniu pracy pańszczyźnianej. Udawali, że pracują, ale w rzeczywistości niewiele robili. Ten opór doprowadził do paradoksalnej sytuacji, że darmowa robota przestała się panom opłacać! Poza tym chłopi okazali się mistrzami w okradaniu panów.



Jan Piotr Norblin „Chłopska zagroda", grafika z XVIII w.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Dlaczego kary za uchylanie się od pracy okazywały się nieskuteczne?

Nie było łatwo ukarać chłopów markujących

eprasa.pl 30d58088c7

pracę. Polska wieś uczyła się tego przez kilka stuleci i niestety do dziś skutki tego widać w „etosie" pracy niejednego Polaka... Jakie skutki miało dla folwarku pozorowanie pracy? Trzeba było zatrudnić nowych karbowych i palowych do pilnowania chłopów. W ten sposób pańskie koszty rosły, przez co niektórzy zaczęli zamieniać pańszczyznę w XVIII i XIX w. na czynsze. Dodajmy, że w pewnych regionach czynsze utrzymywały się od stuleci, jak choćby w górach, gdzie ze względu na słabe gleby i spore odległości od spławnych rzek i dróg tworzenie folwarków opartych na pańszczyźnie się nie opłacało. Także we wsiach na prawie olenderskim pańszczyzna był prawie nieznana. Wsie olenderskie cieszyły się dużą wolnością i posiadały samorząd. Tamtejsi rolnicy mieli po dwa–trzy łany ziemi, a ich domy po 300–400 mkw. powierzchni. Nieliczne istnieją zresztą do dzisiaj na północy Polski. Rozsypująca się zagroda chłopska nie powinna być więc stereotypowym wyobrażeniem wsi, ponieważ różnie to wyglądało.

Pańszczyzna po raz pierwszy pojawiła się w Polsce w XII w. Zaczęło się bardzo niewinnie...

Tak, i rzeczywiście do XIV w. nie miała znaczenia ekonomicznego; było to jedynie kilka dni w roku. Do XV w. chłop oddawał panu uzgodnioną i ujętą w kontraktach liczbę produktów rolnych i hodowlanych oraz pieniędzy. Gdy to wykonał, miał święty spokój i pozostałą część środków finansowych mógł inwestować w rozwój własnego gospodarstwa. Jednak w końcu XV w. panowie zrozumieli, że ustalone dziesiątki lat temu czynsze są zbyt skromne, gdyż pojawiła się koniunktura na produkcję i eksport zboża. I zaczęli tworzyć folwarki zbożowe, zmuszając chłopów do darmowej pracy. Ci panowie, którzy tak postąpili, odnieśli sukces materialny, a ich przykład skłaniał innych do wdrożenia podobnych rozwiązań. Dlatego w XVI w. liczba dni pańszczyzny zaczęła przekraczać jeden dzień w tygodniu z łana chłopskiego (15–18 ha). Ale chłop (kmieć) nie szedł na pole pańskie osobiście. Pracował za niego jego parobek (komornik), który obrabiał pańskie pole chłopskimi narzędziami, a do pracy wykorzystywał parę wołów, które należały do chłopa. Dlatego chłop nie miał żadnego interesu, aby wydajnie pracować.



Jan Piotr Norblin „Chłop z Lubelszczyzny", grafika z XVIII w.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Ta degradacja mieszkańców wsi zostawiła też swój ślad w języku. Pod koniec średniowiecza słowo „kmieć" wypierane jest przez „chłopa"...

W tej zmianie językowej doskonale widać zmianę kulturową i ekonomiczną. Kmieć był człowiekiem wolnym, obdarzonym szacunkiem przez mieszkańców wsi, a także – co do zasady – przez swojego pana. Szanowano go w karczmie, ponieważ był poważnym klientem. Kmieć jeździł do kościoła konno lub wozem.

Powstanie systemu pańszczyźnianego sprawiło, że słowo „kmieć" zaczęło być zastępowane przez słowo „chłop" będące prawdopodobnie pochodzenia rosyjskiego, oznaczającego „chołopa", czyli osobę poddaną władzy pana. Z człowieka wolnego kmieć staje się więc stopniowo poddanym o ograniczonej wolności osobistej.

„W XIV–XVI w., kiedy pozycja prawna chłopów była jeszcze względnie silna, ojciec dziewczyny, która padła ofiarą gwałtu ze strony pana, mógł skierować sprawę do sądu" – piszą panowie w swojej książce. Później chłopskie rodziny były już bezbronne, jeżeli pan miał złe intencje?

Tak. Z wyjątkiem dóbr królewskich rodzina chłopska miała bardzo niewielkie pole manewru. Mogła wnieść skargę w sądach miejskich, ale skuteczność tego była niewielka. Taki krok oznaczałby zresztą wypowiedzenie wojny panu, więc takie sytuacje były incydentalne. Sędzią chłopów stał się pan. Dlatego pojawienie się sądownictwa patrymonialnego, czyli pańskiego, diametralnie zmieniło sytuację chłopów.

To był wymiar niesprawiedliwości?

Dokładnie, ponieważ o wymiarze kary – czy były to dyby, chłosta czy też zamknięcie w komórce lub lochu – decydował pan, a więc często strona sporu. Pan jednak nie zabijał swoich chłopów za karę, chyba że był szaleńcem. Kary miały zastraszyć chłopa, żeby był wydajny, chodził do karczmy pańskiej, kupował sól pańską – był to kolejny przymus – i żeby generalnie słuchał pana. Musimy tu jednak zrobić ważne zastrzeżenie: w przypadku wsi czynszowej bat były nieznany. A przecież jedna piąta polskich wsi w XVIII w. była czynszowa.

Gdzie chłopi mieli najciężej?

Z reguły najsurowsi byli dzierżawcy, którzy podpisywali z wielkim panem, magnatem czy zamożnym szlachcicem trzyletni kontrakt na dzierżawę. Dla chłopów to nie wielki pan był ciemiężycielem. Dzierżawcy w ciągu tych trzech lat chcieli zarobić jak najwięcej i dlatego najbardziej łupił włościan. Nierzadko dochodziło do sytuacji, że zdesperowani chłopi ich zabijali. Ale bywało też tak, że chłopi skarżyli się na dzierżawców do sądów magnackich i Radziwiłł, Sapieha, Pac czy Potocki stawali w obronie chłopa i karali dzierżawcę, nie z miłości do swojego poddanego, lecz w obronie własnych interesów przed niszczycielską gospodarką dzierżawcy.

Czyli chłopi żyjący w XVII w. – gdyby mieli naszą dzisiejszą wiedzę – z zazdrością patrzyliby na swoich przodków żyjących np. za Władysława Jagiełły?

Bez wątpienia. Jak już wspomniałem, bardzo negatywne konsekwencje dla wsi przyniosły wojny XVII w., zwłaszcza potop. To jest bardzo wyraźna cezura. Panowała wówczas wielka bieda i panowie starali się „odkuć" kosztem chłopów. Sytuacja wsi pańszczyźnianych była wówczas dramatyczna i taki stan trwał od połowy XVII w. aż do końca XVIII w. Był to najgorszy czas w dziejach polskich chłopów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Andrzej Chwalba
jest historykiem, wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego, wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego.

eprasa.pl 30d58088c7



Fragment ekspozycji muzealnej poświęconej Akmolińskiemu Łagrowi

FOT. MUSEUM-ALZHIR.KZ

Lata 30. / Związek Sowiecki kontra bezbronni

Zbrodnia 00486



Mikołaj Iwanow

Ten rozkaz oznaczał horror dla żon i dzieci mężczyzn skazanych w wielkim terrorze. „Komunistyczny raj" nie miał litości nawet dla niemowląków

Niedawno, bo 11 sierpnia, minęło 86 lat od rozpoczęcia tzw. operacji polskiej w Związku Sowieckim, będącej najbardziej istotnym elementem stalinowskiego wielkiego terroru. We współczesnej Rosji, w zbiorowej świadomości, wciąż żywy jest pogląd o „historycznej konieczności" tej zbrodni, niezbędnej dla scementowania państwa w obliczu nadchodzącej drugiej wojny światowej. Dziś, w czasie wojny na Ukrainie, Rosjanie znów sięgają do mitu „wielkiego nieomylnego Stalina", który zatrzymał terror rozpętany przez szefów NKWD, Gienricha Jagodę i Nikołaja Jeżowa, oraz sprawiedliwie zniszczył rzeczywistych i potencjalnych wrogów, przygotowując w ten sposób kraj do godziny próby, czyli niemieckiej agresji na Związek Sowiecki.

Prawda natomiast jest zupełnie inna. Wielki terror miał na celu głównie umocnienie reżimu totalitarnego, zastraszenie społeczeństwa i wyeliminowanie w zarodku każdej próby oporu wobec nieludzkiej władzy stalinowskiej. Jeszcze przed rozpoczęciem „operacji polskiej" Stalin na posiedzeniu Biura Politycznego WKP(b) osobiście zaproponował przyjęcie postanowienia „O aresztowaniu i skierowaniu do Gułagu wszystkich żon osądzonych członków opozycji prawo-trockistowskiej". Postanowienie było ściśle tajne, a w archiwach znaleźć można wyłącznie odręcznie pisany dokument zawierający ten rozkaz. Dostęp do niego mieli otrzymać jedynie członkowie Biura Politycznego.

Historia upublicznienia dokumentu jest dość niezwykła. W latach 90. ubiegłego stulecia, kiedy Borys Jelcyn planował w Moskwie przeprowadzenie procesu pokazowego członków partii komunistycznej (czegoś w rodzaju procesów norymberskich), dokument z rozkazem Stalina przekazano do badań eksperckich. Grafolodzy stwierdzili jednogłośnie, że tekst postanowienia był pisany ręką jednego z sekretarzy Biura Politycznego, natomiast redagował go i wnosił odpowiednie poprawki sam Józef Stalin.

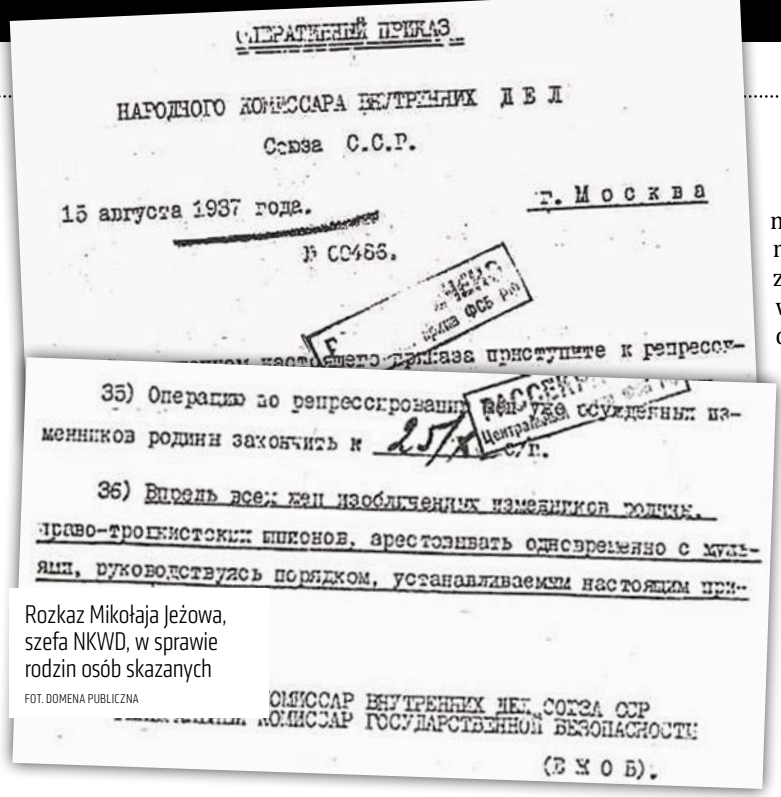
Cofnijmy się jednak do lat 30. Opierając się na wspominanym dokumencie, NKWD wydał później słynny rozkaz nr 00486, na podstawie którego represjonowano zarówno żony, jak i dzieci tzw. wrogów ludu. Stalin osobiście, na posiedzeniu Biura Politycznego, zaproponował włączenie do grona osób „odpowiedzialnych" także dzieci. W tym kontekście potężnym cynizmem z jego strony było zarazem zaproponowanie „okoliczności łagodzących", w których rodzina „wrogów ludu" mogła uniknąć kary.

Generalnie żony i dzieci wszystkich oskarżonych wysyłane były go Gułagu automatycznie. Nie trzeba było udowadniać im winy przed sądem czy zbierać dowodów; wystarczyły rodzinne koneksje. Jedyną możliwością uniknięcia kary było złożenie donosu przez żonę na męża lub dziecka na ojca czy matkę. Donos ten, co istotne, musiał jednak wpłynąć do organów ścigania przed aresztowaniem głowy rodziny.

Kara bez zbrodni

Początkowo kara dla żon i dzieci „wrogów ludu" wynosiła pięć lat łagru, jednak Stalin zdecydował o pod-

eprasa.pl 30d58088c7



ОПЕРАТИВНЫЙ ПРИКАЗ

НАРОДНОГО КОМИССАРА ВНУТРЕННИХ ДЕЛ

Союза С.С.Р.

15 августа 1937 года. г. Москва

№ 00486.

35) Операцию по репрессированию [illegible] осужденных изменников родины закончить в 4 месячный срок.

36) Впредь всех изобличенных изменников родины, право-троцкистских вдохновителей, арестовывать одновременно с жёнами, руководствуясь порядком, устанавливаемым настоящим при-

[illegible] КОМИССАР ВНУТРЕННИХ ДЕЛ СОЮЗА ССР
[illegible] КОМИССАР ГОСУДАРСТВЕННОЙ БЕЗОПАСНОСТИ

(ЕЖОВ).

Rozkaz Mikołaja Jeżowa, szefa NKWD, w sprawie rodzin osób skazanych

FOT. DOMENA PUBLICZNA

niesieniu wyroku do ośmiu lat. Wódz zaostrzył także jeszcze bardziej kary w stosunku do dzieci. Jeżow proponował, aby dzieci skazanych rodziców wziąć na utrzymanie państwa. Stalin skorygował tę propozycje, nakazując, aby „dzieci wrogów ludu brać na państwowe utrzymanie jedynie do wieku 15 lat, sprawę dzieci starszych rozpatrywać w każdym wypadku indywidualnie". Jak widać, Stalin obawiał się, że nawet 15-letnie dzieci mogą stanowić zagrożenie dla jego władzy.

Rozkaz w tej sprawie (nr 00486) szef NKWD Nikołaj Jeżow wydał cztery dni po skierowaniu do terenowych organów NKWD decyzji o rozpoczęciu „operacji polskiej". Rozkaz ten stanowił integralną część również innych operacji narodowościowych, które miały rozpocząć się niebawem.

Zgodnie z rozkazem Jeżowa żony skazanych „wrogów ludu" aresztowano automatycznie i skazywano na pięć–osiem lat pozbawienia wolności bez względu na to, czy wiedziały one o kontrrewolucyjnej działalności mężów czy nie. Zalecano aresztować nawet byłe żony skazańców, jeśli mogły one wiedzieć o wywrotowej działalności mężów, lecz nie donosiły na nich. Wyjątek stanowiły te kobiety, które od początku współpracowały z organami ścigania i których donosy pomogły w zatrzymaniu mężów. W ten sposób wiele osób załatwiało małżeńskie porachunki.

W sprawie karania dzieci rozkaz 00486 stanowił: „Wszystkie dzieci sieroty po wydaniu wyroku skierować:

a) dzieci w wieku od 1–1,5 roku do pełnych 3 lat – do domów dziecka i żłobków Ludowych Komisariatów Zdrowia w stałych miejscach zamieszkania;

b) dzieci w wieku od 3 do 15 lat – do domów dziecka Ludowych Komisariatów Oświaty innych republik, krajów i okręgów;

c) niebezpieczne społecznie dzieci skazanych, w zależności od wieku, stopnia niebezpieczeństwa i możliwości poprawy, zostają uwięzione w obozach albo koloniach pracy NKWD lub w domach dziecka o specjalnym reżimie prowadzonych przez Ludowe Komisariaty oświaty republik;

d) oskarżone żony zdrajców ojczyzny, które nie zostały aresztowane z powodu choroby i chorych dzieci, po wyzdrowieniu należy aresztować i skierować do obozu;

e) żony zdrajców ojczyzny, które karmią piersią, po wydaniu wyroku bezzwłocznie należy aresztować i skierować bezpośrednio do obozu. Tak też należy postępować z żonami skazanych, które są w podeszłym wieku".

Jak widać, była to prymitywna logika. Uważano przy tym, że dzieci powyżej trzeciego roku życia, których rodzice zginęli w czasie wielkiego terroru, mogły już stanowić zagrożenie dla reżimu, tak więc należało je izolować od domu rodzinnego, aby nigdy nie dotarła do nich prawda o losie rodziców.

Oderwać od korzeni

Ile kobiet skierowano do Gułagu na podstawie zbrodniczego rozkazu nr 00486? Ustalić dokładną liczbę skazanych dzisiaj jest dość trudno. Po chwilowej odwilży, spowodowanej upadkiem komunizmu i rozpadem Związku Sowieckiego, kiedy archiwa rosyjskie częściowo otworzyły dla badaczy swoje zasoby, nastąpiło kolejne ochłodzenie i zamknięcie zbiorów NKWD. Niemniej wtedy, kiedy było to możliwe, czyli w latach 90. XX w., wybitny historyk, wieloletni przewodniczący moskiewskiego Memoriału, Arsenij Rogiński, dotarł do specjalnego raportu NKWD datowanego na 5 października 1938 r. W tym podpisanym przez Jeżowa dokumencie stwierdza się, że „w ciągu 14 miesięcy przeprowadzenia »operacji polskiej« i innych operacji narodowościowych represjonowano 18 000 żon skazanych wrogów ludu". W tym samym czasie bez opieki pozostało 25 342 dzieci. Z tej liczby 22 427 dzieci skierowano do specjalnych sierocińców NKWD, a jedynie 2915 przekazano rodzinom represjonowanych rodziców. Dane te nie obejmują dzieci powyżej 15. roku życia, które bardzo często były sądzone na równi z dorosłymi i otrzymywały wyroki.

W czasie masowych zatrzymań w Kazachstanie, w rejonie Akmolińska, pojawił się słynny na cały kraj ogromny obóz koncentracyjny dla kobiet, które były członkami rodzin skazanych wrogów ludu. Nazwano go Algierią (AŁŻIR – Akmoliński Lager Żon Izmennikow Rodiny; Akmoliński Obóz Żon Zdrajców Ojczyzny).



Pomnik na terenie Akmolińskiego Łagru

FOT. OSPREYPL/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

eprasa.pl 30d58088c7

Niedługo później okazało się, że z racji masowych represji brakuje domów dziecka dla wszystkich dzieci skazanych rodziców. W całym kraju powstawały więc ośrodki wychowawcze, obozy pracy i siatka specjalnych domów dziecka zarządzana przez NKWD. W rzeczywistości były to nieco „ulepszone" dziecięce obozy koncentracyjne dla dzieci w wieku od 2 do 17 lat, gdzie lokowano je bezterminowo. W takich miejscach dzieci poddawano sowietyzacji, wychowywano na swoistych „janczarów" ustroju komunistycznego, w nienawiści do skazanych rodziców, w duchu fanatycznego oddania Stalinowi i partii komunistycznej. Było to nieludzkie, tym bardziej że po latach, kiedy matki opuszczały łagry (ojcowie przeważnie nie dożywali wolności), dzieci nie umiały znaleźć z nimi wspólnego języka. W niektórych przypadkach było to przyczyną rozpadu połączonych ponownie po latach rozłąki rodzin. Bywało też, że po latach dzieci w ogóle nie chciały wrócić do swoich rodzin.

„Operacja polska"

Jednym z najważniejszych elementów wielkiego terroru, a może i najważniejszym, była „operacja polska". Polacy w okresie międzywojnia stanowili mniej więcej 0,5 proc. ludności Związku Sowieckiego, a wśród ofiar wielkiej czystki stanowili aż 15 proc. Bez wątpienia było to ludobójstwo i jedna z największych tragedii dla narodu polskiego w XX w. obok zbrodni katyńskiej, tragedii Powstania Warszawskiego czy losu Polaków z Galicji, Wołynia i Podola w czasie drugiej wojny światowej.

„Operacja polska" była de facto regularnym polowaniem na Polaków. Ludzi wyszukiwano w spisach lokatorów, książkach telefonicznych i kadrach zakładów pracy. Mordowano ich bezwzględnie tylko dlatego, że byli Polakami. Na polecenie Stalina i jego partii funkcjonariusze NKWD przeprowadzali na szeroką skalę aresztowania. W czasie krótkich marionetkowych rozpraw sądowych skazywano na śmierć tysiące Polaków: mężczyzn, kobiet, w tym ludzi w podeszłym wieku. Nie oszczędzano nawet dzieci.

Ilu ludzi trzeba zabić, jaką część określonej grupy narodowej unicestwić, a ilu







Więźniarki Akmolińskiego Łagru

FOT. MUSEUM-ALZHIR.KZ

wynarodowić, aby uznać dane działanie za ludobójcze? Ludobójstwo to zniszczenie, w imieniu zbrodniczej ideologii lub z innych przyczyn, znacznej części grupy etnicznej. Nie jest ważne, czy zbrodniarzom udało się zniszczyć całość narodu czy jego część. ONZ uchwaliła konwencję określającą, czym jest zbrodnia ludobójstwa, i odpowiada ona temu, co stało się z Polakami na terenie ZSRS w okresie wielkiego terroru.

Stalin prześladował i niszczył swych prawdziwych i domniemanych wrogów wyłącznie w imię ideologii. Uważał za konieczne oczyszczenie kraju z potencjalnej „piątej kolumny", zdolnej wymówić posłuszeństwo partii w czasie wojny ze światowym imperializmem. Wojnę w Kraju Rad wydaną „wrogom ludu" uważał za nieuniknioną. Wyczyszczenie Związku Sowieckiego z elementów „niepewnych", w tym również, a zarazem przede wszystkim, z Polaków było nieodzownym elementem przygotowania Sowietów do wojny światowej. Stalin świadomie wzniecał nienawiść, która jeszcze za czasów carskich istniała wobec Polaków w społeczeństwie rosyjskim. Polacy jako element wrogi byli idealnym „straszakiem"; czymś, czym można było szantażować własne społeczeństwo. Stalin bardzo potrzebował wewnętrznego wroga, a Polacy idealnie się na tego wroga nadawali.

Z technicznego punktu widzenia represje w okresie wielkiego terroru nie były łatwym do zrealizowania przedsięwzięciem dla NKWD. Dla setek tysięcy nowych więźniów potrzebne były dodatkowe więzienia, obozy, nowe oddziały służby więziennej, dużo większe środki na utrzymanie wszystkich skazanych.

Represje wobec żon i dzieci skazanych mężczyzn pokazały dość szybko, że jest to „przedsięwzięcie" niewykonalne pod względem logistycznym oraz przekraczające organizacyjne i finansowe możliwości NKWD. Ogromna liczba kobiet zalewała i tak przepełnione więzienia. W żłobkach i domach dziecka brakowało miejsc dla zwykłych dzieci i „prawdziwych" sierot, gdyż ich miejsca zajmowały dzieci, których rodziców wtrącono do więzień i zesłano do łagrów.

Sytuacji nie sprzyjała także atmosfera powszechnego strachu panująca w ZSRS. Kraj podwajał wysiłki, aby stworzyć potężny przemysł ciężki, stanowiący podstawę siły militarnej Związku Sowieckiego, koniecznej dla zrealizowania agresywnych zamiarów światowego komunizmu i Stalina. W tamtym czasie zniesiono nawet dni wolne od pracy. W takich właśnie warunkach kierownictwo NKWD zwróciło się do Biura Politycznego z prośbą o złagodzenie rozkazu 00486. W listopadzie 1937 r. Jeżow, za zgodą Stalina, wycofał rozkaz, a miejscowym organom NKWD nakazał, aby nie wysyłały do obozów żon „wrogów ludu", lecz wysiedlały je razem z dziećmi do innych części kraju. W końcu nawet wielki terror wymagał pewnej „racjonalności".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 30d58088c7



Janusz Weiss i Michał Tarkowski na festiwalu w Opolu, 1972 r.

FOT. ANDRZEJ WIERNICKI/EAST NEWS

PRL / Kabaret w czasach reżimu

Salon Niezależnych



Sławomir Koper

Salonowcy potrafili wznosić hasła, które idealnie trafiały do publiczności, a były parodią propagandowych sloganów PRL. Należały do nich: „Polski len zdobi ciebie, a szpeci twego wroga" czy uwagi, że dzięki korzystaniu z usług PLL LOT śniadanie można zjeść w Warszawie, obiad w Nowym Jorku, a bagażu poszukać w Tokio

Początki warszawskiej formacji sięgały 1967 r., gdy kilku kolegów z liceum postanowiło założyć kabaret. To, że po maturze każdy z nich wybrał inną uczelnię, nie miało większego znaczenia. Janusz Weiss wylądował na Wydziale Chemii Politechniki Warszawskiej, Andrzej Woyciechowski (późniejszy szef Radia Zet) trafił na romanistykę UW, a Krzysztof Knittel do Wyższej Szkoły Muzycznej. Młodzieńcy dokooptowali do składu nieco młodszą od siebie Magdę Umer, wychodząc z założenia, że ładna dziewczyna zawsze się przyda, a poza tym w składzie kabaretu powinien być ktoś, kto faktycznie potrafi śpiewać. Inna sprawa, że Umer niebawem zniknęła ze składu zespołu, natomiast pojawił się student politechniki Roman Walisiak, którego specjalnością były „śmieszne, infantylne piosenki" wykonywane zupełnie z „martwą twarzą".

Pierwszy program kabaretu został zaprezentowany w maju 1968 r., w klubie Politechniki Mospan przy ul. Kopińskiej w Warszawie. Kabaret Abakus – jak wówczas zespół się nazywał – po wakacjach spektakl kilka razy powtórzył. Po pierwszym sukcesie Abakus trafił do Stodoły, gdzie panowie wraz z Magdą Umer występowali „regularnie, a nawet wyjeżdżali do innych miast, do klubów studenckich".

eprasa.pl 30d58088c7



Choć Abakus nie przetrwał, to Weiss niebawem poznał studenta architektury Jacka Kleyffa. Razem z Walisiakiem stworzyli pierwszy skład Salonu Niezależnych. Ich występy przypominały jednak recital piosenkarski przerywany skeczami. Z czasem główną bazą Salonu miał się stać klub Na Pięterku w hotelu Bristol, gdzie występowali przez rok. Niebawem ze składu odszedł Walisiak, a zamiast niego pojawił się inny student architektury PW – Michał Tarkowski. Skład kabaretu został wreszcie ustalony.

Narodziny legendy

W trzyosobowym zespole nikt nie aspirował do roli lidera. Weiss pisał scenariusze programów i sprawował kontrolę nad całością przedstawień. Tarkowski odpowiadał za oprawę muzyczną, natomiast Kleyff wziął na siebie sprawy finansowe i organizacyjne. Nie przeszkadzało mu to zostać głównym wokalistą formacji, chociaż Tarkowski był wówczas zdecydowanie lepszym muzykiem i „czyściej śpiewał".

Od samego początku kabaret był utożsamiany z opozycją. Salonowcy pojawiali się w mieszkaniach ludzi uważanych za wrogów partii i ustroju, gdzie wykonywali fragmenty swoich programów. Zapraszano ich na imprezy „do przyjaciół Kuroniów", gdzie wśród gości dominowali liderzy „przyszłej opozycji, zwani w tym czasie przez władze rewizjonistami, a także co odważniejsi dziennikarze".

Salonowcy szybko znaleźli się pod stałą obserwacją służb. Ich programy były analizowane pod kątem antysocjalistycznych treści. Warto pamiętać, że esbecy mogli być kanaliami, ale nie byli idiotami. Szybko rozszyfrowano więc podteksty najsłynniejszego skeczu tamtego okresu – o wodowskazie Henryku Mórze żyjącym w Miedonii nad Odrą. Wykorzystano to, że z niewiadomych przyczyn dwa razy dziennie podawano w radiu stan wód w głównych polskich rzekach, a jednym z miejsc pomiarowych była właśnie Miedonia nad Odrą, gdzie mieściła się stacja hydrologiczno-meteorologiczna.

„Ja urodziłem się staraniem mojej matki wyrobnicy – opowiadał publiczności Michał Tarkowski – i mojego ojca wodowskaza we wsi Miedonia nad Odrą, odwiecznym punkcie wodowskaźniczym, w rodzinie z dziada pradziada wodowskaźniczej. Ojciec był wodowskazem, dziad był wodowskazem. A ciotkę miałem nauczycielkę".

Tarkowski tłumaczył, że „wodowskaz musi być duży chłop", a do tego wyskalowany na ciele co centymetr. Oczywiście „kopiowym ołówkiem, żeby w wodzie nie puściło". Jego praca polegała na tym, że dwa razy na dobę „wskakiwał do wody i brał pomiar". Na koniec patrzył, gdzie „był suchy, a gdzie mokry i już widział – przybyło osiem, ubyło dwa".

Wodowskaz miał dwa rodzaje munduru: roboczy i galowy. Ten pierwszy składał się wyłącznie „ze slipów pławnych i kapelusza pławnego", by woda „do zgryzu nie naleciała". Natomiast galowy posiadał różnego rodzaju „rozcięcia i szczypaneczki", a z przodu był symbol zawodu – „woda skrzyżowana z wodą". Raz na trzy lata był wysyłany pod Paryż, „gdzie przymierzano go do wzorca metra – Żorża Sevra".

Postać wodowskaza nabrała innej wymowy, gdy w Polsce pojawił się uciekinier z redakcji Radia Wolna Europa – Andrzej Czechowicz. Propaganda zrobiła z niego natychmiast superszpiega wywiadu PRL, a jego osoba stała się przedmiotem niezliczonej liczby drwin i dowcipów w całym kraju. Pojawiło się przysłowie „pieprzysz jak ten as wywiadu", a Mieczysław Rakowski w swoich „Dziennikach politycznych" zapisał, że całą sprawę „od strony propagandowej sknocono" i że „można rzygać, czytając te wypociny". W efekcie niektórzy działacze partyjni chwalili się publicznie, że „nie oglądali żadnej audycji telewizyjnej", w której występował Czechowicz.

Wprawdzie każdy skecz musiał mieć aprobatę cenzury, ale salonowcy faktycznie często mijali się na estradzie z oryginalnym tekstem. Potrafili też wznosić hasła, które idealnie trafiały do publiczności, a były parodią propagandowych sloganów PRL. Należały do nich: „polski len zdobi ciebie, a szpeci twego wroga" czy uwagi, że dzięki korzystaniu z usług PLL LOT śniadanie można zjeść w Warszawie, obiad w Nowym Jorku, a bagażu poszukać w Tokio.

Nie zabrakło oczywiście aluzji do „przyjaźni polsko-radzieckiej", którą porównywano do „krawata zawiązanego na węzeł przyjaźni, który nie tak łatwo rozplątać", a wzajemne kontakty obu krajów miały przypominać „dobre stosunki łączące konia z wozem". Do tego dochodziły jeszcze teksty sugerujące, że za czasów Władysława Gomułki dwa razy dwa oznaczało sześć, a w epoce Gierka pięć, co można było uznać za postęp.

Inna sprawa, że potyczki z cenzurą przybierały czasami humorystyczny wymiar. Tak było przed FAMĄ (Festiwalem Artystycznym Młodzieży Akademickiej) w Świnoujściu w 1974 r. Wysłanniczka cenzury ze Szczecina zakwestionowała ubiór salonowców przed numerem o lewitacji, uznając, że czerwone skarpetki i białe tenisówki są kpiną z barw narodowych.

„[…] tak prywatnie to się pani dziwię […]. No bo jeśli my lewitujemy barwy narodowe, to pani pali narodową flagę"

eprasa.pl 30d58088c7

– skomentował poważnie Weiss, nawiązując do papierosów Klubowych palonych przez cenzorkę, które sprzedawano w biało-czerwonych opakowaniach.

FAMA

W tym czasie Salon Niezależnych występował w klubach studenckich na terenie całego kraju. Wszędzie przyjmowano go wyjątkowo gorąco. Wprawdzie kluby te działały pod egidą Zrzeszenia Studentów Polskich i miały dbać o socjalistyczną prawomyślność swoich podopiecznych, ale w rzeczywistości były miejscem kontestacji wykraczającej poza ramy środowiska studenckiego. Nie ingerowano też w treść prezentowanych programów i gdy wykonawcy posiadali pieczątkę cenzury, nikogo nie interesowało, czy na scenie faktycznie prezentowano zatwierdzone teksty.

Najważniejsze były jednak masowe imprezy studenckie ze słynną FAMĄ w Świnoujściu na czele. Lipcowy, trwający miesiąc festiwal był najważniejszym wydarzeniem środowiska studenckiego. Pojawiali się tam najważniejsi piosenkarze, zespoły bigbitowe, plastycy, poeci, kabarety i teatry studenckie. Była to impreza jedyna w swoim rodzaju – kompleksowy przegląd kultury akademickiej – która nie miała swojego odpowiednika w krajach bloku wschodniego.

FAMA miała znaczenie nie tylko artystyczne, lecz także towarzyskie. Poznawało się tam dosłownie „wszystkich", a nawet jeżeli „nie zawsze i nie w każdym roku wszystkich, to tych, których warto było". Tym bardziej że poza młodzieżą akademicką na FAMIE pojawiali się też uznani dziennikarze, literaci, artyści. Oczywiście bywała tam także kabaretowa czołówka kraju. Nie mogło więc zabraknąć też Salonu Niezależnych. Trójka warszawiaków szybko stała się nieodłącznym elementem festiwalu.

Pierwszy sukces osiągnęli w 1971 r., gdy dostali jedną z trzech głównych nagród. Dwa lata później zdobyli Złoty Trójząb Neptuna, a w 1974 r., wraz z poetą Leszkiem Dymarskim, zrobili prawdziwą furorę kabaretonem „Wyścig". „Zawodnicy zaczynali wyścig w spodenkach – wspominał Dymarski – a najlepsi dobiegali na metę w jasnych garniturach,



Salon Niezależnych, 1980 r. Od lewej: Janusz Weiss, Michał Tarkowski, Jacek Kleyff FOT. KRZYSZTOF GIERAŁTOWSKI/FORUM

Drogi salonowców zaczęły się w końcu rozchodzić. Każdy miał inną wizję przyszłości kabaretu, a żaden nie był skłonny do kompromisu

koszulach non-iron, z teczką. To była w tamtych czasach czytelna aluzja: towarzysz Gierek jako pierwszy sekretarz zaczął się ubierać w jasne garnitury, a aparat starał się go naśladować. Cały ten »Wyścig« to była oczywiście alegoria wyścigu do władzy".

W tym czasie Salon pokazał się na IX Studenckim Festiwalu Piosenki Artystycznej. I chociaż impreza była przeznaczona raczej dla piosenkarzy, to jury nie mogło zignorować członków kabaretu. Kleyff dostał Grand Prix za „Dobre wychowanie" (tekst Marcin Wolski), a Tarkowski wyróżnienie za „Jajco holenderskie blues". Cała trójka otrzymała też wyróżnienie za wykonany zespołowo „Balon".

Nie obyło się jednak bez komplikacji. Gdy nie poskutkowały naciski, by nie honorować Salonu, w którego tekście odnaleziono aluzje do upadku Gomułki, nie dopuszczono salonowców przed kamery. Transmisja telewizyjna z koncertu laureatów została przerwana, gdy mieli pojawić się na estradzie. Do końca nie było też wiadomo, czy Kleyff będzie mógł zaśpiewać „Dobre wychowanie". Ostatecznie zapowiedział go Weiss, gdyż etatowy konferansjer (Krzysztof Materna) „gdzieś się zapodział". Po latach przyznał, że dostał ostrzeżenie, by raczej nie mieszał się do „takich tematów".

Legenda tamtych lat

Kolejne programy Salonu Niezależnych były opowieściami o paranoi społecznej, która panowała wówczas w Polsce. Zdobywały one coraz większą popularność, choć dla samych twórców były coraz większym obciążeniem. „W tamtych czasach musiałem wrzeszczeć, żeby nie zwariować – zauważał Kleyff. – Jak się spojrzy na nasze piosenki, to tam mało jest rzeczy spokojnych, przeważa szyderka albo rozpacz".



Plakat festiwalu Fama 74 FOT. DOMENA PUBLICZNA

Z perspektywy czasu wydawać się może, że Salon ściśle współpracował z opozycją, co zdają się potwierdzać akta zachowane w Instytucie Pamięci Narodowej. Członków kabaretu wiązano z działalnością dawnej grupy „komandosów", co jednak nie do końca było prawdą. Faktycznie były liczne

eprasa.pl 30d58088c7

kontakty, ale kabaret pozostał zespołem niezależnym i nie miał ambicji bycia tubą opozycji. Jego członkowie szukali własnej drogi i nie rezygnowali z prywatnych poglądów, co nie zmienia faktu, że drogi salonowców zaczęły się w końcu rozchodzić. Każdy miał inną wizję przyszłości kabaretu, a żaden nie był skłonny do kompromisu.

Kleyff tworzył coraz więcej piosenek, Tarkowski ewoluował w stronę aktorstwa, Weiss natomiast „pisał tylko wtedy, kiedy czuł, że w spektaklu czegoś brakowało". Opinie osób, które widywały ich na scenie w tamtych latach, wskazują, że pomiędzy członkami kabaretu narastało napięcie. To nie wróżyło niczego dobrego, nawet jeśli Salon Niezależnych uznawano powszechnie za najlepszą grupę studencką.

Wciąż byli jednak niezwykle popularni i pomimo ciągłych potyczek w cenzurą zdobywali nagrody. Jeszcze w 1972 r. otrzymali Opolską Złotą Szpilkę (przyznawaną przez tygodnik o tej samej nazwie) i wciąż królowali na FAMIE. A ich piosenki (szczególnie autorstwa Kleyffa) śpiewała cała akademicka Polska. Popularność przekładała się na tysiące domorosłych wykonań podczas imprez w domach studenckich i przy ogniskach. Piosenki przeżyły sam kabaret.

Koniec epopei

Salonowcy mogli się kłócić i dyskutować między sobą, ale tak naprawdę nie myśleli o likwidacji kabaretu. Czasy się jednak zmieniały i decyzję podjęto za nich, chociaż oficjalnie nigdy nie zakazano im działalności. Zgodnie z obyczajami epoki zaczęto im jednak skutecznie obrzydzać życie. Przed jednym z przedstawień w klubie Medyk doszło do „awarii" prądu, a gdy salonowcy odegrali program przy świecach, tydzień później zamknięto salę bez podania przyczyn. Wprawdzie kabaret mógł jeszcze jeździć po Polsce, ale był to początek końca.

Coraz częściej odwoływano ich występy, podając z reguły przyczyny losowe. Awarie prądu, pęknięte rury, zatrzaśnięte zamki. Tylko z rzadka organizatorzy przyznawali się, że dostali telefon od miejscowych władz zakazujący koncertu. Powodem miał być nadmierny alkoholizm członków kabaretu.

W tej sytuacji salonowcy najczęściej dawali występy w mieszkaniach prywatnych dla zaproszonych gości. Pojawiali się tam różni ludzie. Zarówno ci związani z opozycją, jak i osoby współpracujące z reżimem, ale zachowujące własne poglądy. Były to już jednak ostatnie chwile kabaretu. Drogi jego członków coraz bardziej się rozchodziły, a jeden z problemów wewnętrznych zespołu miał nieoczekiwany charakter.

„Kiedy już przeszedłem przez te wszystkie doznania związane z paleniem marihuany i haszu – przyznawał Weiss – kiedy przerobiłem dziwne asocjacje, te kolory ułożone po porządku, te rzeczy, które nieoczekiwanie porażają swoją absurdalnością, uświadomiłem sobie, że do niczego to nie prowadzi. To był rodzaj wesołego miasteczka; strzelnica, beczka śmiechu, gabinet luster. Ale ile razy dorosły człowiek może iść do wesołego miasteczka?".

Kleyff palił sporadycznie i być może to też miało wpływ na jego nieporozumienia z Weissem. Na przełomie lat 1975–1976 podpisał zresztą List 59 przeciwko zmianom w konstytucji i niebawem objął go całkowity zakaz występów. To oznaczało koniec Salonu. Każdy z jego członków poszedł własną drogą.

Weiss rozpoczął działalność estradową jako konferansjer i z sukcesami występował z zespołami Partita i Dwa Plus Jeden czy z Ireną Jarocką, ze Zdzisławą Sośnicką i z Anną Jantar. Po upadku komunizmu stał się jednym z założycieli Radia Zet i przez ponad 20 lat prowadził na jego antenie program „Dzwonię do Pani, Pana w bardzo nietypowej sprawie". Przyniosło mu to ogromną popularność, a jego głos stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych.

Michał Tarkowski poszedł w kierunku filmu. Ukończył reżyserię w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, ale został autorem tylko dwóch obrazów dokumentalnych. Zdecydowanie lepiej wiodło mu się jako aktorowi; zagrał łącznie w ponad 30 filmach, aczkolwiek były to głównie niewielkie role. Do historii polskiej kinematografii przeszła jego rola Romka Hawałki w „Wodzireju" Feliksa Falka.

Najbardziej burzliwie były losy Jacka Kleyffa. Po rozpadzie Salonu przystał on do Andrzeja Rosiewicza i grupy Hagaw, a chociaż miał zakaz publicznych występów, to organizatorzy imprez udawali, że go nie rozpoznają. Koncertował też z Marylą Rodowicz, a potem wraz z innym bardem, Janem Krzysztofem Kelusem, zajął się zbiorami szyszek. Z czasem zaczął wykonywać też prace wysokościowe na miejskich wieżowcach i raczej nie mógł narzekać na finanse. Odsunął się od polityki, zdystansował się od dawnych swoich utworów. Będąc członkiem Klubu Wysokogórskiego, odwiedził Himalaje, co wpłynęło na jego światopogląd. Potem przeniósł się na kilkanaście lat na lubelską wieś. Został liderem Orkiestry Na Zdrowie łączącej ambitne teksty z folkiem i reggae. Wydał z zespołem kilka płyt, a gościnnie z jego grupą występowali Antonina Krzysztoń, Kuba Sienkiewicz i Aleksander Korecki.

„Jacek to indywidualista i intuicjonista – podsumowywał Michał Tarkowski. – Z nim to było tak: Pan Bóg lepił człowieka i postanowił zrobić mieszczucha, sknerę, porządnego. Akuratnego. Aż tu nagle dzwoni telefon. Jak Pan Bóg wrócił, to próbował sobie przypomnieć, co to miał zrobić. Aha – powiedział – takiego rozrzutnego hippisa. I z tych dwóch połówek powstał Kleyff. Erupcja jego twórczości wynika z obszaru »pomiędzy«. Pozostaje tylko pytanie: Kto dzwonił do Pana Boga?".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

LITERATURA:

Bikont A., Szczęsna J., ***„Stal się leje, moc truchleje", [w:] „Nietykalni. Reportaże 1999 r.", Warszawa 2000;*** *Kiec I.,* ***„Historia polskiego kabaretu", Poznań 2014;*** *Kleyff J.,* ***„Rozmowa", Wołowiec 2012;*** *Kuriata A.,* ***„Działalność studenckiego kabaretu »Salon Niezależnych« jako element szkodliwego oddziaływania opozycji na młodzież akademicką", praca dyplomowa pod kierownictwem kpt. dr. Stanisława Hoca, Legionowo 1979, IPN 001708/746;*** *Nyczek T.,* ***„Salon Niezależnych. Dzieje pewnego kabaretu", Kraków 2008;*** *Rakowski M.,* ***„Dzienniki polityczne 1969–1971", Warszawa 2008;*** *Weiss J.,* ***„Pierwszy ogród. Wspomnienia Janusza Weissa", Warszawa 2012.***



SŁAWOMIR KOPER
MISTRZOWIE POLSKIEGO KABARETU
FRONDA

eprasa.pl 30d58088c7



Miklós Horthy w zajętych przez wojsko węgierskie Koszycach, 1938 r.

FOT. MARECEK 2000/WIKIMEDIA COMMONS

XX w. / Budapeszt między Berlinem i Moskwą

Admirał u steru Węgier



Arkadiusz Karbowiak

Miklós Horthy musiał lawirować między Niemcami i Sowietami. Dopóki realnie rządził Węgrami, dopóty tamtejsi Żydzi mogli czuć się względnie bezpiecznie

Historia Węgier pierwszej połowy XX w. jest nierozerwalnie związana z jednym człowiekiem. Tą osobą jest Miklós Horthy, który w latach 1920–1944 sterował tym państwem. Urodzony 18 czerwca 1868 r. Horthy rozpoczął karierę wojskową w cesarsko-królewskiej marynarce wojennej, wstępując do Akademii Morskiej w Rijece. Kiedy w 1918 r. rozpadła się monarchia austro-węgierska, miał stopień admirała.

Wiosną 1919 r. władzę na Węgrzech przejęli komuniści, którzy utworzyli Węgierską Republikę Rad (WRR). Kres jej istnieniu położyła interwencja wojsk rumuńskich i czechosłowackich działających za zgodą ententy. Wybuch rewolucji komunistycznej zmobilizował węgierskie środowiska konserwatywno-narodowe do powołania kontrrewolucyjnego rządu w Szegedzie pod przewodnictwem hr. Gyuli Károlyiego. Ministrem obrony w tym rządzie oraz dowódcą Armii Narodowej został adm. Miklós Horthy. 16 listopada 1919 r. to on wjechał na białym koniu do opuszczonego dzień wcześniej przez Rumunów Budapesztu. Na komunistów spadły represje. 18 grudnia 1919 r. straconych zostało 14 członków komunistycznego komanda egzekucyjnego.

Do pozasądowych rozliczeń doszło na prowincji. W wyniku samosądów zginęło ok. 1,5 tys. osób, w tym spora liczba Żydów. Przedstawiciele tej nacji stanowili niemały odsetek kierownictwa WRR (Żydami było 30 na 48 komunistycznych komisarzy), dlatego uznano ich za podporę ruchu komunistycznego.

Regent

W okresie trwania „białego terroru” 1 marca 1920 r. Miklós Horthy wybrany został, decyzją Zgromadzenia Narodowego, na funkcję regenta. Węgierski przywódca zajął początkowo stanowisko „neutralno-aprobujące” wobec działań oficerskich szwadronów śmierci. Z biegiem czasu zmienił zdanie. Regent nie chciał pozwolić, by w państwie działały przez nikogo niekontrolowane formacje dokonujące samosądów. Do ukrócenia działalności skrajnie prawicowych bojówek wzywali admirała konserwatywni politycy na czele z premierem Pálem Telekim.

W czerwcu 1919 r. Węgrzy zostali zmuszeni do podpisania traktatu w Trianon, który pozbawił ich dwóch trzecich posiadanych terytoriów. Magyar Királyság (Królestwo Węgier) straciło na znaczeniu i znalazło się w politycznej izolacji. Regent poszukiwał sposobu, jak z niej wyjść. Okazją była wojna polsko-bolszewicka. Węgrzy zaoferowali Polakom pomoc w postaci korpusu kawalerii. Do wysłania kawalerzystów ostatecznie nie doszło, choć rząd Telekiego przekazał Polakom wsparcie w postaci dostaw amunicji.

Horthy, choć od początku ukierunkował politykę Węgier w stronę terytorialnego rewizjonizmu, uważał, że

eprasa.pl 30d58088c7

należy współpracować z państwami dawnej ententy. 14 kwietnia 1921 r. regent mianował na stanowisko premiera konserwatystę Istvána Bethlena. Jego 10-letnie rządy ustabilizowały wewnętrzną sytuację w państwie, m.in. w zakresie bezpieczeństwa publicznego. Dla Horthyego było to bardzo istotne. „W tym kraju musi być porządek i ja go będę w porządku utrzymywał. Do wichrzycieli będę strzelał, a jeśli zamęt będzie szerzyć prawica, to różnica dla mnie w tym jedynie taka, że będę do nich strzelał z bólem serca, a do awanturników z lewicy – z zapałem" – mówił.

Horthy do 1931 r. nie angażował się w bieżącą politykę. Dopiero skutki kryzysu gospodarczego, z którymi nie potrafił poradzić sobie Bethlen, zmusiły go interwencji. Ze względu na rosnące poparcie dla narodowej prawicy w 1932 r. admirał mianował nowym szefem rządu Gyulę Gömbösa, który nadał wewnętrznej polityce nacjonalistyczny charakter. Ambicje Gömbösa dotyczące stworzenia na Węgrzech monopartyjnej dyktatury spotkały się ze sprzeciwem Horthyego. W zakresie polityki zagranicznej Gömbös kontynuował rozpoczęte przez Bethlena zacieśnianie więzi z Królestwem Włoch, tym bardziej że Rzym popierał budapeszteński rewizjonizm oraz podjął wysiłki na rzecz rozwinięcia współpracy z III Rzeszą. Ta ostatnia koncepcja nie wywołała entuzjazmu regenta. Obserwował on z coraz większym niepokojem nacjonalistyczne „odchylenie" Gömbösa i chciał go nawet usunąć z urzędu, lecz ostatecznie nie musiał tego robić, gdyż premier zmarł 6 października 1936 r.

Jego następcą został Kálmán Daránya. Nowy prezes Rady Ministrów nie został zbyt dobrze zapamiętany. Przygotował on tzw. drugą ustawę antyżydowską (pierwszą wprowadził w życie rząd Telekiego). Jego rząd podjął też decyzję o rozwiązaniu narodowo-radykalnej Partii Wola Narodu, założonej dwa lata wcześniej przez byłego majora Ferenca Szalasiego. Założył on później Węgierską Partię Narodowo-Socjalistyczną. Ona również nie spodobała się węgierskim władzom. Szalasi został oskarżony o spisek przeciwko państwu; skazano go na trzy lata więzienia.

Horthy, konserwatysta z krwi i kości, uważał strzałokrzyżowców za ruch



Miklós Horthy, regent Królestwa Węgier
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

niebezpieczny i szkodliwy dla Węgier. Dał temu wyraz podczas koncertu w operze narodowej 15 marca 1939 r., kiedy to regent znieważył demonstrujących proniemieckie sympatie trzech strzałokrzyżowców. Powalił ich na ziemię, krzycząc: „Chcesz zostać zdrajcą własnego narodu?!".

Początek „romansu"

Rok 1938 to wielkie zmiany na mapie Starego Kontynentu. Po Anschlussie Austrii Berlin postanowił wymazać z mapy także Czechosłowację. Zaproszony do udziału w inwazji na ten kraj Horthy nie wykazał zainteresowania. Kiedy jednak po układzie w Monachium pojawiła się okazja do rozmów z marionetkowym rządem słowackim ks. Józefa Tiso, Budapeszt przystąpił do negocjacji w sprawie anektowania obszarów południowej Słowacji. Strony nie doszły do porozumienia, więc zwrócono się o pomoc do Berlina. W ramach arbitrażu wiedeńskiego Węgrzy otrzymali południową część Słowacji, lecz nie zaspokoiło to w pełni ich apetytów. Kolejny raz Niemcy wspomogli Węgrów, wyrażając zgodę na zaanektowanie Rusi Zakarpackiej. Ceną wsparcia było skłonienie Węgier do przystąpienia do paktu antykominternowskiego (luty 1939 r.), a później wystąpienie z Ligi Narodów.

Po ataku Niemiec na Polskę Węgry zachowały neutralność i nie zgodziły się na tranzyt wojsk niemieckich przez swoje terytorium. Co więcej, Węgrzy przyjęli wielu polskich uchodźców.

W roku 1940 Budapesztowi coraz trudniej było lawirować pomiędzy dwoma blokami. Tym bardziej że terytorialne zmiany, których Węgrzy pragnęli, nie mogły być zrealizowane przy współpracy z aliantami. Horthy i węgierskie elity za najważniejszą sprawę uznawali odzyskanie Siedmiogrodu. Problem ten rozstrzygnął drugi arbitraż wiedeński przyznający Węgrom północną część tego terytorium. 27 września 1940 r. Węgry przystąpiły do paktu trzech. Pomimo to adm. Horthy i tak starał się trzymać kraj z dala od toczącej się wojny. Jednocześnie wykorzystywał relacje z Niemcami do uzyskania nowych obszarów. Taka „współpraca" skończyła się, kiedy Hitler zażądał przystąpienia Węgier do wojny przeciwko Jugosławii. Sprzeciw wobec udziału w walkach wyraził szef Rady Ministrów Pál Teleki. Nie zdołał on jednak przekonać Horthyego. Z tego powodu 3 kwietnia 1941 r. Teleki popełnił samobójstwo.

Armia węgierska przekroczyła granicę z Jugosławią tydzień później, uznając, że po deklaracji niepodległościowej Niepodległego Państwa Chorwackiego (10 kwietnia) dawna Jugosławia przestała istnieć.

Węgry na wojnie

Interesujące jest, że Horthy nie widział powodów, pomimo swego antykomunizmu, do udziału Węgier w wojnie z ZSRS. Dopiero atak „sowieckich" (najprawdopodobniej rumuńskich) samolotów na Koszyce spowodował, że zmienił zdanie i Węgry znalazły się w stanie wojny z ZSRS.

Po klęsce poniesionej pod Stalingradem Horthy był przekonany, że Trzecia Rzesza przegra wojnę. Węgierscy dyplomaci podjęli wówczas rozmowy z przedstawicielami aliantów w Ankarze, Bernie i Lizbonie w sprawie wycofania się Węgier z wojny. O negocjacjach dowiedzieli się jednak Niemcy. Joseph Goebbels zanotował w swym dzienniku: „Na Węgrzech wszyscy, głównie Horthy, są wrogami Niemiec. Rząd jest feudalny i skorumpowany".

Na początku 1943 r. Hitler zaprosił Horthyego na rozmowy, które odbyły się 16 kwietnia 1943 r. na zamku Klessheim. Kanclerz naciskał na regenta w sprawie odwołania premiera Kallaya oraz deportacji węgierskich Żydów do obozów

eprasa.pl 30d58088c7

koncentracyjnych. Admirał odrzucił obie sugestie.

Prawie rok później, 18 marca 1944 r., w tym samym miejscu odbyło się kolejne spotkanie. Tym razem kanclerz, po zarzuceniu admirałowi zdrady, zakomunikował mu, że podjął decyzję o okupacji Węgier. Następnego dnia osiem dywizji niemieckich w ramach operacji „Unternehmen Margarethe" wkroczyło na Węgry. Regent zastanawiał się nad rezygnacją, lecz ostatecznie pozostał na swym stanowisku. Wraz z pojawieniem się Niemców doszło natomiast do zmiany w fotelu premiera. Kallaya, który schronił się (w obawie przed aresztowaniem) w poselstwie tureckim, Niemcy chcieli zastąpić Belą Imredym. Horthy nie zgodził się na tę kandydaturę i wybrał Döme Sztójaya, którego gabinet bez żadnych sprzeciwów wypełniał niemieckie polecenia. Sztójay zgodził się m.in. na deportację Żydów do obozów koncentracyjnych, angażując do tego węgierską administrację i policję. Warto przy tym zaznaczyć, że do chwili rozpoczęcia okupacji Węgry były dla Żydów pewną enklawą. Co prawda, byli mobilizowani do batalionów roboczych, gdzie na skutek brutalnego traktowania wielu z nich poniosło śmierć, oraz podlegali dyskryminującym ustawom, ale admirał nie zgadzał się na wywłaszczenia czy represje. Wiedział, że byłoby to szkodliwe dla węgierskiej gospodarki (Żydzi na Węgrzech stanowili trzon tzw. klasy średniej).

Pomiędzy 14 maja a 9 lipca 1944 r. ok. 45 tys. Żydów zostało wywiezionych głównie do KL Auschwitz. Nie akceptując polityki nowych, de facto narzuconych przez Niemców władz, regent wycofał się na pewien czas z bieżącej polityki. Uaktywnił się w czerwcu, domagając się odwołania dwóch sekretarzy stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych odpowiedzialnych za okrutne postępowanie wobec Żydów. 6 lipca 1944 r. Horthy kazał wstrzymać deportację Żydów, a 29 sierpnia odwołał ze stanowiska premiera Sztójaya i mianował na jego miejsce gen. Gézę Lakatosza.

Zmiany

Generał, na prośbę regenta, rozpoczął rozmowy z Sowietami. Pod koniec



Miklós Horthy i Adolf Hitler

FOT. MARECEK 2000/WIKIMEDIA COMMONS

września do Moskwy dotarła węgierska delegacja. Na mocy przyjętych ustaleń Węgrzy mieli zrzec się zagarniętych terytoriów i wypowiedzieć Niemcom wojnę. O zawieszeniu broni miano poinformować 20 października 1944 r.

Admirał, obawiając się, że Niemcy szykują zamach stanu, celem osadzenia na fotelu premiera przywódcy strzałokrzyżowców Ferenca Szalasiego, ogłosił decyzję pięć dni wcześniej. Przez radio mówił: „Węgry zostały zmuszone do tej wojny z aliantami pod wpływem niemieckich nacisków [...]. Dzisiaj jasne jest dla każdej trzeźwo myślącej osoby, że Rzesza Niemiecka przegrała tę wojnę. Nie staniemy się buforową strefą walk dla Rzeszy. Uzgodniliśmy przerwanie naszego dalszego udziału w tej walce ze Związkiem Sowieckim".

Niemcy wiedzieli już wcześniej o zamiarach regenta. 8 października 1944 r. aresztowali wiernego mu gen. Szilárda Bakayego, a później porwali syna admirała, którego deportowali do KL Mauthausen, a potem KL Dachau (młody Horthy przeżył pobyt w obozach). Szantażując regenta zabiciem syna, wymuszono na nim złożenie podpisu na dokumencie powołującym Szalasiego na stanowisko szefa rządu.

17 października 1944 r. Horthy został internowany i wywieziony do zamku Hirschberg w Górnej Bawarii, gdzie przebywał z żoną, synową i wnukiem do końca wojny. Uwolnili go 30 kwietnia 1945 r. Amerykanie. Horthyego przewieziono następnie do willi Göppingen koło Stuttgartu. Przetrzymywany był tam z oficerami Wehrmachtu. Admirała chcieli postawić przed sądem węgierscy komuniści i komunistyczne władze Jugosławii, na co nie zgodzili się Amerykanie. Co ciekawe, również Stalin nie widział potrzeby sądzenia regenta.

We wrześniu 1945 r. Horthy znalazł się w więzieniu w Norymberdze, gdzie zeznawał jako świadek w procesie przeciwko niemieckim zbrodniarzom. W grudniu zwolniono go z aresztu. Od tamtego momentu stał się uchodźcą. Miał trudności ze znalezieniem nowego miejsca pobytu. Ostatecznie na przyjęcie go zgodziła się salazarowska Portugalia, gdzie Horthy dotarł w styczniu 1949 r. Zamieszkał nad morzem w kurorcie Estoril. W ostatnich latach życia były regent pisał wspomnienia wydane w 1952 r. pt. „Życie dla Węgier". Po upadku powstania na Węgrzech w 1956 r. zapadł poważnie na zdrowiu. Zmarł 9 lutego 1957 r. Pochowano go na brytyjskim cmentarzu wojskowym, a w 1993 r. jego szczątki przeniesiono do rodzinnej krypty w Kendres na Węgrzech. Wolą admirała było pochowanie go w ojczystej ziemi dopiero wtedy, gdy opuszczą ją sowieccy okupanci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

Bodó B., *„The White Terror: Antisemitic and Political Violence in Hungary, 1919–1921".*

Jeszenszky G., *„Hungary in the Second World War: Tragic Blunders or Destiny".*

Oświadczenie

W moim ostatnim tekście pt. „Banderowcy w Auschwitz" („Historia Do Rzeczy" nr 8/2023) nie zaznaczyłem, że pisząc artykuł, oparłem się głównie na ustaleniach dr. Adama Cyry, starszego kustosza w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau, które znalazły się w jego pracy pt. „Banderowcy w KL Auschwitz", opublikowanej w piśmie „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi" (t. XXX, Wrocław 2008). Serdecznie przepraszam dr. Adama Cyrę, znawcę historii niemieckiego obozu Auschwitz-Birkenau, za ten błąd. Poza fundamentalną dla tego tematu pracą dr. Adama Cyry, w bibliografii pod wyżej wymienionym tekstem powinny były znaleźć się również następujące pozycje:

Климишин М., „В поході до волі: спомини" т. 2, Торонто 1998., Марунчак М., „Українські політичні в'язні в німецьких концентраційних таборах", Вінніпег 1996., Мірчук П., „В німецьких млинах смерти. Спомини з побуту в німецьких тюрмах і концлагерах 1941–1945. Нью-Йорк-Лондон" 1957 і inne. ***Arkadiusz Karbowiak***

eprasa.pl 30d58088c7

fabryka słów
WYDAWNICTWO



Rok 1605. Polskie wojska wkraczają do Moskwy.

Oto historia straceńców, którzy wrogów liczyli dopiero po bitwie. Zabitych.

Oto historia ludzi tak szalonych, że poszli w tany z samą Śmiercią. Tak zuchwałych, że uwiedli Fortunę. Tak dumnych, że diabłu plunęli w twarz. I tak hojnych, że za przyjaciół płacili tylko krwią i życiem.

Oto historia awanturników i husarzy, którzy wstrząsnęli murami Moskwy i sięgnęli po koronę carów.

Cykl „Orły na Kremlu" to opowieść o zderzeniu dwóch światów – wyrosłej na gruncie wolności szlacheckiej Rzeczypospolitej i ksenofobicznej Moskwy, odgrodzonej od Europy murem prawosławia. Opowieść o fenomenie husarii i wojska polskiego, zwyciężających na mroźnych stepach i lodowych pustkowiach Rosji, gdzie wieki później klęskę poniosły armie Napoleona i III Rzeszy.

eprasa.pl 30d58088c7



FOT. DOMENA PUBLICZNA

1921–1944 / Krzysztof Kamil Baczyński

„Człowieku, to Słowacki”



Krzysztof Masłoń

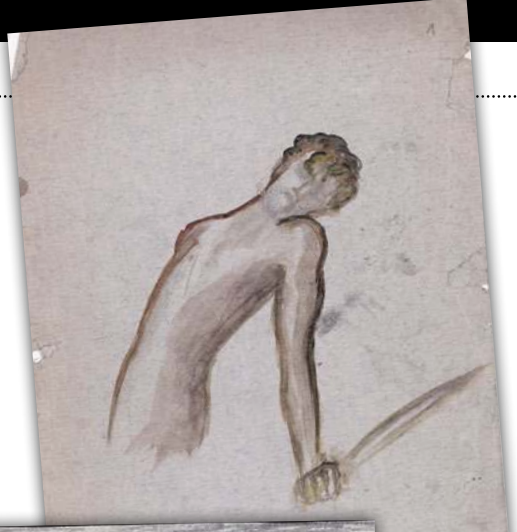
Wśród jego wierszy jest cała masa utworów wcale nielirycznych, osobistych, przeciwnie – zagrzewających do walki, męskich, arcypolskich. Tym bardziej przykre jest, że – jak pisze Wiesław Budzyński – próbowano zrobić z niego – żołnierza Armii Krajowej – „pacyfistę, innym razem lewicowca, to znów Żyda, którym dawno nie był”

Wciąż wracamy pamięcią do Powstania Warszawskiego, odliczamy jego 63 dni, stawiamy znicze na powstańczych mogiłach, myślimy o tych, którzy zginęli z bronią w ręku, i tych, których – bezbronnych! – zamordowano. Jakże nie wspomnieć w tym czasie bodaj najsławniejszego warszawiaka poległego w insurekcji roku 1944 – Krzysztofa Kamila Baczyńskiego?

Miał 23 lata, gdy dosięgła go śmierć od kuli, w Pałacu Blanka, w czwartym dniu Powstania Warszawskiego, w którym walczył jako żołnierz Armii Krajowej. Jego żona, Barbara, w wyniku rany odniesionej 26 sierpnia zmarła 1 września. Nie dożyła swoich 22. urodzin. Jej matka potwierdziła później pogłoskę o ciąży Basi.

Ich ślub odbył się w kościele na Solcu w piękny czerwcowy dzień 1942 r. Panna młoda, w kremowym kostiumie, trzymała w ręku bukiecik konwalii. Pan młody wystąpił w ciemnym garniturze, choć może lepiej byłoby powiedzieć – garni-

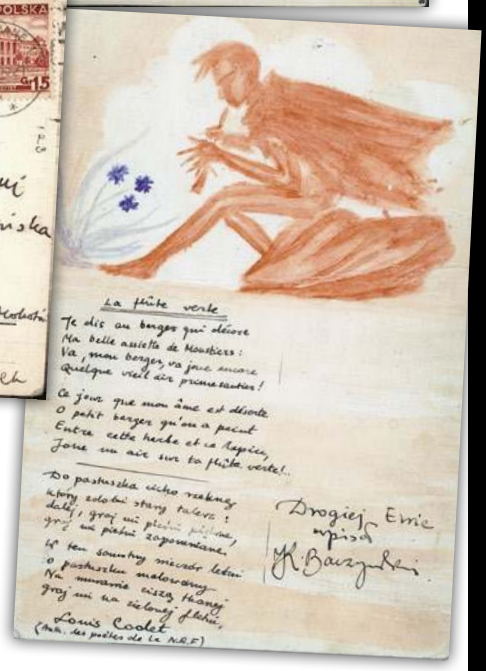
eprasa.pl 30d58088c7











Rysunki Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i kartka pocztowa do matki FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

turku. Oboje byli wszak niewielkiego wzrostu, nic też dziwnego, że przybyły na ślub ze Stawiska Jarosław Iwaszkiewicz miał stwierdzić, że uroczystość bardziej przypominała mu pierwszą komunię: takie dzieci się teraz żenią…

Wiersze, które zdążył napisać dla niej, należą do najpiękniejszych strof polskiej poezji miłosnej. A może nawet, jak chciał tego Kazimierz Wyka, są najpiękniejszymi. „Gdyby z dorobku Krzysztofa Baczyńskiego – pisał Wyka – wyjąć i oddzielnie wydać jego erotyki, zrazu skierowane do narzeczonej, z kolei do żony po prostu, powstałby jeden z najwspanialszych zbiorów tego rodzaju w całej poezji polskiej. Na tle zaś liryki XX stulecia, na tle całkowitej w tym względzie niewydolności jego rówieśników i jego artystycznych nauczycieli – zbiór absolutnie wyjątkowy, bez poprzednika i bez następcy”.

W sumie, w swoim krótkim, przerwanym kulą niemieckiego strzelca, życiu napisał 500 (!) wierszy, więcej niż wielu bardziej w świecie znanych poetów przez całe życie. Wśród nich jest cała masa utworów wcale nielirycznych, osobistych, przeciwnie – zagrzewających do walki, męskich, arcypolskich. Tym bardziej przykre jest, że – jak pisze Wiesław Budzyński – próbowano zrobić z niego – żołnierza Armii Krajowej – „pacyfistę, innym razem lewicowca, to znów Żyda, którym dawno nie był. Był polskim patriotą, polskim żołnierzem, polskim poetą i poległ dla Polski. Dla stalinowców był nawet, jak wszyscy AK-owcy, faszystą. Wiemy, że ubecy przyszli po Baczyńskiego, gdy już nie żył – pięć lat po śmierci – by go aresztować!”.

Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tak było. W styczniu 1949 r. do mieszkania teściów poety przy ulicy Śniegockiej w Warszawie załomotali ubecy. Historia się powtórzyła. W 1939 r., zaraz na początku niemieckiej okupacji stolicy, gestapo szukało ojca Krzysztofa. Też się spóźniło, Stanisław Baczyński zmarł 27 lipca… Hitlerowcy zapamiętali mu działalność na Śląsku w czasie powstań i dywersję na niemieckich tyłach, ubecja rozprawiała się z Armią Krajową, szykując pewnie Krzysztofowi los Jana Rodowicza „Anody”…

Do palców przymarzły struny

Pierwsze po wojnie wiersze Krzysztofa Kamila Baczyńskiego ukazały się w dopiero co powstałych czasopismach, w tym w pierwszym numerze „Tygodnika Powszechnego” z 24 marca 1945 r. Stało się to za sprawą Jerzego Turowicza,

eprasa.pl 30d58088c7

który znał i poetę, i jego twórczość. Dwa lata później, na tych samych łamach, Jerzy Zagórski w artykule „Śmierć Słowackiego" nazwał Baczyńskiego „największą poetycką indywidualnością" od czasu właśnie autora „Uspokojenia". W tym samym 1947 r. starania matki doprowadziły do wydania „Śpiewu z pożogi".

Stalinizm spowodował wyrwę, znaczącą, bo na dobrą sprawę twórczość Krzysztofa Kamila Baczyńskiego zaczęto wydawać dopiero od lat 60. zeszłego wieku. Jednak odtąd ukazała się ona w Polsce w łącznym nakładzie ok. pół miliona egzemplarzy. Żaden inny poeta nie cieszył się w naszym kraju takim wzięciem; poznawaliśmy jego wiersze, wbijały się nam w pamięć, recytowane i śpiewane (Ewa Demarczyk!), szkoły obierały sobie poetę za patrona, powstawały filmy mniej lub bardziej wiernie oddające prawdę o jego życiu, miłości, walce i śmierci. Utrwalały się także mity i półprawdy.

Z pewnością zasłużoną sławę zdobyły jego utwory historiozoficzne, inaczej jednak rzecz się miała z poezją religijną, a to dlatego, że z autora na siłę próbowano zrobić lewicowca, socjalistę, a i ateusza, który udawał jedynie katolika, by zrobić przyjemność głęboko wierzącej matce, skądinąd żydowskiego pochodzenia. Z pewnością dużo racji miał Jarosław Iwaszkiewicz, w 1978 r. dziękując za tekst Jerzemu Andrzejewskiemu: „Wzruszyło mnie to, co napisałeś o Krzysztofie – postaci najbardziej zafałszowanej ze wszystkich ostatnich historycznych osób (z lekkiej ręki Kazimierza Wyki)…".

Niestety, Kazimierz Wyka, w popularyzacji twórczości Baczyńskiego niezwykle zasłużony, autor monografii „Krzysztof Baczyński 1921–1944", nazbyt wziął sobie do serca wymogi epoki i to on właśnie ponad miarę zaakcentował lewoskręt poety, a potem już cały legion następców powielał jego ustalenia. Swoją drogą, opowiadał Wyka, że gdy w 1956 r. Wydawnictwo Literackie zwróciło się do niego z propozycją wydania poezji Baczyńskiego, planowano nakład pięciotysięczny. Po latach jeden z wyborów wierszy tegoż twórcy wydrukowano w wielokrotnie większym nakładzie.

Jednak żeby nie uczynić z Kazimierza Wyki jakiegoś kierującego się złymi intencjami manipulatora, warto zauważyć, że lewicowy strój, w który ten krytyk i historyk literatury ubrał poetę, niewątpliwie pomógł w znalezieniu wierszom Baczyńskiego drogi do masowego czytelnika. Dość porównać drogę tę z przeciwnościami, które napotykała w PRL twórczość poetów „Sztuki i Narodu". Skądinąd także Wyka narzucił przekonanie o prymacie Baczyńskiego wśród Kolumbów, bo od pierwszego wydania sławnej powieści Romana Bratnego określenie to przylgnęło do całej generacji, wchłaniając także autora wiersza „Pokolenie" („Do palców przymarzły struny / Z cienkiego krzyku roślin. / Tak się dorasta do trumny, / jakeśmy w czasie dorośli").

Złudzenia i zaślepienia

Pytał jednak Wiesław Budzyński (w książce „Baczyński uszlachetnia"), który Kazimierz Wyka był prawdziwszy – czy ten, który chciał fundować w Bukowinie Tatrzańskiej kapliczkę na pamiątkę pobytu tam poety przed wojną, czy ten, który ponoć dopominał się o odebranie Baczyńskiego… kombatantom. „Profesor Wyka – czytamy dalej – czegoś wyraźnie u Baczyńskiego nie ocenił, nie chciał czy wręcz odrzucał od siebie ten pozaliteracki wymiar Baczyńskiego. Czy łączyło się to z jakimś kunktatorstwem, z ustawianiem się w »grzecznym środku«, trudno dociec. Niepokoi jednak to niezrozumienie, iż Baczyński wraz z powodzeniem jego poezji zaczął w pewnym sensie pełnić też rolę »sumienia narodu«, podobnie jak niegdyś Norwid czy Mickiewicz. Omijanie tego zjawiska, jak i przynależności poety do AK, daje się zauważyć u Wyki nie raz i nie dwa… i dobrze by było, by nie okazało się, niestety, że jest to związane z przynależnością do partii komunistycznej, bo i takie skojarzenie może się pojawiać…".

Niestety, jeszcze po wielu latach, w opublikowanej już w wolnej Polsce „Chwili bez imienia", Stanisław Stabro dochodził m.in. do takich wniosków, że Baczyński nie był poetą katolickim, że deheroizował „określone mity i monolityczne postawy", co miało służyć „ujawnieniu obosieczności niektórych aksjomatów" (?), że wreszcie w przeciwieństwie do kolegów, żołnierzy batalionu „Zośka", był „pozbawiony złudzeń i zaślepień". Tak bredzić oczywiście można. Tylko po co?

Próbowano zakwestionować wojskową przydatność Baczyńskiego, podkreślając jego słabość fizyczną. Bez sensu. „Baczyński ukończył podziemną podchorążówkę – pisał Wiesław Budzyński – i w tym znaczeniu, jako podchorąży, był żołnierzem zawodowym. I także był niebezpieczny – należał do tych legendarnych oddziałów, »Zośki« i »Parasola«, do których dobierano młodych, inteligentnych, odpowiedzialnych, z dobrych rodzin i gotowych na wszystko. I Baczyński był gotów na wszystko.

Tu już nie mogło być i nie było żadnej taryfy ulgowej, że poeta, że ma astmę… Nie było na to miejsca. Jeśli ktoś był powołany do walki, musiał walczyć. Bez dwóch zdań. Nie było mowy, by Baczyński nie poszedł do Powstania. Tylko ludzie nieświadomi rzeczy mogą coś takiego sugerować. To odwieczne pytanie tchórzy: walczyć czy nie walczyć, nie wchodziło tu w grę. Nie tylko zresztą z powyższego powodu. Powodów do walki było więcej i już gdzieś o tym pisałem, że poeta przekreśliłby swoją twórczość, zaprzeczyłby temu, co pisał, popełniłby twórcze harakiri, gdyby nie chwycił za broń. To tak, jakby stchórzył".

Sztandar ojczyzny mojej

Choć był zjawiskiem osobnym w naszej literaturze, to przecież jego przynależność pokoleniowa nie budzi najmniejszych wątpliwości. Taki był zresztą tamten wyjątkowy czas. Krzysztof Kamil Baczyński pisał: „obcy człowieku, / co kości odkopiesz białe: / Kiedy wystygną już boje, / szkielet mój będzie miał w ręku / sztandar ojczyzny mojej", Tadeusz Gajcy: „ty – podniesiesz na mnie kamień / lub rzucisz z wzgardą ziemi grudę", a Tadeusz Borowski: „zostanie po nas złom żelazny/ i głuchy, drwiący śmiech pokoleń". Te podobieństwa są nieprzypadkowe i – jak się zdaje – ważniejsze są od wyolbrzymianych różnic, zwłaszcza tych z ideologicznym backgroundem.

„Ta pesymistyczna zgodność, która nas dzisiaj dziwi [? – przyp. K.M.] –

eprasa.pl 30d58088c7

pisał we wstępie do książki »Gajcy. W pierścieniu śmierci« Stanisław Bereś – wymaga zastanowienia: oni faktycznie nie spodziewali się marmurów i pomników".

A szykowano im pośmiertny los najgorszy z możliwych, wyzywając tych 20-letnich poetów Warszawy od faszystów. W okresie stalinowskim było to regułą, ale jeszcze w 1963 r. na łamach „Współczesności" Jan Józef Lipski użył wobec nich tego haniebnego epitetu, łaskawie odrębne miejsce wyznaczając Borowskiemu i Baczyńskiemu właśnie. Jednak już Miłoszowi zdarzało się wrzucać całą te poetycką generację do jednego worka.

Wroga nieustępliwość Miłosza, polana do tego współczującym sosem, „w pewnym momencie – pisze Stanisław Bereś w książce »Gajcy. W pierścieniu śmierci« – tak zirytowała Zbigniewa Herberta, że rzucił z przyganą: »Jeśli [Miłosz] jest człowiekiem dobrej wiary […], powinien uderzyć się w piersi i zaprzestać ataków na zmarłych, nawet gdy są mu niewygodni«. Wbrew pozorom słowo »zmarli« nie oznaczało wyłącznie pisarzy z wrogiej ideowo Miłoszowi Konfederacji Narodu, ale również Baczyńskiego i Borowskiego, a zatem ludzi o odległych politycznie poglądach, za to bliskich sobie estetycznie oraz postawą wobec rzeczywistości. Miłosz atakował bowiem nie tylko konspiratorów z formacji Piaseckiego, ale także innych młodych pisarzy, w tym tych o poglądach lewicowych, którzy aktywnie działali w podziemiu i na wezwanie dowództwa chwycili za broń. W »Strefie chronionej« Miłosz dowodził, że wszyscy oni są w dużym stopniu do siebie podobni ze względu na silne pogrążenie w katastrofizmie, który »łączy poetów Sztuki i Narodu – młodocianego Borowskiego [i] narodowo-romantycznego Baczyńskiego.« Analogicznie w słynnym fragmencie »Traktatu poetyckiego«, zaczynającym się od słów: »Dwudziestowieczni poeci Warszawy…«, Baczyński jest wymieniany, bez jakiegokolwiek różnicowania, wśród pisarzy SiN-u, co oznacza, że w umyśle Miłosza liryka pokolenia wojennego stanowiła pewną całość, a jej pokoleniowy wymiar był dla niego ważniejszy niż poglądy polityczne ich autorów".















I tak naprawdę daleki wcale od prawdy nie był, tyle że u podstaw takiego właśnie podejścia do poetów z „bronią dymiącą" w ręku był ewidentny kompleks tego, kto w chwili próby zawiódł. To, że podobnie mogli się czuć swego czasu Mickiewicz ze Słowackim i Krasińskim pospołu, stanowi słabe usprawiedliwienie.

Przypomnieć jeszcze warto, że na jednym z wieczorów poetyckich w okupowanej przez Niemców Warszawie, po tym, jak Baczyński skończył czytać swoje wiersze, podszedł do niego Miłosz i powiedział: „Ty chyba będziesz większy ode mnie". Na co usłyszał: „Ja już jestem większy od ciebie".

Żart? Oczywiście, ale fakty są proste. W Powstaniu Warszawskim zginęli niemal wszyscy młodzi przeciwnicy Miłosza z tamtej dyskusji, a on nie wziął w nim udziału i ocalał. Można powiedzieć, że wygrał los na loterii życia, ale miał z tym poważny problem. Do końca swoich dni.

Odnośnie zaś do różnic dzielących młodych poetów, którzy pisali o Polsce dopóty, dopóki za nią nie zginęli, to zdarzało im się różnić, polemizować ze sobą, wzajemnie krytykować swoje wiersze, jak np. krytycznie do poezji Baczyńskiego ustosunkował się Gajcy, ale tylko niechlubnym wyjątkiem była nota Stanisława Marczaka w „Sztuce i Narodzie" (wydrukowana pod pseudonimem Andrzej Obornicki), wymykająca się zwyczajowym ocenom historycznoliterackim: „Żołnierzy nie ma; są tylko wojownicy, rycerze i jeden kanonier. A dookoła dymi wszystko: i trop, i arkebuzy. Jak w Wilnie. Nietutejszy woźnico: batem dekadenckich nastrojów poganiasz konia. I coraz dalej od nas wóz się toczy, płaszczyzny gwiazd tasujesz w nierzeczywistych dłoniach. Arharbalu, odejdź!".

Ten „nietutejszy woźnica" rzeczywiście brzmi paskudnie.

Ad maiora natus sum

Krzysztof Kąkolewski na początku lat 90. skreślił te słowa o Baczyńskim: „Odrzucił wszystkie możliwości ratowania się. I tylko w tym kraju można było zobaczyć odkryty, może jeszcze pulsujący mózg poety. Poety, który był »ad maiora natus« [do większych rzeczy (wyższych celów) narodzony – przyp. K.M.). Wszyscy, którzy rodzili się w sferach inteligenckich, od początku niepodległości byli dziećmi nadziei, chowanymi do lepszego losu, wyposażonymi w niezwykłą staranność wychowania, od dziecka kształceni, naznaczeni przyszłością, która miała być inna, niż się zdarzyła, a w której mieli przetworzyć Polskę w kraj nowoczesny, wspaniały, zwycięski. U Krzysztofa Baczyńskiego imię Kamil ma coś z przeznaczenia narzuconego przez przeczucie rodziców. Ale i imię Krzysztof coś znaczy. Pojawiło się w tych czasach, dawniej bardzo rzadkie, dane ludziom, którzy mieli nieść większy ciężar odpowiedzialności, ale też mieli być silniejsi, potężniejsi, jak jest w Złotej Księdze. To imię było coraz częstsze, w miarę mijania lat niepodległości".

Jakąż to armią była Armia Krajowa? To jej żołnierz zapytany nad trupem Baczyńskiego, kim jest poległy, odpowiedział: „Człowieku, to Słowacki".

Jego życie i twórczość to uosobienie wielkiego polskiego romantyzmu w najdonioślejszych jego przejawach. To Słowacki i Norwid, a także Mickiewicz przecież, bo jakże bez niego mogłoby się tu obejść, bez jego „Widzenia księdza Piotra", gdy ten w natchnieniu wieszczył: „Z matki obcej: krew jego dawne bohatery, / A imię jego będzie czterdzieści i cztery".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 30d58088c7



Zofia Kossak-Szczucka FOT. NAC

Książka miesiąca / Sylwetki polskich pisarzy XX w.

Życiorysy odarte z mitów

Wielka wiedza o polskiej literaturze połączona ze znajomością historii i realiów epoki, a zarazem ogromna wrażliwość na piękno słowa pisanego. Teksty Krzysztofa Masłonia zachwycają od lat czytelników naszego miesięcznika. „Klątwa sprzeczności" to następna po „Od glorii do infamii" i „W pisarskim czyśćcu" praca naszego autora, w której prezentuje on sylwetki XX-wiecznych polskich twórców.

Masłoń pisze o ludziach bardzo znanych (jak Witold Gombrowicz, Kornel Makuszyński, Jan Brzechwa, Sławomir Mrożek czy Zofia Kossak), a także przypomina postaci, o których dzisiaj pamiętają chyba tylko historycy literatury. I bardzo dobrze. W końcu historia polskiego pisarstwa w wieku XX to coś znacznie więcej niż dzieła noblistów – Wisławy Szymborskiej i Czesława Miłosza.

Jakże inne są portrety niedoskonałych pisarzy i poetów zarysowanych przez Masłonia od tego, z czym na co dzień mamy do czynienia! Od najmłodszych lat w szkole, gdzie wkłada się nam do głów – niemal jak w „Ferdydurke" – że każdy z omawianych twórców „wielkim poetą był", część z nas zatraca chyba fascynację literaturą. Czy nie inaczej (i lepiej?) opracowywałoby się szkolne lektury, gdyby na każdego z pisarzy spojrzeć z dystansu, bez uwielbienia okazywanego tylko dlatego, że jakaś postać znalazła się w kanonie lektur szkolnych? Śmiem twierdzić, że gdyby omawiać z młodzieżą wybrane dzieła nie tylko pod kątem ich wybitnego znaczenia dla polskiej historii, lecz także z perspektywy (rzadko nieskazitelnego) życia ich twórców, to zainteresowanie „trudną" literaturą mogłoby być znacznie większe.

Do tego potrzeba jednak nie tylko znajomości kilku ważnych tytułów, lecz także rozumienia kontekstu i warunków, w jakich one powstały. Wiedza o losach autora dzieła pomaga lepiej wyłapać wszelkie niuanse, a czasem odkryć drugie dno. Krzysztof Masłoń potrafi tego dokonać.

Za jedną z największych zalet tekstów Masłonia uważam to, że zawsze stara się on być uczciwy przede wszystkim wobec siebie. W czasach wszechobecnego relatywizmu to postawa godna uwagi, a nawet podziwu. W czasach PRL, a zwłaszcza po 1989 r., niemodne i nie na miejscu było rozliczanie i wskazywanie palcem, że ktoś w godzinie próby nie stanął na wysokości zadania, wybierając romans z władzą zamiast moralnej uczciwości. Masłoń nie potępia, choć też nie boi się pokazać, kto w trudnych czasach, pomiędzy rokiem 1939 a 1989, nie zdał egzaminu.

Autor niektórych twórców „odbrązawia" (może dla części czytelników szokujące będzie choćby to, jakie poglądy głosił Gombrowicz), wobec niektórych stara się być wyrozumiały. Innych zaś chwali, że nie ulegli.

Teksty Masłonia są czasem pełne gorzkich i smutnych, a także każących zastanowić się nad ludzkim losem refleksji. To opowieści o dwuznacznych wyborach, konformizmie, poddaniu się systemowi, który z samego swojego założenia czyni z ludzi niewolników. Ale prócz tego to również historie o trudnym chodzeniu pod prąd, wbrew modzie, a nierzadko też z narażeniem bezpieczeństwa swojego i rodziny.

Jak zapowiada Krzysztof Masłoń we wstępie swojej książki, w przygotowaniu jest już także czwarty tom. Czekam z niecierpliwością. ©℗ ***Anna Szczepańska***



KRZYSZTOF MASŁOŃ
„KLĄTWA SPRZECZNOŚCI"
ZYSK I S-KA

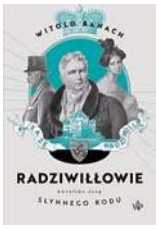
eprasa.pl 30d58088c7

Zwykli Radziwiłłowie

Oczywiście Radziwiłłowie to z jednej strony niezwykły ród, mocno wpisany w historię Polski. Z drugiej strony jednak, to zwykła rodzina, taka, w której zdarzają się osoby godne szacunku, zasłużone, a także kontrowersyjne i będące powodem wstydu. Książka Witolda Banacha, choć nosi tytuł „Radziwiłłowie", sugerujący opowieść o całym rodzie, od jego litewskich początków, koncentruje się na Radziwiłłach z linii berlińsko-antonińskiej. I dobrze, gdyż jest ona mniej znana niż dzieje tych linii rodu, których przedstawiciele odegrali tak ważną rolę w historii Rzeczypospolitej.

Małżeństwo Antoniego Henryka Radziwiłła z Hohenzollernówną umocniło pozycję Radziwiłłów w Prusach. Mogli się spodziewać kolejnego mariażu z niemiecką dynastią. Autor przedstawia burzliwe i smutne dzieje jednego z najsłynniejszych romansów XIX w.: Elizy Radziwiłłówny, córki Antoniego Henryka, z Wilhelmem Hohenzollernem, późniejszym cesarzem Niemiec. Berlińscy Radziwiłłowie wtopili się w pruską elitę, byli generałami i parlamentarzystami. I tracili swą polskość. Jeśli proces ten został zatrzymany, to było to zasługą Marii de Castellane, której autor poświęcił osobne miejsce. Francuzka, żona Antoniego Wilhelma Radziwiłła, uratowała zamek w Nieświeżu i przywróciła mu część dawnej świetności. Inną żonę Radziwiłła – Katarzynę z Rzewuskich – nazwał autor „Królową Rodezji". Była ona znajomą słynnego Cecila Rhodesa. Bulwersowała Europę swoimi publikacjami o skandalach na dworach.

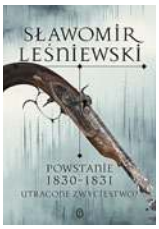
Bezsprzecznie berlińscy Radziwiłłowie byli ugodowcami, nie znaczy to jednak, że nie występowali przeciw dyskryminacji Polaków w Niemczech, a także represjom wobec Kościoła katolickiego. Najwybitniejsza postać w tej mierze to Ferdynand Radziwiłł, parlamentarzysta bohater jednego z rozdzia-łów książki. W II RP wybitnym politykiem konserwatywnym był Janusz Radziwiłł, syn Ferdynanda. Autor przestawia jego dramatyczne losy podczas drugiej wojny światowej: był więźniem Rosjan (dwukrotnie) i Niemców, rozmawiał z Berią i Göringiem. Jego brat, Michał Radziwiłł, to z kolei „czarna owca rodu", skandalista, niezbyt zrównoważony umysłowo, starający się o wpisanie na niemiecką listę narodowościową. Książkę kończy opowieść o Lee Radziwiłł, żonie Stanisława Radziwiłła i siostrze Jacqueline Kennedy. ©℗ ***Tomasz Stańczyk***



WITOLD BANACH
„RADZIWIŁŁOWIE"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Pytanie o powstanie

Czy to powstanie było potrzebne? I czy w ogóle miało szanse na powodzenie? Z tymi pytaniami już od niemal 200 lat zmagają się Polacy, dzieląc się na skrajne skrzydła. Sławomir Leśniewski, niestrudzony popularyzator historii, zbiera w tej książce wszystkie argumenty „za" i „przeciw", analizując kontekst, w którym doszło do tego zrywu i kolejne posunięcia dowódców. Jedno nie ulega wątpliwości – opowieści o tym, że bez powstania Polacy jeszcze długo cieszyliby się względną wolnością, nie mają sensu. Rosja nie zamierzała bowiem dłużej tolerować takiej sytuacji… ©℗ ***(p.w.)***



SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI
„POWSTANIE 1830–1831. UTRACONE ZWYCIĘSTWO?"
WYDAWNICTWO LITERACKIE



BARBARA STANISŁAWCZYK
„POZA STRACHEM. JAK POLACY RATOWALI ŻYDÓW"
FRONDA

SPLĄTANE LOSY

Nie ma bardziej zawikłanej relacji niż ta, w której stawką są życie i śmierć. Co czuje człowiek, kiedy jego życie zależy od odwagi innej osoby? Jak miesiące upokorzeń wpływają na ich relacje? Czy wybawiony chce później pamiętać swojego wybawcę czy uważa go raczej za niewygodnego świadka swojego cierpienia? Autorka zebrała relacje Polaków, którzy ratowali Żydów. Niezwykle przejmująca książka. ©℗ ***ASz***



WOJCIECH ROSZKOWSKI
„HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ", T. 2
BIAŁY KRUK

KOLEJNY HIT

Premiera drugiej części podręcznika prof. Wojciecha Roszkowskiego (na temat lat 1980–2015) podobnie jak pierwsza odbiła się szerokim echem. Poza problemami związanymi z transformacją w Polsce, jednym z najbardziej kontrowersyjnych rozdziałów jest ten, w którym autor odpowiada na pytanie: „Co z cywilizacją zachodnią?". ©℗ ***(p.w.)***



JAN M. MAŁECKI
„HISTORIA KRAKOWA DLA KAŻDEGO"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

MIEJSKA GAWĘDA

„Czy jest potrzebna jeszcze jedna książka przedstawiająca historię Krakowa?" – pyta w słowie wstępnym prof. Jan M. Małecki, znawca jego historii. Potrzebna jest tym, którzy szukają czegoś znacznie więcej niż folderu turystycznego, ale nie mają ochoty na ciężką monografię.

Ta książka jest jak gawęda pełna anegdot, jak spacer po mieście z dobrym przewodnikiem. ©℗ ***raw***

eprasa.pl 30d58088c7



Dariusz III w bitwie pod Issos

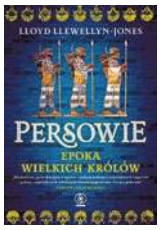
FOT. MUSEO ARCHEOLOGICO NAZIONALE, NEAPOL/WIKIMEDIA COMMONS

Odkłamane imperium

Starożytni Persowie nie mają dobrej „prasy". Jako że historię piszą zwycięzcy, wyobrażenie na temat imperium Dariusza czy Kserksesa utrwalone zostało głównie z perspektywy Greków. Ciekawie skomentował ten problem George Rendel, szef Wydziału Wschodniego brytyjskiego Biura Spraw Zagranicznych. W 1934 r. trafiła do niego depesza, w której brytyjski dyplomata pracujący w ówczesnej Persji informował przełożonego, że władze tego kraju domagają się, by nie mówić już o Persji, tylko o Iranie. „Sądzę, że osobą ostatecznie odpowiedzialną za to jest Herodot, który, nie mogąc przewidzieć drażliwości współczesnych Persów, nie dość uprzejmie wypowiadał się o tym kraju" – napisał Rendel.

Jak zapamiętani zostali przez starożytnych Greków ich śmiertelni wrogowie ze wschodu? Jako barbarzyńska dzicz, sfora niewolników pędzonych batami przez siepaczy okrutnych despotów. Ci ostatni z kolei mieli być lubieżnymi szaleńcami. Tymczasem Lloyd Llewellyn-Jones przekonuje, że taki obraz daleki jest od prawdy. Imperium perskie za czasów Achemenidów (550–330 p.n.e.) było prężnie działającym państwem, na ówczesne standardy dosyć tolerancyjnym wobec podbijanych ludów (mieszkające tam kobiety na pewno miały więcej wolności niż obecne mieszkanki Iranu...). Weźmy choćby Cyrusa II Wielkiego, twórcę imperium perskiego, który uwolnił Żydów z niewoli babilońskiej, pozwolił im wrócić do Ziemi Obiecanej i wydał zgodę na odbudowanie Świątyni Jerozolimskiej. Jak podkreśla autor książki, w przeciwieństwie do nieprzychylnych greckich relacji „w Biblii Persowie są sługami bożymi, pomocnym i życzliwym supermocarstwem popierającym prawo Żydów do ojczyzny".

Negatywny obraz starożytnych Persów wyjaśnia częściowo to, że aż do początków XIX w. nikt nie miał dostępu do autentycznych źródeł pisanych z czasów Achemenidów. Ta książka przedstawia obraz dużo bardziej zniuansowany niż to, co przekazał potomnym m.in. Herodot. Przyglądamy się więc niezwykle ciekawemu pod względem kulturowym imperium, które w szczycie swojej potęgi obejmowało obszar większy niż to, co kiedykolwiek udało się zgromadzić Rzymowi. ©℗



LLOYD LLEWELLYN-JONES
„PERSOWIE. EPOKA WIELKICH KRÓLÓW"
REBIS

Piotr Włoczyk

Nie chciał być premierem

Ze wspomnień Jana Dębskiego, jednego z najważniejszych polityków PSL-Piast, najciekawsze są strony poświęcone dniom poprzedzającym przewrót majowy. Po upadku rządu Skrzyńskiego prezydent Wojciechowski zaproponował 36-letniemu Dębskiemu sformowanie rządu. „Trochę jak na premiera rządu za młody wiek, brak wystarczającej wiedzy ekonomicznej i praktyki w rządzeniu, a nie lęk przed odpowiedzialnością" – tak odpowiedział prezydentowi. Witos, szef PSL-Piast, przyjął odmowę Dębskiego z zadowoleniem, gdyż sam chciał być premierem. Dębski twierdził we wspomnieniach, że nakłaniał prezydenta, by wszystko jedno, kto do niego przyjdzie – tu wymień nazwisko Witosa – niech się nie godzi na utworzenie rządu centroprawicowego... Taki rząd, pod przewodnictwem Witosa, powstał, a kilka dni później marszałek Piłsudski ruszył z wiernymi mu wojskami na Warszawę... Dębski oceniał, że po maju 1926 r. „silny rząd przerodził się w samowolę i wzmożone prześladowania". Nie przeszkodziło mu to zostać wiceprezesem Ligi Morskiej i Kolonialnej kierowanej przez kolegę z dawnych lat, gen. Gustawa Orlicza-Dreszera. Dębski opisuje swoją działalność w Lidze. Współorganizował coroczne Święto Morza, prowadził rozmowy z delegatem Liberii w sprawie uzyskania przez Polskę koncesji na plantację kauczuku w Liberii. ©℗

(t.s.)



JAN DĘBSKI
„WSPOMNIENIA", CZ. I I II
MUZEUM HISTORII POLSKI

eprasa.pl 30d58088c7

Oficer w cieniu zagłady Warszawy

Biorąc pod uwagę nasycenie rynku publikacjami dotyczącymi Powstania Warszawskiego, wydawać by się mogło, że trudno będzie jakiemukolwiek autorowi zaprezentować jakieś nowe informacje dotyczące tego ciekawego, ale jakże tragicznego epizodu naszej historii. O dziwo ta sztuka udała się dr. Danielowi Koresiowi, który stosunkowo niedawno opublikował biografię płk. Józefa Szostaka, legionisty, piłsudczyka i szefa Oddziału III (operacyjnego) Komendy Głównej Armii Krajowej. Książka, której pierwsze słowa tytułu brzmią: „W cieniu wyroku na miasto…", choć opisuje wszystkie epizody z życia pułkownika, zawiera niezwykle szczegółowe informacje dotyczące genezy wydania owego „wyroku". Autor wprost z benedyktyńską starannością zrekonstruował proces decyzyjny, zestawiając ze sobą dzienniki, dokumenty, wspomnienia osób, które w nim brały udział.

Uczestnictwo Józefa Szostaka „Filipa" w tym przedsięwzięciu zostało zainaugurowane obecnością na spotkaniu 20 lipca 1944 r., na którym dwaj główni prący do wybuchu powstania oficerowie KG AK, gen. Tadeusz Pełczyński „Grzegorz" i gen. Leopold Okulicki „Kobra", odkryli przed nim karty, pytając go o warunki, które musiałyby zaistnieć, aby można było je wywołać. Niestety, bohater książki poddany próbie nie wyszedł z niej zwycięsko i dał się przekonać do poparcia irracjonalnego pomysłu swoich przełożonych. W ten sposób poprzez wyrażenie swojej aprobaty przyłożył on rękę do decyzji, która okazała się dla Warszawy i dla Polski tragiczna w skutkach. Jedyne, co można na usprawiedliwienie Szostaka powiedzieć, to to, że był on przekonany, iż powstanie ze względu na niewielki potencjał wojskowy strony polskiej będzie trwało krótko oraz winno wybuchnąć jak najpóźniej, a więc w sytuacji, kiedy oddziały sowieckie będą wkraczać do Warszawy.

Oczywiście dla Okulickiego i Pełczyńskiego nawet takie, skądinąd rozsądne i odpowiedzialne, stanowisko było swoistą herezją. Sposób myślenia „Kobry" domagającego się natychmiastowego zrywu po to, aby dostrzegł go Józef Stalin, obrazuje, z jakimi infantylnymi osobowościami w KG AK mieliśmy do czynienia. Przyszłemu dowódcy AK nawet do głowy nie przyszło, że armia, którą chciał witać jako gospodarz Polski, to armia wrogiego państwa, mająca za sobą rozbrojenia i wywózki do łagrów AK-owskich partyzantów. Ile trzeba było mieć w sobie kompletnej naiwności i ignorancji, aby w ogóle myśleć o bolszewikach jako o sojuszniku.

Trzeba jednak przyznać, że jedną z niewielu rzeczy, które się tandemowi „Kobra-Grzegorz" udały, było wymuszenie na gen. Tadeuszu Komorowskim „Borze" decyzji o wywołaniu powstania, choć uczynili to już bez udziału „Filipa" i innych oficerów sceptycznych wobec konceptu podejmowania walki bez nastania odpowiednich warunków zewnętrznych. Lektura pracy Daniela Koresia jest porażająca, ponieważ ukazuje, jak ludzie niemający zielonego pojęcia o mechanizmach funkcjonujących w świecie polityki, gdzie siła, a nie krew była zasadniczą walutą, odpowiednio ukierunkowywani przez politykiera, który objął funkcję premiera, byli w stanie sprowadzić na stolicę Polski potworny kataklizm. ©℗

Arkadiusz Karbowiak



DANIEL KOREŚ
„W CIENIU WYROKU NA MIASTO. PUŁKOWNIK DYPLOMOWANY JÓZEF SZOSTAK »FILIP« (1897–1984). BIOGRAFIA SZEFA ODDZIAŁU III KG AK"
WYDAWNICTWO WBH IM. K. SOSNKOWSKIEGO, IPN ODDZIAŁ WE WROCŁAWIU

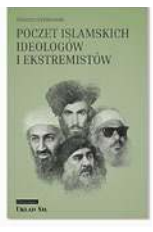
Dżihad bez końca

Religia pokoju" nie złożyła broni i nie złoży jej dopóty, dopóki wszyscy ludzie na ziemi nie wypowiedzą słów szahady, czyli muzułmańskiego wyznania wiary. Islam z samego swego założenia jest ekspansjonistyczny. Z państwami muzułmańskimi należy prowadzić dialog, lecz nie wolno przy tym zapominać o naturze religii, która za kształtem takiego państwa stoi. Obok tworzenia struktur państwowych islam sprawił, że powstawać zaczęły organizacje terrorystyczne, których powiązania z uznawanymi rządami są czasem mocno niejasne. O tym, jak działają te organizacje, a przede wszystkim kim są ludzie, którzy je tworzą, opowiada książka Sławosza Grześkowiaka.

Autor ukazuje sylwetki kilkudziesięciu islamskich przywódców i ideologów. Skąd się wzięli, jak działają i dlaczego zyskali posłuch wśród wyznawców Allacha? Prócz postaci znanych z pierwszych stron gazet, autor prezentuje również tych działających „z tylnego siedzenia", o których media na ogół milczą, a których wpływ na współczesny islam jest ogromny.

Książka ta jest też niezwykle ważna w kontekście wciąż poszerzających się wpływów islamu. Choć kolebką Al-Kaidy czy ISIS jest Bliski Wschód, to w ostatnich dekadach najwięcej nowych wyznawców Mahometa przybywa w Afryce. To tam narodziły się takie ruchy jak Boko Haram, które destabilizują zachodnią i północną Afrykę, a w konsekwencji zagrażają Europie.

©℗ ***Anna Szczepańska***



SŁAWOSZ GRZEŚKOWIAK
„POCZET ISLAMSKICH IDEOLOGÓW I EKSTREMISTÓW"
ZONA ZERO

eprasa.pl 30d58088c7



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Miły pokój

Król August III niedziel cztery łowami się bawił, ubito bardzo wiele zwierza: łosiów 106, niedźwiedzi 60, dzików 5, wilków 118, lisów 260. Oby takich królów wielki Bóg najwięcej dla Polaków opatrzył, którzy by ze zwierzętami wojowali, a obywatelów swojego kraju w miłym pokoju, jak Augustowie, zachowali". Powyższy zapis pochodzi z silva rerum Wojciecha Bagińskiego, dominikanina, żyjącego w Wilnie i zwyczajem powszechnym wśród ówczesnych obywateli Rzeczypospolitej dokumentującego swój żywot w domowej księdze; odnaleziona i opublikowana w połowie wieku XIX przez Eustachego Tyszkiewicza obejmuje ona solidny kawał czasu, lata 1747–1784, i stanowi trudne do przecenienia źródło wiedzy o przedrozbiorowym mentalu. (Dla porządku dodam, że tutaj cytuję ją za równie nieocenionymi zapiskami Mieczysława Grydzewskiego).

Ksiądz Bagiński, trzeba państwu wiedzieć, nie był przeciętnym człowiekiem swoich czasów, szlachciurą zajętym wyłącznie własnym podwórkiem – był intelektualistą i jego „sylwa", w przeciwieństwie do większości zachowanych dzieł tego rodzaju, nie ogranicza się do spraw gospodarskich i sąsiedzkich. Autor notuje też liczne lektury. Na przykład rok po cytowanej na wstępie relacji o królewskim polowaniu:

„W tym roku wydrukowana książka francuska pana de Real, w której między innymi ciekawościami jest i to: Mało jest fortec w Polsce, a król i Rzeczpospolita nie chowają prawie gotowego wojska; łacno zatem wnieść, iż państwo, które nie ma zgoła ani fortec, ani wojska, ani artylerii, ani pieniędzy, ani magazynów, zostaje na dyskrecji [tj. łasce] swych sąsiadów i koniecznie musi być podbite. Ten dzień nie jest podobno daleki i przyjdzie, skoro potencje sąsiedzkie zgodzą się na podział, który chcą uczynić".

Jeśli ktoś myśli, że zacny dominikanin zmądrzał pod wpływem tej francuskiej lektury (Grydzewski ustalił, że cytowaną przezeń książką było dzieło Gasparda Real de Curban „Science de gouvemement", wydane w Akwizgranie z datą 1751) i choć odrobinę ochłódł w zachwycie dla sarmackiej władzy, który ani od siebie, ani od obywateli nie wymaga niczego, całą energię poświęcając czajeniu się z flintą na łosie i pozostawiając „obywatelów" w miłym pokoju – to się grubo myli. Trudno pojąć, ale jedno z drugim zupełnie się facetowi nie styka, perspektywa niedalekiego i nieuchronnego rozbioru sarmackiej krainy przez sąsiadów nie niepokoi go ani trochę. Może przestrogi jakiegoś tam Francuza odnotował tylko jako kuriozum, ciekawostkę, i nie potraktował ich poważnie, może uznał, że przyszły upadek Rzeczypospolitej to godziwa cena „miłego pokoju" panującego w niej teraz – na tę drugą możliwość wskazywałyby jego późniejsze zapiski, z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego, na cytowanie których nie ma tu dość miejsca.

Ciało polskie po hekatombach dwóch wieków stało się chłopskie, ale dusza pozostała na wskroś szlachecka

Jak widać, kult „ciepłej wody w kranie" i brak instynktu państwowego, zdolnego wykroczyć ponad wspólnotę samozachwytu („Cóż jest szlachcic polski? Prawda, że jest wolnym, aż do zazdrości w innych krajach obywatelów, że jest najzacniejszym, w całej Europie szacownym, klejnotem szlachectwa zaszczyconym i zawsze zdatnym do najwyższych godności stopniów i berła") – ma bardzo, bardzo głębokie korzenie. Ciało polskie, po hekatombach dwóch wieków, stało się chłopskie, ale dusza pozostała na wskroś szlachecka. Pozwolą jednak państwo, że tropienie licznych tego przejawów i dowodów we współczesnej mediosferze pozostawię już wam. ©℗

eprasa.pl 30d58088c7

/ Felieton

Tylko bikiniarzy żal



Piotr Semka

Na YouTube pełno jest filmików z różnych faz istnienia PRL, które młodzi ludzie mogą mieć za swoistą kronikę dziwactw i śmieszności. Wskutek tej mody ogromną liczbę wyświetleń ma fragment „Polskiej Kroniki Filmowej" z kwietnia 1953 r. mający być uderzeniem w zjawisko bikiniarzy. Komentator PKF, któremu głosu użyczył sam Andrzej Łapicki, oburzonym tonem głosi: „Niech inni nudzą się w szkołach i biją rekordy na nowych budowach. Nas nikt nie nabije w butelkę. Karty, wódka, plugawe dowcipy i łobuzerskie wybryki to się nazywa »prawdziwe życie«".

Kronika zajmuje się następnie skandalicznym zjawiskiem układania fryzur w tzw. plerezę, zapuszczania baczków, noszenia krawatów w gołe „girlsy" i półbutów na pięciocentymetrowej „słoninie": „Bikiniarzy nie wystarczy lekceważyć. Trzeba ich otoczyć powszechną pogardą i pędzić precz". Jako praktyków tej swego rodzaju ofensywy antybikiniarskiej kronika filmowa przedstawia młodzież robotniczą z warszawskiego klubu Stal, która deklaruje: „Potrafimy sobie dać radę z bikiniarzami i bumelantami. Zrobimy z nich pośmiewisko całej młodzieży pracującej". Ten materiał „PKF" już w czasach, kiedy powstawał, był jednym wielkim absurdem. Do kin chodzono na seanse nawet po parę razy, aby dokładnie obejrzeć wszystkie elementy mody bikiniarskiej, tak wyśmiewanej przez autorów kroniki.

W tym sensie filmowy paszkwil miał charakter wręcz instruktażowy, szczególnie w mniejszych miastach, gdzie bikiniarza nie było łatwo spotkać na ulicy, tak jak w Warszawie. Poza tym absurdem była teza, że młodzież robotnicza miałaby gdzieś forum dla ośmieszania bikiniarzy. Bo – jak głosiła ówczesna kpiarska piosenka – „Bikiniarze to są ludzie tacy, co pier.... dyscyplinę pracy". Krótko mówiąc, bikiniarze nie chodzili do fabryk, by grzecznie stać przy tokarkach ze swoimi plerezami na głowie i kraciastymi marynarkami. Zazwyczaj zatrudnieni oni byli na jakimś fikcyjnym etacie, żyjąc ze sprzedawania biletów pod kinem czy angażując się w jakiś nielegalny handelek. Owszem, ZMP organizowało coś w rodzaju bojówek, które przy życzliwej obojętności milicji atakowały bikiniarskie spędy. Ale wielu bikiniarzy dobrze posługiwało się nożem sprężynowym i po paru takich próbach zetempowcy zorientowali się, że polowania na miłośników kolorowych skarpetek nie są zajęciem łatwym i bezpiecznym.

> W naturalny sposób bikiniarze **musieli zostać jedną z niewielu oaz oporu** wobec komunizmu

Zastanawiając się nad tym fenomenem lat 50., doszedłem do wniosku, że bikiniarze w naturalny sposób musieli zostać jedną z niewielu oaz oporu wobec komunizmu. W sytuacji, w której rozbito podziemie, zakazano istnienia PSL Mikołajczyka, już tylko demonstracja antysystemowości za pomocą stroju codziennego stawała się jedyną formą oporu. I to kłopotliwą dla władzy, bo mimo najszczerszych chęci zetempowscy hunwejbini nie byli w stanie wskazać przepisów karnych zabraniających noszenia butów na „słoninie" czy dziwnych kapeluszy. Aby ratować przekaz propagandowy, bikiniarzy na siłę utożsamiano z chuliganami i bumelantami. Zetempowcy musieli to robić, bo nawet im głupio było ogłaszać, że noszenie kolorowych marynarek jest przestępstwem z kodeksu karnego. Sprawę utrudniało jednak strażnikom ideowej czystości to, że wielu bikiniarzy wcale nie garnęło się do żadnych bójek, tylko po prostu w wąskich ramach prywatnego życia słuchało jazzu i na bazarze Różyckiego wyszukiwało zachodnich ciuchów, które przysyłali do kraju Polacy z Nowego Jorku czy Londynu.

Ostatecznie bikiniarstwo roztopiło się w tłumie, gdy po 1956 r. złagodzono ideologiczne wymogi. Gdy tylko warszawska ulica zrobiła się bardziej kolorowa i różnorodna, bikiniarze przestali być egzotycznym kwiatem wybijającym się w szarym PRL. Jednak ich kontestacja miała jakieś znaczenie. Pokazywała ona, że głos partii nie jest wszechmocnym imperatywem, przed którym każdy musi zginać kark. I mam do tej formy oporu wobec stalinizmu duży sentyment. Może dlatego, że sam pamiętam z biednawych lat stanu wojennego, ile hartu wymagało ubieranie się w sposób odcinający się od powszechnej szarzyzny. I dlatego zniknięcia bikiniarzy nieco mi żal. ©℗

eprasa.pl 30d58088c7



Egzekucja w Bydgoszczy FOT. WIKIPEDIA

1939 r. / 100 tys. polskich ofiar Niemców

Ludobójstwo Einsatzgruppen



Tomasz Stańczyk

Masowe mordowanie Polaków przez Niemców jesienią 1939 r. było „wprawką", praktycznym ćwiczeniem przed następnym zadaniem – eksterminacją polskich Żydów

Tydzień przed napaścią Niemiec na Polskę Adolf Hitler w pięknej alpejskiej scenerii w Obersalzbergu oświadczył swoim najbliższym współpracownikom, że celem wojny jest fizyczne zniszczenie wszystkich żywotnych sił Polski. Oznaczało to wymordowanie polskiej elity, wszystkich, którzy mogliby po likwidacji państwa polskiego organizować opór przeciw Niemcom. „Chodziło o zniszczenie tożsamości narodowej i przekształcenie społeczeństwa w bierną amorficzną masę, niezdolną do zorganizowanego działania, wyzyskiwaną dla celów realizowanych przez najeźdźcę" – wyjaśniała Maria Wardzyńska, autorka książki „Był rok 1939. Operacja niemieckiej policji bezpieczeństwa w Polsce. Intelligenzaktion".

Mniej żywych, mniejszy opór

Plan ten postanowiono zrealizować niezwłocznie. Zaraz za posuwającymi się w głąb Polski armiami Wehrmachtu wkraczały Einsatzgruppen – grupy operacyjne policji bezpieczeństwa. Ich celem było schwytanie, a potem rozstrzeliwanie lub deportowanie do obozów koncentracyjnych Polaków uznanych za organizatorów oporu, należących do warstw kierowniczych. Na pierwszy ogień (karabinowy) mieli pójść Polacy, którzy mieszkali na terenach przeznaczonych do przyłączenia do Niemiec: byli powstańcy śląscy, wielkopolscy, działacze plebiscytowi, członkowie Polskiego Związku Zachodniego, członkowie lokalnych elit. Przewidywano, że cywile będą organizować oddziały samoobrony i pomagać Wojsku Polskiemu. Włączono ich do grupy tych, których należało unieszkodliwić, a to oznaczało również zabić.

W sierpniu 1939 r. odbyła się w Berlinie narada dowódców oddziałów policyjnych przeznaczonych do akcji w Polsce. Lothar Beutel, dowódca Einsatzkommando, zeznawał: „Powiedziano nam, że w ramach zwalczania ruchu oporu i grup oporu dozwolone jest wszystko, a więc zarówno zastrzelenie, jak i aresztowania". W końcu września, na kolejnej naradzie, której przewodniczył Reinhard Heydrich, stwierdzono, że przyszły opór w okupowanej Polsce będzie mniejszy, jeśli możliwie mało członków polskiej inteligencji przeżyje. „Nie przypominam sobie natomiast – zeznawał Beutel – żeby na tej naradzie zostały wydane wprost rozkazy zabijania inteligencji. Ogólnie mówiło się o »zabezpieczeniu«. Jednak cel tego zabezpieczenia był przecież jasny, dzięki wspomnianej uwadze: im mniej żywych, tym mniejszy opór".

Einsatzgruppen wkraczające do Polski miały praktyczny przewodnik: list gończy (Sonderfahndungliste Polen),

eprasa.pl 30d58088c7



Egzekucja w Kórniku FOT. WIKIPEDIA



Egzekucja w Lesznie FOT. WIKIPEDIA

czyli wykaz nazwisk Polaków, których należało „unieszkodliwić". Został sporządzony przez Urząd Tajnej Policji Państwowej (gestapo) i specjalną komórkę do spraw polskich w Głównym Urzędzie Służby Bezpieczeństwa (SD) Rzeszy. Naturalnie korzystano w dużej mierze z informacji przekazywanych przez Niemców mieszkających w Polsce. Jesienią 1939 r. Sonderfahndungliste Polen została rozwinięta w Sonderfanhndugbuch Polen, czyli specjalną księgę gończą dla Polski. Ci, którzy trafili do tego spisu, mieli być albo od razu zamordowani, albo wysłani do obozów koncentracyjnych, co dla większości oznaczało wyrok śmierci. Jeżeli chodzi o polskich cywilów, którzy we wrześniu 1939 r. byli członkami oddziałów samoobrony, to część z nich ujęto w trakcie walk, a część została wskazana przez ich niemieckich sąsiadów.

Rozstrzeliwania w Wielkopolsce

Jesienią 1939 r. terroryzowano Polaków w Wielkopolsce i na Pomorzu poprzez publiczne egzekucje zakładników lub osób skazanych przez sądy doraźne policji. „Oprócz Polaków, spędzanych na publiczne egzekucje, przyjeżdżali, jak zeznawali świadkowie, przede wszystkim miejscowi Niemcy. Wyglądało to tak, jakby jechali »na radosną uroczystość«. W ten sposób opisał publiczną egzekucję młodego chłopaka oskarżonego przez volksdeutschów o podpalenie stodoły w gospodarstwie niemieckim proboszcz parafii Kosztowo" (M. Wardzyńska, „Był rok 1939…").

Polaków w Wielkopolsce miały zastraszyć i złamać wśród nich chęć jakiegokolwiek oporu publiczne rozstrzeliwania zarządzone przez Heydricha w październiku 1939 r w 14 miastach. „Nie tylko ustalono miejscowości, gdzie będą przeprowadzone egzekucje, lecz także określono minimalną liczbę ofiar" – pisała Magdalena Sierocińska w artykule „Trzy dni terroru. Pierwsze planowe masowe egzekucje w Wielkopolsce". Plan minimum wykonały oddziały Einsatzgruppen w Kórniku, zabijając 15 osób, nie zrealizowały go w Śremie, mordując 19 Polaków zamiast 25, normę przekroczono w Kostrzynie Wielkopolskim – minimum dla tego miasta wynosiło 20 osób do likwidacji, a rozstrzelano 27. Znajomi i sąsiedzi ofiar zmuszeni byli uczestniczyć w ich egzekucji. Szczególnie drastyczny przebieg miała egzekucja w Śremie. Na liście ofiar znalazł się Teofil Wolniewicz, były burmistrz Śremu. Z powodu choroby nie mógł chodzić. „Nie rozstrzelano go na rynku, lecz po rozprawie posadzono na wózek i przewieziono razem z ciałami zabitych na cmentarz. Wolniewicz, mimo że był starym i schorowanym człowiekiem, próbował uciekać. Czołgającego się na kolanach starca uśmiercono dwoma strzałami w tył głowy" (M. Sierocińska, „Trzy dni terroru…").

Wśród ofiar październikowych egzekucji byli oczywiście Polacy, których nazwiska umieszczono na niemieckich listach gończych. W Lesznie rozstrzelano m.in. Tomasza Wachowskiego, prezesa Związku Powstańców Wielkopolskich, i Mieczysława Opatnego, komendanta Straży Obywatelskiej, we wrześniu 1939 r. tymczasowego burmistrza miasta.

Egzekucje w 14 miastach Wielkopolski miały miejsce 20, 21 i 23 października, zostało wówczas zabitych 275 Polaków. Kilka dni później szef zarządu cywilnego przy zarządcy wojskowym w Poznaniu ubolewał, że liczba publicznych egzekucji, które należy uznać za absolutnie konieczne dla pacyfikacji, była „niestety tylko niewielka". Pocieszał się jednak, że „czekająca na osądzenie przez wprowadzony właśnie sąd specjalny duża liczba partyzantów itd. zostanie dla odstraszenia publicznie rozstrzelana". Niemiecki funkcjonariusz, pisząc o partyzantach, miał na myśli członków samoobrony we wrześniu 1939 r., którzy zgodnie z prawem międzynarodowym, umundurowani i z biało-czerwonymi opaskami, bronili swoich miejscowości.

Mordercy z Selbstschutzu

Wyjątkową zaciekłością i okrucieństwem, znęcaniem się nad ofiarami – swoimi polskimi sąsiadami i znajomymi – przed ich zamordowaniem odznaczali się członkowie Selbstschutzu. Byli to Niemcy mieszkający w Polsce. Według Johena Böhlera, autora książki „Najazd 1939", zamordowali oni jesienią 1939 r. (wraz z policjantami z Einsatzkommando lub samodzielnie) 40 tys. Polaków, najwięcej na Pomorzu i w Wielkopolsce.

Członkowie Selbstschutzu byli komendantami i funkcjonariuszami obozów w Karolewie i Radzimiu, istniejących do końca 1939 r. Włodzimierz Jastrzębski, autor książki „Terror i zbrodnia. Eksterminacja ludności polskiej i żydowskiej w rejencji bydgoskiej w latach 1939–1945", nazwał je pierwszymi obozami masowych straceń. „Więźniów doprowadzanych na teren każdego z wymienio-

eprasa.pl 30d58088c7



Egzekucja w Rudzkim Moście

FOT. WIKIPEDIA

nych obozów traktowano w sposób nieludzki. Bito, zmuszano do ciężkiej pracy i raz po raz zabierano na uciążliwe przesłuchania, nierzadko kończące się śmiercią katowanych. Funkcjonariusze Selbstschutzu z reguły znajdowali się pod wpływem alkoholu [...]. Oprócz tych sporadycznych, w sposób bestialski dokonywanych morderstw podstawową działalnością funkcjonariuszy obozów było codzienne i systematyczne rozstrzeliwanie więźniów. Tym sposobem zapewniano sobie dwa cele – doraźny, zapewniający większą przepustowość obozu, oraz długofalowy – pozwalający żywić nadzieję na szybką likwidację polskości na tym terenie (W. Jastrzębski, „Terror i zbrodnia...").

Niemcy z Selbstschutzu mordowali Polaków, nie tylko strzelając do nich, lecz także uderzając kijami lub łopatami w głowę. „Zdarzały się nawet wypadki odrąbywania głów łopatami. Przykładem szczególnego barbarzyństwa było zadeptanie na śmierć 14-letniego ucznia II klasy gimnazjum w Więcborsku SPR, Kwiatkowskiego, przez grupę Niemców, m.in. Marquardta Bartscha i Willego Blankerta" (D. Steyer, „Eksterminacja ludności polskiej na Pomorzu Gdańskim 1939–1945").

Harry S., Niemiec z Wielkopolski, zeznawał: „Ludzie przeznaczeni do rozstrzelania musieli ustawić się przed odpowiednią liczbą członków Selbstschutzu. Zabiliśmy ich, oddając strzał w potylicę [...]". O kolejnej egzekucji mówił: „Cała akcja została zarządzona przez powiatowego dowódcę Selbstschutzu Köpenicka. Znów sporządziliśmy listy z nazwiskami ofiar przekazane następnie Köpenickowi. Na podstawie tych list zarządzono następnie rozstrzelanie tych osób. Wszyscy straceni wtedy ludzie przebywali wcześniej w więzieniu sądowym w Łobżenicy" (J. Böhler, „Najazd 1939").

Pomorskie lasy we krwi

„Pomorskim Katyniem" nazywany jest Las Piaśnicki niedaleko Wejherowa.

W końcu września na naradzie, której przewodniczył Reinhard Heydrich, stwierdzono, że im mniej polskiej inteligencji przeżyje, tym mniejszy będzie opór Polaków

Egzekucje w tym miejscu rozpoczęły się w październiku 1939 r. Elżbieta Ellwart znalazła się tam, nie przeczytawszy tablicy zabraniającej wejścia na jego teren. „Zobaczyłam zwłoki wiszącego na drzewie księdza Bolesława Witkowskiego, proboszcza z Mechowej [...]. Spostrzegłam też pod innym drzewem dwóch mężczyzn w białych koszulach, czarnych spodniach i butach z cholewami oraz czarnej furażerce. Jeden z nich trzymał dziecko, może dwuletnie, rozdzierał je, a potem kilkakrotnie uderzał główką o drzewo [...]. Zobaczyłam świeżo rozkopany, prostokątny dół, a w nim wielu zabitych" (B. Bojarska, „Piaśnica").

Władysław Sasinowski, autor pierwszej książki o zbrodni w Piaśnicy, pisał, że 20 proc. zwłok nie miało śladów postrzałów, natomiast miały pęknięte czaszki. Zwłoki Edwarda Łakomego, wójta gminy Wejherowo, miały złamaną rękę i żebra. W Lesie Piaśnickim zamordowano co najmniej 6 tys. Polaków.

W Lesie Szpęgawskim zamordowano co najmniej 2 tys. Polaków, wśród nich nauczycieli i księży – duchownych wymieniał Heydrich jako jednych z pierwszych do zamordowania – oraz pacjentów szpitala psychiatrycznego w Kocborowie.

3 września 1939 r. do wycofujących się przez Bydgoszcz polskich oddziałów oddano strzały. Nie jest jasne, czy strzelali niemieccy dywersanci czy też nie. Są na ten temat diametralnie rozbieżne opinie. W każdym razie prawdziwa czy domniemana rebelia została stłumiona przez polskich żołnierzy. Zabici zostali Niemcy. Wydarzenie to, nazwane przez niemiecką propagandę „krwawą niedzielą bydgoską", spowodowało masowe mordy na Polakach. Był to jednak tylko pretekst. Decyzja o wymordowaniu polskich elit, także tych z Bydgoszczy, została bowiem podjęta przed wybuchem wojny.

Gdyby w Bydgoszczy nie zginął ani jeden Niemiec, i tak zamordowano by tych, których uznano za wrogów Rzeszy, potencjalnych przywódców polskiego ruchu oporu. Gdy do miasta wkroczyło wojsko niemieckie, na Starym Rynku rozstrzelano kilkuset Polaków. Kolejnych zabijano w miejscu nazwanym „fordońską Doliną Śmierci". Nie jest znana liczba ofiar zamordowanych w tym miejscu.

W „chojnickiej Dolinie Śmierci" członkowie Selbstschutzu zamordowali ok. 500 Polaków, głównie z lokalnej inteligencji oraz pacjentów szpitala psychiatrycznego w Chojnicach.

Bilans niemieckiej zbrodni „Intelligenzaktion", której wykonawcami byli policjanci z Einsatzgruppen i członkowie Volksdeutscher Selbstschutz, to ok. 100 tys. Polaków zamordowanych od razu jesienią 1939 r. lub zabitych i zmarłych w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Mordowanie Polaków przez członków Einsatzgruppen było wprawką, praktycznym ćwiczeniem przed następnym zadaniem – eksterminacją polskich Żydów po tym, jak Niemcy zajęli latem 1941 r. wschodnie ziemie II Rzeczypospolitej okupowane przez ZSRS. A także Żydów na terenach Związku Sowieckiego opanowanych przez Wehrmacht. Jesienią 1939 r. policjanci z Einsatzgruppen i Niemcy z Selbstschutzu zabijali także Żydów, ale była to – jeśli można to tak nazwać – działalność poboczna. Najpierw trzeba było złamać Polaków, a dopiero potem zajęto się „ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jeśli przy cytacie nie podano źródła, to pochodzi on z książki Jochena Böhlera, Klausa-Michaela Mallmana, Jürgena Matthäusa „Einsatzgruppen w Polsce".

eprasa.pl 30d58088c7

Już 18 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 30d58088c7

Październik 1854 r. / Wojna krymska

Szaleńcza szarża pod Bałakławą



Richard Caton Woodwille „Szarża pod Bałakławą FOT. NATIONAL ARMY MUSEUM/WIKIMEDIA COMMONS



Grzegorz Janiszewski

Brytyjska Lekka Brygada wbrew regulaminom i zdrowemu rozsądkowi zdobyła baterię rosyjskich dział, pędząc 2,5 km pod ogniem armat i muszkietów. Ten bohaterski wyczyn był jednocześnie jednym z głupszych ataków w historii kawalerii. Mimo tego dla Brytyjczyków do dziś jest powodem do dumy

Wojna krymska była przedsięwzięciem mocno ryzykownym. Wydawało się, że morski desant Brytyjczyków, Francuzów i Turków, który wylądował na Krymie we wrześniu 1854 r., szybko zostanie zmieciony do morza przez przeważające rosyjskie siły. Ewentualnie wciągnięty w głąb i unicestwiony na przepastnym terytorium Rosji, zupełnie jak Wielka Armia Napoleona 40 lat wcześniej. Jednak Rosja okazała się kolosem na glinianych nogach. Kluczową rolę odegrało dostarczane drogą morską zaopatrzenie dla sprzymierzonych.

Mały port w Bałakławie na Krymie stał się główną bazą przeładunkową, przez którą przewijały się tysiące statków. W osadzie szybko powstawały magazyny z bronią, ze sprzętem, z amunicją i żywnością. Do oblężonego Sewastopola prowadziła stamtąd jedna wąska i kręta droga, nieustannie zakorkowana wozami. Wraz z jesiennymi deszczami zmieniła się w grzęzawisko. Rosyjski dowódca na Krymie, gen. Aleksandr Mienszykow, wiedział o tych słabościach i czekał na posiłki, ściągające z innych stron imperium. W październiku postanowił odciąć sojuszników od dostaw. Losy wojny dosłownie wisiały na cienkich liniach zaopatrzenia przechodzących przez Bałakławę.

Doliną czy górą?

Dowodzący siłami brytyjskimi gen. FitzRoy Somerset lord Raglan, zaczynał karierę wojskową 40 lat wcześniej pod lordem Wellingtonem. Pod Waterloo stracił prawą rękę. Zdawał sobie sprawę ze słabości tej drogi zaopatrzenia i rosyjskich przygotowań do jej przerwania. Obronę Bałakławy powierzył gen. Colinowi Campbellowi – doświadczonemu dowódcy Brygady Szkockiej. Ten postanowił oprzeć się o teren. Żeby dostać się do Bałakławy, trzeba było przejść przez dwie doliny: północną i południową. Od północy dostęp do nich zamykały Góry Fieduchina, a między dolinami rozciągało się pasmo Wzgórz Nasypowych. Teren był poprzecinany licznymi parowami i nierównościami, utrudniając działania

eprasa.pl 30d58088c7



Fragment mapy Krymu z Bałakławą FOT.WIKIMEDIA COMMONS

walczącej w ciasnych szykach piechocie i kanalizując ruch kawalerii.

Campbell rozmieścił pierwszą linię obrony na Wzgórzach Nasypowych. Zbudowano tam pięć słabych redut obsadzonych tureckimi artylerzystami, z siedmioma brytyjskimi 12-funtowymi działami okrętowymi. Do pomocy były dwa bataliony tureckiej piechoty. Za nimi, w wiosce Kadikoi i na wzgórzu Hiblak, czekały brytyjsko-turecki drugi rzut i odwody. Razem ok. 3 tys. piechoty. Ruchomym odwodem była brytyjska Dywizja Kawalerii, zamykająca od zachodu Dolinę Południową. Dywizja liczyła ok. 1,5 tys. ułanów, huzarów i dragonów wchodzących w skład dwóch brygad – Lekkiej i Ciężkiej – oraz baterię konnej artylerii. Dowódcy byli już dobrze po pięćdziesiątce. Dywizją dowodził gen. George Charles Bingham hrabia Lucan. Ciężką Brygadą – gen. James York Scarlett, a Lekką – gen. James Brudenell hrabia Cardigan. Swoje pozycje zajmowali dzięki arystokratycznemu pochodzeniu i pieniądzom. Tylko Bingham miał doświadczenie bojowe wyniesione z wojny rosyjsko-tureckiej kilkanaście lat wcześniej.

Plan Raglana opierał się na założeniu, że siły te powstrzymają Rosjan do czasu przybycia dwóch dywizji spod Sewastopola, co miało zająć do trzech godzin. Rosjanie w okolicach miasteczka Czogruń skoncentrowali znaczne siły – ponad 23 tys. żołnierzy i 78 dział pod dowództwem gen. Pawła Liprandiego. Jego głównym zadaniem było zdobycie tureckich baterii na Wzgórzach Nasypowych, a potem wyjście na dogodną pozycję do ostrzału statków w zatoce. W dalszych planach było odblokowanie Sewastopola i wypchnięcie pozbawionych zaopatrzenia sprzymierzonych z półwyspu.

Przed świtem 25 października trzy rosyjskie kolumny przekroczyły Czarną Rzekę i wyszły na pozycje tureckiej 1. baterii na Wzgórzach Nasypowych. Anglicy byli przygotowani. O nadchodzącym ataku uprzedzili ich szpiedzy i polscy marynarze dezerterzy. Rosjan przywitała salwa artylerii, ale 45. Azowski Pułk Piechoty natarciem na bagnety wyparł Turków z reduty po ciężkiej walce. Widząc to, obsada pozostałych uciekła. Liprandi uznał, że pierwsza część planu została zrealizowana, i kazał przerwać działania. To dało czas Dywizji Kawalerii na przygotowania do ataku. Lord Raglan zaczął też ściągać na miejsce posiłki.

Cienka czerwona linia

Około godz. 8.30 przez Dolinę Północną powoli zaczęła się posuwać rosyjska kawaleria gen. Ryżowa. Jedyne, co mógł jej przeciwstawić Raglan, to zbieranina złożona z żołnierzy 93. Pułku Górali Szkockich, kilkuset Turków i grupy ozdrowieńców przybyłych z Bałakławy. Zresztą kiedy Rosjanie zaczęli strzelać z armat, większość Turków uciekła. Ingermanlandzcy Huzarzy przeszli przez Wzgórza Nasypowe i posuwając się w poprzek Doliny Południowej, zbliżyli się na jakieś 800 metrów, kiedy dowodzący gen. Campbell kazał swoim góralom rozstawić się w podwójnej linii na szczycie wzgórza przed wioską Kadikoi. Atak kawalerii powinien być zgodnie z regulaminem odparty w czworoboku, ale wtedy strzelałaby tylko jedna czwarta żołnierzy. Campbell zdawał sobie sprawę z ryzyka, krzycząc do swoich żołnierzy, stojących w czerwonych kurtkach z bagnetami na muszkietach: „Pamiętajcie, chłopcy! Stąd nie ma odwrotu! Albo ich zatrzymacie, albo zginiecie tam, gdzie stoicie!”. Anglicy wystrzelili z ok. 500 metrów. Dołączyły do nich armaty. Kilka kolejnych salw Szkotów powstrzymało rozpędzonych Rosjan.

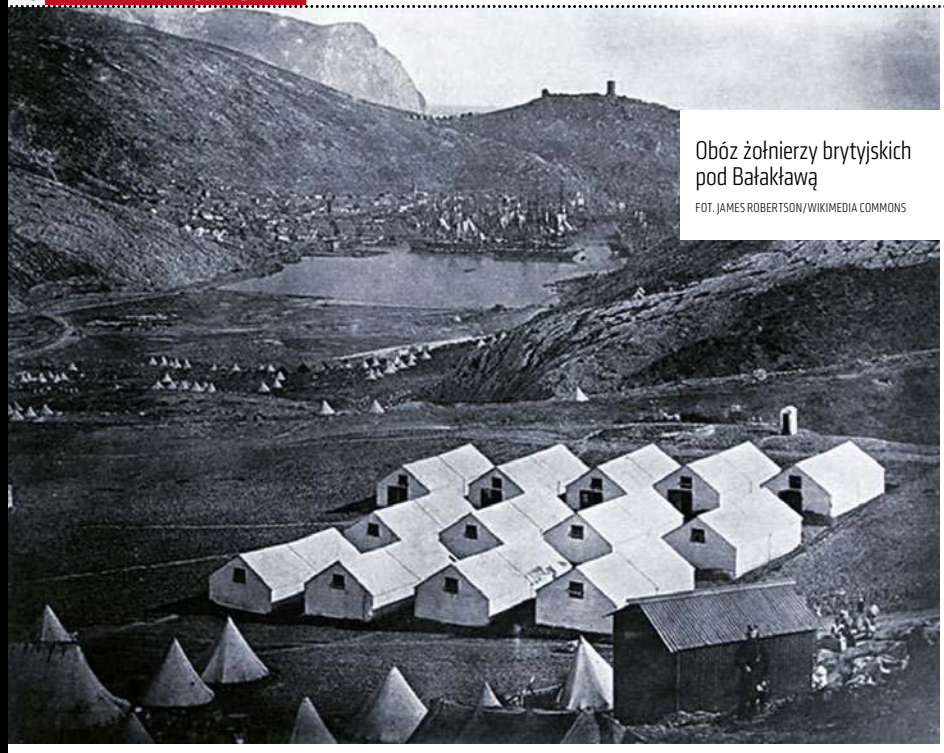
Korespondent wojenny William Russel tak opisał to starcie dla „Timesa”: „Rosyjska kawaleria szarżowała przez dolinę prosto na tę cienką, czerwoną linię, połyskującą stalą”. Sformułowanie to stało się później synonimem bohaterstwa i wyszkolenia brytyjskich żołnierzy, a na owej cienkiej linii utrzymywanej często szczupłymi siłami wisiały losy imperium. Tak naprawdę jednak sytuację uratowały gwintowane muszkiety Anglików i używane w nich kule Minié, które pozwoliły na rozstrzelanie z dystansu rosyjskich huzarów. Campbell zamiast statycznego płotu z bagnetów postawił na dynamiczną kulę i wygrał.

W sieci pomyłek

Widząc przebieg starcia, dowódcy doszli do przeciwnych wniosków. Liprandi uznał, że Szkoci nie stawaliby tak dzielnie, gdyby w pobliżu nie było silnych posiłków. Trzeba więc było przełamać pozycje słabszej brytyjskiej kawalerii atakiem własnej jazdy. Raglan z kolei uważał, że główny atak piechoty na ludzi Campbella dopiero nastąpi, a rosyjska kawaleria prowadziła tylko działania osłonowe. Dlatego kazał Ciężkiej Brygadzie „wesprzeć chwiejących się Turków”, którzy w rzeczywistości dawno już uciekli z pola bitwy.

Rosyjski atak zaskoczył Ciężką Brygadę w trakcie przegrupowania. Mniej liczebna zostałaby zmieciona, ale Rosjanie zatrzymali się przed terenowym zagłębieniem i zaczęli poprawiać szyki. Brytyjczycy natychmiast to wykorzystali, atakując. Przeciwnik nie dał się zepchnąć, a starcie szybko zamieniło się w statyczną młóckę. Anglicy swoimi szablami i pałaszami nie byli w stanie przeciąć grubych rosyjskich płaszczy. Rosyjskie szable zsuwały się z kolei po brytyjskich kaskach. Wkrótce zapanował taki ścisk, że walczono na pięści i kolby pistoletów, a zabici trzymali się w siodłach, zamiast spaść pod kopyta koni. Po 10 minutach walkę rozstrzygnęły dwa pułki dragonów, wysłane na rosyjskie prawe skrzydło. Skoordynowane ataki zmusiły Rosjan do ucieczki. W tym czasie Cardigan ze swoją brygadą stał bezczynnie, obserwując starcie.

eprasa.pl 30d58088c7



Obóz żołnierzy brytyjskich pod Bałakławą

FOT. JAMES ROBERTSON/WIKIMEDIA COMMONS



Około godz. 9.40 bitwa była w zasadzie skończona. Rosjanie nie mieli szans kontynuować natarcia, zwłaszcza w obliczu nadchodzących dwóch dywizji piechoty sprzymierzonych. Na drodze do ogłoszenia pełnego triumfu stała jednak przeszkoda. Brytyjskie armaty na Wzgórzach Nasypowych były w rękach Rosjan. Lord Raglan, przywiązany do zasad Wellingtona, nie mógł pozwolić na ich utratę. Jego mentor nigdy nie stracił nawet jednego działa. Ze swojej pozycji na wzgórzu Sapun dobrze widział, jak kozacy manewrują zaprzęgami wokół zdobytych redut. Kazał swojemu kwatermistrzowi, gen. Richardowi Aireyowi, dać rozkaz odbicia dział. Airey sformułował trzy rozkazy posłane do Dywizji Kawalerii. Lucan nie ruszał się, czekając na obiecaną piechotę. W końcu zniecierpliwiony Raglan kazał sformułować czwarty rozkaz: „Lord Raglan życzy sobie, aby kawaleria szybko zaatakowała znajdującego się przed nią przeciwnika i nie pozwoliła mu wywieźć armat".

Lucan dostał rozkaz, ale niezbyt go rozumiał. Nie widział pozycji, na których stały armaty, bo przesłaniały je wzgórza. Widoczna była natomiast bateria kozaków u wlotu do Doliny Północnej. Zapytał gońca, który przywiózł rozkaz, kpt. Lewisa Nolana, o jakie działa chodzi. Arogancki Nolan, który uważał Lucana i Cardigana za wojskowych ignorantów, niecierpliwie machnął ręką w kierunku Doliny Północnej, naciskając na jak najszybsze rozpoczęcie ataku. Lucan przekazał rozkaz Cardiganowi. Ten odparł, że Rosjanie w dolinie mają kilka baterii artylerii osłanianych przez piechotę. Nolan powiedział wtedy coś tak obraźliwego, że Cardigan obiecał mu, że jeśli przeżyje, to odda go pod sąd. Kłótnię przerwał Lucan, każąc wypełnić rozkaz Raglana. Cardigan odpowiedział tylko: „No i szlag nas wszystkich trafił", a następnie ruszył przeglądać szyki przed atakiem. Jeden z żołnierzy 17. pułku ułanów siedział na koniu w poplamionym krwią fartuchu. Ułan na wieść o bitwie porzucił obowiązki w wojskowej rzeźni w Bałakławie i stawił się do szyku, żeby „przetrzepać Ruskich". Dowódca uśmiechnął się i kazał mu tylko „bić się jak czart".

Szarża „żywych trupów"

O godz. 11.20 padł rozkaz do wymarszu. Na czele Lekkiej Brygady jechał Cardigan. Jak wspominał później ułan Whiteman, był on „wyprostowany jak w kościele". Do przebycia mieli ok. 2,5 km. Jedyną szansą była szybkość, więc jeźdźcy zaraz przeszli do kłusu. Dobrze wyszkoleni rosyjscy artylerzyści natychmiast otworzyli ogień ze Wzgórz Nasypowych i Fieduchina. Najpierw strzelali szrapnelami i kulami, a kiedy odległość pozwoliła, otworzyli ogień również z kartaczy. Wtedy Nolan prawdopodobnie zorientował się, że Lekka Brygada jedzie po niewłaściwe armaty. Ruszył więc przed frontem w kierunku Cardigana, krzycząc: „W prawo" i machając szablą, ale zaraz zginął od wybuchu szrapnela. Cardigan, zły na Nolana, kompletnie to zignorował. Lekka brygada jechała dalej, wpadając pod ogień stojących na wprost ośmiu armat baterii dońskich kozaków. Ciężka Brygada jechała za nią, ale kiedy od ognia Rosjan padł kpt. Charteris, jadący obok Lucan kazał ją zatrzymać. W Lekkiej padła komenda: „Szable w dłoń", a ułani pod gradem pocisków nadlatujących z trzech stron przeszli do galopu, łamiąc przy tym szyk. Nic już nie było ich w stanie zatrzymać.

Szarża zmieniła się w wyścig. Kapitan Arthur Tremayne z 13. pułku lekkich dragonów słyszał, jak któryś z jego żołnierzy w pełnym pędzie krzyczał do towarzyszy, „żeby nie dali się wyprzedzić tym bękartom z siedemnastego". W tym czasie ułani z tego pułku, mającego w insygniach martwą głowę, krzyczeli: „Naprzód, trupie czaszki!". Nie było to dalekie od prawdy. Koń sierżanta Talbota przez 30 metrów niósł jego ciało pozbawione głowy wybuchem szrapnela. W szyku jechało wiele martwych korpusów, utrzymywanych w siodłach tylko skurczami mięśni ud i łydek. Jak po bitwie opisywał szer. William Pennington z 11. Pułku Huzarów: „Widok zgruchotanego przez pocisk ramienia, krwawiącego i zwisającego na ścięgnach, które

eprasa.pl 30d58088c7



Robert Gibb „Cienka czerwona linia"
FOT. NATIONAL WAR MUSEUM OF SCOTLAND/WIKIMEDIA COMMONS

ciągle utrzymywały je w stawie, albo mózgów wylewających się ze strzaskanych czaszek nawet w spokojniejszej sytuacji byłby wstrząsający i okropny".

Pierwsza linia znalazła się tuż przed ustawionymi w poprzek doliny działami. Rosyjscy artylerzyści oddali ostatnią salwę z kartaczy, zmiatając pierwszy szereg Brytyjczyków, nie byli jednak w stanie zatrzymać następnych. Cardigan pierwszy wjechał między armaty i zaczął ciąć szablą. O mało co nie doszło wtedy do prawdziwej rzezi. Kilkadziesiąt metrów za baterią stało sześć kompanii 1. Uralskiego Pułku Kozaków, gotowych do jej obrony. Kozacy rozstrzelaliby nacierających Anglików, ale widząc wyłaniające się z kłębów prochowego dymu pyski rozjuszonych koni z pędzącymi na ich grzbietach ułanami w rogatych kaskach na głowach i z lancami w dłoniach, spanikowali i zaczęli uciekać.

Pociągnęli za sobą stojącą za nimi całą, liczącą ok. 2 tys. jeźdźców brygadę huzarów, którzy uciekali z pola bitwy, gromko krzycząc „Hura!". Przegoniło ich ok. 20 ocalałych brytyjskich ułanów pod dowództwem kpt. Morrisa, którzy przedarli się do armat w pierwszej linii. Za nimi nadciągali huzarzy z 11. pułku, którzy zdążyli jeszcze odpędzić próbujących kontratakować rosyjskich kawalerzystów. Cardigan został otoczony przez kozaków, którzy zaczęli kłuć go spisami. Uratował go rosyjski generał i polski renegat książę Leon Radziwiłł, oferując kozakom za znanego mu osobiście Cardigana duży okup. Generał w zamieszaniu wymknął się na tyły, zostawiając swoich wciąż walczących kawalerzystów.

Rosjanie gromadzili się teraz przy akwedukcie nad Czarną Rzeką. Wkrótce dowódcy zdołali zaprowadzić porządek w szykach. Rosyjscy huzarzy i kozacy rozpoczęli kontratak przeciw zdziesiątkowanym Anglikom. Liprandi pchnął na nich jeszcze trzy szwadrony z 2. Zbiorczego Marszowego Pułku Ułanów, które miały odciąć im drogę odwrotu. Rosjanie odzyskali inicjatywę.

Brytyjczyków uratowali lord Paget i ppłk Shewell z 8. Pułku Huzarów. Zdołali pozbierać grupę niedobitków, z którymi przebili się przez rosyjskich ułanów. Na powracających czyhały ustawione na Wzgórzach Nasypowych rosyjskie baterie. Na szczęście dla Anglików gen. Alonville ze swoimi Afrykańskimi Szasерami wypędził rosyjskich artylerzystów ze Wzgórz Fieduchina.



Lord Cardigan (James Thomas Brudenell)
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

W końcu niedobitki dotarły na pozycje Ciężkiej Brygady. Dragoni witali ich wiwatami i oklaskami. Pistoletowymi strzałami dobijano ciężko ranne konie. Ogłoszono zbiórkę, na której doliczono się 195 żołnierzy. Prawie 500 zostało więc zabitych, ciężko rannych, wciąż przedzierało się do swoich albo dostało się do niewoli. Cardigan najpierw oskarżył kpt. Nolana o to, że uciekał z pola bitwy, „krzycząc jak kobieta", a potem wykrzyknął przed szykiem swoich żołnierzy: „Ludzie, to był szalony podstęp, ale nie moja wina". Jakiś huzar odpowiedział mu: „Nieważne, mój lordzie, możemy to powtórzyć".

Klęska sukcesem

Wieści o bitwie pod Bałakławą, dzięki brytyjskim korespondentom wojennym, szybko dotarły do Londynu, a szarża została uznana za wielki sukces. W istocie finalne straty nie okazały się tak wielkie. Lekka Brygada straciła 113 żołnierzy, 247 było rannych, a 15 zaginionych. Rosjan poległo 238, natomiast 312 było rannych. Brygada dalej walczyła na Krymie, a Cardigan po powrocie do Anglii był fetowany jak bohater. Lord Alfred Tennyson napisał poemat „Szarża Lekkiej Brygady", w którym opiewał kawalerzystów „gnających w Dolinę Śmierci". Do dzisiaj zresztą dla Anglików bitwa jest przykładem poświęcenia i chwały żołnierzy, a nie głupoty i niekompetencji ich dowódców.

W istocie jej rezultat pokazał świetne wyszkolenie brytyjskich kawalerzystów. Podobne „zwycięstwa" dawały dowódcom – często wywodzącym się z arystokracji miłośnikom koni – asumpt do utrzymywania w europejskich armiach jednostek kawalerii aż do pierwszej wojny światowej. Za co drogo płacili szeregowi huzarzy, ułani i dragoni.

Po bitwie pozostały też inne pamiątki. Męski sweter noszony przez opromienionego sławą dowódcę Lekkiej Brygady nazywany jest kardiganem, a kominiarka, zakładana podczas wojny krymskiej przez nieprzywykłych do wschodnich mrozów Anglików – balaklawą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 30d58088c7

Proteza generała Sowińskiego



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

W zbiorach Muzeum Wojska Polskiego znajduje się wiele pamiątek osobistych związanych z zasłużonymi Polakami. Jest wśród nich proteza nogi gen. Józefa Sowińskiego

Sowiński był absolwentem stanisławowskiej Szkoły Rycerskiej. Stopień oficerski uzyskał w czasie insurekcji kościuszkowskiej. W 1799 r. wstąpił do wojska pruskiego. W jego szeregach odznaczył się w kampanii przeciwko Napoleonowi w 1807 r.; za bitwę pod Pruską Iławą otrzymał najwyższe odznaczenie – order „Pour le Mérite" („Za Zasługę"). W 1811 r. wstąpił do armii Księstwa Warszawskiego. W wojnie 1812 r. dowodził artylerią 16. Dywizji. Pod Borodino rosyjska kula armatnia urwała Sowińskiemu nogę. Za dzielną postawę w tej bitwie nagrodzono go Orderem Virtuti Militari i Legią Honorową. Dostał się do niewoli w momencie odwrotu armii napoleońskiej. Zwolniono go z niej w 1813 r. dzięki wstawiennictwu księcia pruskiego Alberta, pamiętającego Polaka jeszcze z dawnej służby. Po powrocie do kraju Sowiński zamówił w 1814 r. drewnianą protezę nogi. Fryderyk Billing, rzemieślnik działający na warszawskim Podwalu, „wygotował mu nogę kunsztowną, która nie tylko że kalectwo mniey widocznem czyni, lecz w chodzeniu miejsce naturalney zastępuje", o czym szczęśliwy nabywca poinformował w liście zamieszczonym w „Gazecie Warszawskiej".



Proteza, która znajduje się w Muzeum Wojska Polskiego, została podarowana do zbiorów w 1922 r. Ma formę drewnianego leja do osadzenia kikuta, połączonego z ruchomą podporą, która dzięki zawiasowej konstrukcji umożliwia odpowiednie ustawienie i zablokowanie jej w dwóch pozycjach.

Kaleki weteran musiał zrezygnować ze służby liniowej w armii Królestwa Polskiego, utworzonej w 1815 r. Mianowano go komendantem Szkoły Aplikacyjnej kształcącej oficerów. Sowiński był przeciwny wybuchowi powstania listopadowego, ale ostatecznie zgłosił swój akces i w przededniu szturmu na Warszawę otrzymał dowództwo obrony reduty na Woli. Zginął 6 września 1831 r. zakłuty rosyjskimi bagnetami. Jego ciała nie odnaleziono.

W zbiorach muzeum zachowała się odręczna notatka z 1929 r., sporządzona przez dyrektora, płk. Bronisława Gembarzewskiego, w której informował, że według relacji Władysława Lipczyńskiego, prawnuka po kądzieli Sowińskiego, drewnianą nogę zabrał z pobojowiska rosyjski oficer i odesłał ją wdowie po generale. Protezę przechowywano we dworze w Pniówku na Zamojszczyźnie, należącym do kuzynostwa Sowińskiego; budynek spłonął tuż przed pierwszą wojną światową. Być może cenną pamiątkę ocalono z pożogi. Niewykluczone jednak, że przedmiot z muzeum to jedna z kilku protez zrobionych przez Billinga, których Sowiński używał zamiennie. ©℗



Sowiecki Maxim

W chwili wybuchu wojny z Niemcami w czerwcu 1941 r. Armia Czerwona miała 76,3 tys. cekaemów Maxima. Część pamiętała jeszcze kampanie z lat 1914–1917 i wojnę domową, pozostałe pochodziły z bieżącej produkcji. „Barbarossa" okazał się dla Rosjan katastrofą; kadrowa armia przestała praktycznie istnieć, a straty w sprzęcie były niewyobrażalne i objęły m.in. 54,7 tys. cekaemów. Mimo trudności początkowego okresu wojny i konieczności ewakuacji wytwórni w Tule już w 1942 r. Rosjanie wyprodukowali przeszło 55 tys. maximów, a do końca wojny kilkaset tysięcy. Poza Tułą karabiny tego systemu dostarczane były Armii Czerwonej także z Iżewska, gdzie ich wytwarzanie uruchomiono w fabryce motocykli. Najbardziej zauważalną wojenną modyfikacją był nowy wlewnik chłodnicy, umożliwiający napełnianie jej śniegiem i lodem. Powszechnie przyjmuje się, że rozwiązanie to skopiowano od Finów (Maxim M32/33), choć Rosjanie wspominają, że nad podobnym rozwiązaniem zastanawiano się w ZSRS już w latach 20. (jakoś go jednak nie wprowadzili...). Zrezygnowano z celowników optycznych, wprowadzonych w latach 30. (przyczyną najpewniej była ich ślamazarna produkcja), a podstawy produkowano bez wsporników do ich mocowania. Zastosowano uproszczony celownik ramieniowy z pojedynczą podziałką do 2,7 tys. m, zaczęto także stosować aluminiowe donośniki zamiast mosiężnych. ©℗

eprasa.pl 30d58088c7

Miotacze ognia na Pacyfiku



W trakcie walk przeciwko Japończykom miotacze ognia były często jedynym sposobem na zniszczenie umocnionych punktów oporu. Od 1944 r. organizowano w dywizjach grupy niszczycieli bunkrów; liczyły do 25 ludzi, a w ich składzie znajdowały się zazwyczaj dwa miotacze oraz żołnierze z erkaemami i bazookami. Najliczniej stosowaną wersją był plecakowy M1A1. Składał się z 2 cylindrycznych zbiorników z mieszaniną zapalającą, butli ze sprężonym azotem, węża ze wzmocnionego kauczuku, prądownicy z butlą z wodorem, wyposażonej w mechanizm spustowy oraz elektryczny układ zapłonowy. Całość ważyła ok. 30 kg. Sprężony azot poprzez reduktor i zawór zwrotny dostawał się do butli z mieszaniną, tłoczył ją do węża wyposażonego w zawór. Po naciśnięciu spustu zawór się otwierał i mieszanka wydostawała się na zewnątrz. Na wylocie prądownicy zapalał ją płonący wodór powodowany elektrycznym zapłonem. Ilość mieszanki zapalającej pozwalała na osiem–dziewięć sekund ciągłego ognia. ©℗

Grumman TBF Avenger

Ten pokładowy samolot torpedowo-bombowy uznawany jest za jedną z najbardziej udanych maszyn drugiej wojny światowej. Wszedł do służby w 1942 r. i pomimo niezbyt udanego debiutu w bitwie pod Midway szybko wykazał się nadspodziewaną skutecznością (głównie w roli klasycznego bombowca). Był to całkowicie metalowy średniopłat o chowanym podwoziu i trzyosobowej załodze składającej się z pilota, bombardiera i radiooperatora. Napęd stanowił gwiazdowy silnik Wright Cyclone o mocy 1900 KM. Avenger dysponował solidnym uzbrojeniem ofensywnym w postaci trzech kaemów kal. 12,7 mm i jednego kal. 7,62 mm; mógł zabierać 900 kg ładunku ofensywnego (torpedy, bomby, rakiety, bomby głębinowe). Jak większość amerykańskich samolotów wyróżniał się solidną budową i dużą odpornością na uszkodzenia. Powstało kilkadziesiąt wariantów. Avengerów używali także Brytyjczycy i Nowozelandczycy. Samolotem tym latał m.in. George W. Bush, przyszły prezydent USA. Na zdjęciu: maszyna eksponowana na lotniskowcu USS „Midway”. ©℗



eprasa.pl 30d58088c7



Piotr Zychowicz

1941 r. / Ponury zwiastun Holokaustu w Galicji

Krew na ulicach Lwowa

W 1941 r. doszło do pogromu lwowskich Żydów. Zorganizowali go ukraińscy nacjonaliści

Jeden z Ukraińców wbił mi się w pamięć. W pięknie wyszywanej koszuli, elegancko ubrany mężczyzna upodobał sobie naszą grupę. Bił laską okutą żelazem. Z czasem usystematyzował bicie, a mianowicie bił tylko po głowie. Każdym uderzeniem laski odrywał płaty skóry. Kilku ludziom wybił oczy, poodrywał im uszy. W końcu laska się złamała. Długo się nie namyślając, chwycił na pół zwęgloną szczapę drzewa i uderzył nią po głowie mego sąsiada. Czaszka pękła i mózg, rozbryzgując się na wszystkie strony, ochlapał mi twarz i ubranie".

To fragment relacji Kurta Lewina. Żyda, który miał wiele szczęścia. Udało mu się bowiem przeżyć pogrom we Lwowie w 1941 r. Doszło do niego, gdy z miasta w popłochu uciekła Armia Czerwo-na, a w jej miejsce wkroczył triumfujący Wehrmacht.

Ulice Lwowa stały się areną mrożących krew w żyłach odpychających scen. Miejska tłuszcza rzuciła się na żydowskich sąsiadów. Niewinni ludzie byli lżeni, katowani i zabijani. Z młodych kobiet zdzierano ubrania i zbiorowo je gwałcono.

Aktom przemocy towarzyszyły grabieże. Tłum wdzierał się do mieszkań i sklepów. Rabowano wszystko, co wpadło w ręce: biżuterię, gotówkę, pierzyny, przedmioty codziennego użytku, meble i żywność. Wnętrza domów były demolowane, wybijano szyby. Zdarzało się, że zrzucano ludzi z balkonów i okien.

Jak ujął to historyk John-Paul Himka, pogrom przybrał obraz makabrycznego karnawału. Kolejnym aktom przemocy towarzyszyły aplauz i wrzaski rozemocjonowanego motłochu. Okrucieństwo i bezwzględność oprawców były szokujące.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 30d58088c7



FOT. YAD VASHEM PHOTO COLLECTION/WIKIMEDIA COMMONS

Oto część makabrycznych praktyk, którym poddawano Żydów we Lwowie:

– czołganie się po ulicach przez 3 km;

– zbieranie gołymi rękami szkła z potłuczonych szyb;

– czyszczenie latryn własną garderobą;

– zbieranie końskiego łajna do kapelusza i wkładanie na głowę;

– biczowanie przewodami elektrycznymi pod napięciem;

– sprzątanie nieczystości z ulic samymi ustami – bez użycia rąk;

– topienie w basenie kąpielowym;

– wyrywanie pejsów i bród;

– szorowanie chodnika szczotkami do zębów i chusteczkami;

– kopanie w brzuch ciężarnych kobiet, aby poroniły.

Znakomity historyk John-Paul Himka pisał o „chłopaku zbudowanym jak Herkules", który tłukł 12-letnią Żydówkę łańcuchem po głowie. Innej młodej dziewczynie wsadzono gumową pałkę do pochwy i kazano maszerować przez miasto. Ludziom łamano ręce i nogi. Rozbijano głowy pałkami. Łamano nosy. Dźgano nożami. Obrażenia ofiar były makabryczne. Ludzie byli cali zalani krwią.

Dlaczego na ulicach Lwowa doszło do eksplozji takiej drastycznej przemocy? Dramatyczny łańcuch wydarzeń rozpoczął się przed wkroczeniem Niemców. Gdy niemiecka armia zaczęła się zbliżać do miasta, miejscowe NKWD wykonało zbrodniczy rozkaz zawarty w tajnym telegramie Ławrientija Berii z 24 czerwca 1941 r.

Na terenie trzech lwowskich więzień – na Zamarstynowie, w Brygidkach i przy ulicy Łąckiego – bolszewicka bezpieka wymordowała więźniów politycznych. Nieszczęsne ofiary zostały rozstrzelane. Wiele z nich wcześniej czekiści poddawali bestialskim torturom. Ciała były straszliwie oszpecone i okaleczone. Gdy Sowieci uciekli z miasta, mieszkańcy Lwowa, bojąc się o swoich bliskich, weszli na teren więzień.

Widok, który ukazał się ich oczom, był przerażający. Dziedzińce więzienne były zasłane stosami zakrwawionych, zmasakrowanych trupów. Dziesiątki, setki ciał. Było gorąco i wiele z nich znajdowało się w stanie daleko posuniętego rozkładu. W więzieniach panował straszliwy fetor, nad zamordowanymi unosiły się roje tłustych much. Kolejne ciała ofiar bolszewickiego terroru znaleziono w celach, na korytarzach i podziemiach.

Makabryczne odkrycie wywołało szok wśród lwowiaków. 30 czerwca 1941 r. do miasta wkroczyły jednostki Wehrmachtu. Na ulice wyległy rozentuzjazmowane tłumy Ukraińców i Polaków, którzy witali Niemców. Kończył się horror sowieckiego panowania! W przybyszach z Zachodu widziano jeszcze wówczas wyzwolicieli.

Cywile natychmiast zaprowadzili niemieckich żołnierzy do więzień. Przed bramami zaczęły się zbierać wzburzone masy ludzi. Cywilów i wojskowych. Członkowie rodzin zamordowanych rozpoznawali swoich bliskich. Towarzyszyły temu krzyk i płacz. Emocje tłumu sięgnęły zenitu. Jeszcze tego samego dnia zaczęły się akty przemocy wobec Żydów.

Pogrom nie wybuchł jednak spontanicznie. Zainicjowali go współpracujący z Niemcami ukraińscy nacjonaliści. Natychmiast po wkroczeniu do Lwowa OUN stworzyła bowiem milicję porządkową. W jej skład weszli młodzi ukraińscy mężczyźni – na ogół sympatycy OUN – uzbrojeni w pałki. Na ramionach mieli niebiesko-żółte opaski.

To oni skierowali się do żydowskich domów i zaczęli wypędzać ich mieszkańców. Żydzi zostali uformowani w kolumny marszowe i poprowadzeni do więzień. Po drodze byli bici pałkami. Zarówno przez milicjantów, jak i uzbrojoną w kije, sztachety i trzepaczki do dywanów miejską hołotę.

Po przybyciu na więzienne dziedzińce rozpoczęły się makabryczne rytuały. Żydom rozdano łopaty i kazano im zakopywać ciała pomordowanych przez NKWD. Wcześniej Żydówki zostały zmuszone do mycia trupów mokrymi chusteczkami, całowania rozkładających się zwłok.

Wszystko to odbywało się w akompaniamencie szyderstw i wyzwisk tłumu. Wśród kopiących byli starsi ludzie – jeżeli któryś z nich opadał z sił, sypały się na niego ciosy. Sytuacja eskalowała. Ukraińscy milicjanci, cywile i Niemcy zaczęli spontanicznie mordować Żydów.

Rozległy się pierwsze strzały. Ciała zamordowanych zwalano w narożnikach dziedzińców. Tuż obok ciał ofiar NKWD. Dalsze zabójstwa powstrzymali przybyli na miejsce niemieccy oficerowie. „W końcu nie jesteśmy bolszewikami!" – powiedział jeden z nich.

Inicjatywa jednego porządnego człowieka nie mogła jednak powstrzymać pogromu, który w kolejnych godzinach rozlał się na całe miasto. Szedł przez Lwów jak nieubłagana fala. Na kolejnych ulicach, podwórkach i skwerach wybuchały gwałtowne tumulty. Padali kolejni zabici i ranni. Apogeum pogrom osiągnął 1 lipca 1941 r.

Według cytowanego już Johna-Paula Himki rozkład ról w czasie pogromu był następujący:

1. Niemieckie władze bezpieczeństwa dały przyzwolenie na pogrom i do niego zachęciły.

2. Ukraińscy milicjanci z OUN zainicjowali pogrom, spędzając Żydów do więzień i zmuszając ich do zakopywania ciał.

3. Miejska tłuszcza ochoczo podłączyła się do bicia Żydów.

Do sporadycznych ataków na Żydów na ulicach Lwowa dochodziło przez kilka dni po wkroczeniu Niemców. A 25 i 26 lipca nastąpiła kolejna eksplozja ulicznej przemocy na wielką skalę. Kierowany przez ukraińskich milicjantów motłoch znowu rzucił się do bicia, grabienia i mordowania sąsiadów.

Pogrom ten został nazwany Dniami Petlury. Według ukraińskich nacjonalistów bicie Żydów miało być krwawym odwetem za zamordowanie przywódcy URL Semena Petlury w Paryżu w 1926 r. Zamachowcem był Żyd – Szlomo Schwarcbard. Najprawdopodobniej agent GPU.

Pogromy, do których doszło we Lwowie w 1941 r., były ponurym zwiastunem Holokaustu, który w kolejnych latach miał pochłonąć żydowską ludność Galicji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 30d58088c7

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

W KAMPANII FRANCUSKIEJ WALCZYŁY TYSIĄCE POLSKICH ŻOŁNIERZY, W TYM 2. DYWIZJA STRZELCÓW PIESZYCH POD DOWÓDZTWEM GEN. BRONISŁAWA PRUGAR-KETLINGA, DZIAŁAJĄCA W RAMACH 45. KORPUSU GEN. MARIUSA DAILLE'A. DYWIZJA BRAŁA UDZIAŁ W WALKACH W POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ FRANCJI, BLISKO GRANICY SZWAJCARSKIEJ. ROZMOWY NA TEMAT ICH INTERNOWANIA PROWADZIŁ CHARGÉ D'AFFAIRES POSELSTWA POLSKIEGO W BERNIE – ALEKSANDER ŁADOŚ.



PONAD 12 TYSIĘCY POLSKICH ŻOŁNIERZY PRZEKROCZYŁO GRANICĘ FRANCUSKO-SZWAJCARSKĄ W NOCY Z 19 NA 20 CZERWCA 1940 ROKU. W POCZĄTKOWEJ FAZIE ROZPROSZONO ICH PO TERENIE KRAJU, KWATERUJĄC GŁÓWNIE W SZKOŁACH, BUDYNKACH GMINNYCH CZY HOTELACH. JEDNOCZEŚNIE ORGANIZOWANO I BUDOWANO DLA NICH OBOZY.



WPROWADZONO REGULAMIN, KTÓRY REGULOWAŁ STOSUNKI POMIĘDZY INTERNOWANYMI, A LUDNOŚCIĄ CYWILNĄ. ZAKŁADAŁ ON MIĘDZY INNYMI ZAKAZ DOSTARCZANIA POLSKIM ŻOŁNIERZOM UBRAŃ CYWILNYCH ORAZ PIENIĘDZY. INTERNOWANI NIE MOGLI BEZ SPECJALNEGO ZEZWOLENIA: ,,UCZĘSZCZAĆ DO MIESZKAŃ PRYWATNYCH; UCZĘSZCZAĆ DO RESTAURACJI, KIN, TEATRÓW, NA ZAWODY LUB TEŻ INNE IMPREZY PUBLICZNE; UŻYWAĆ ROWERÓW''. NIE WOLNO BYŁO RÓWNIEŻ ZAWIERAĆ ZWIĄZKÓW MAŁŻEŃSKICH. POLACY MOGLI NATOMIAST UCZYĆ SIĘ I STUDIOWAĆ, Z CZEGO WIELU SKORZYSTAŁO.



WIĘKSZOŚĆ INTERNOWANYCH PRACOWAŁA PRZY BUDOWIE DRÓG, NAZYWANYCH OBECNIE W SZWAJCARII ,,POLENWEGE''. SZACUJE SIĘ, ŻE WYBUDOWALI ONI OKOŁO 300 KM NOWYCH DRÓG ORAZ PRZEBUDOWALI I WYREMONTOWALI 200 KM JUŻ ISTNIEJĄCYCH. DO TEGO ZAJMOWALI SIĘ REGULACJĄ RZEK, BUDOWĄ KANAŁÓW I WODOCIĄGÓW, BUDOWĄ MOSTÓW, A TAKŻE PRACĄ W ROLNICTWIE I GÓRNICTWIE.



PO ZAKOŃCZENIU WOJNY, ZGODNIE Z KONWENCJĄ HASKĄ, WŁADZE SZWAJCARII ZDECYDOWAŁY O WYDALENIU INTERNOWANYCH ŻOŁNIERZY. ICH WYJAZD TRWAŁ OD MAJA DO GRUDNIA 1945 ROKU. OKOŁO 2 TYSIĄCE WRÓCIŁO DO POLSKI, JEDNAK WIĘKSZOŚĆ – ZDAJĄC SOBIE SPRAWĘ Z SYTUACJI POLITYCZNEJ W KRAJU – WYBRAŁA FRANCJĘ, USA CZY AUSTRALIĘ. CZĘŚĆ POZOSTAŁA W SZWAJCARII.

DO DZIŚ PAMIĘĆ O POLSKICH ŻOŁNIERZACH JEST ŻYWA. O ICH POBYCIE W SZWAJCARII PRZYPOMINAJĄ LICZNE MIEJSCA PAMIĘCI, A TAKŻE MUZEUM POLSKIE W RAPPERSWILU.



eprasa.pl 30d58088c7

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

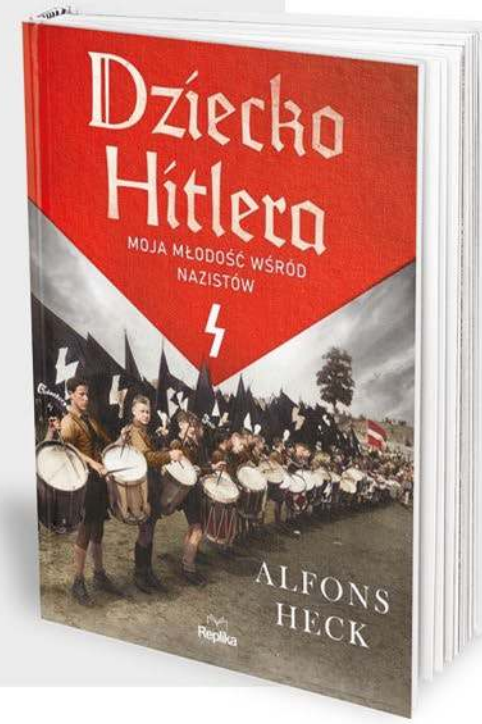
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ALFONS HECK: „DZIECKO HITLERA. MOJA MŁODOŚĆ WŚRÓD NAZISTÓW”

Dziecko Hitlera. Moja młodość wśród nazistów

Hitlerjugend – młodzi, ufni, wierni... Narodowy socjalizm miał być dla nich rajem. Okazało się, że zstępują do piekła.

Alfons Heck miał dziesięć lat, gdy wyruszył na norymberski Reichsparteitag – doroczny uroczysty wiec narodowych socjalistów przypominający ogromną mszę ku czci Führera. Jako członek Jungvolku, młodszej sekcji Hitlerjugend, wraz z tysiącami zafascynowanych młodych ludzi słuchał przemowy swego najwyższego przywódcy, boga nowego ładu świata, Adolfa Hitlera: "Wy, moja młodzieży" – krzyczał i wydawało mi się, że wbija oczy prosto we mnie – "jesteście dla narodu najcenniejszą gwarancją wspaniałej przyszłości". (...) Nie mieliśmy żadnych szans. Od tej chwili byłem duszą i ciałem oddany Adolfowi Hitlerowi.

Uderzająco szczera relacja chłopca, którego pochłonęły idee narodowego socjalizmu. Maszerując razem z nim w szeregach Hitlerjugend, poznajemy ukrytą stronę nazizmu, o której niewiele się pisze. Bardzo nieliczni, zapaleni niegdyś członkowie organizacji młodych nazistów, publicznie opowiadali o tamtych latach i swojej fascynacji hitleryzmem. Niniejsza książka pokazuje, jak wyglądało ich życie w tamtych czasach; kim byli, w co wierzyli i dlaczego dokonywali takich a nie innych wyborów.



142 zł

oszczędność 46 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

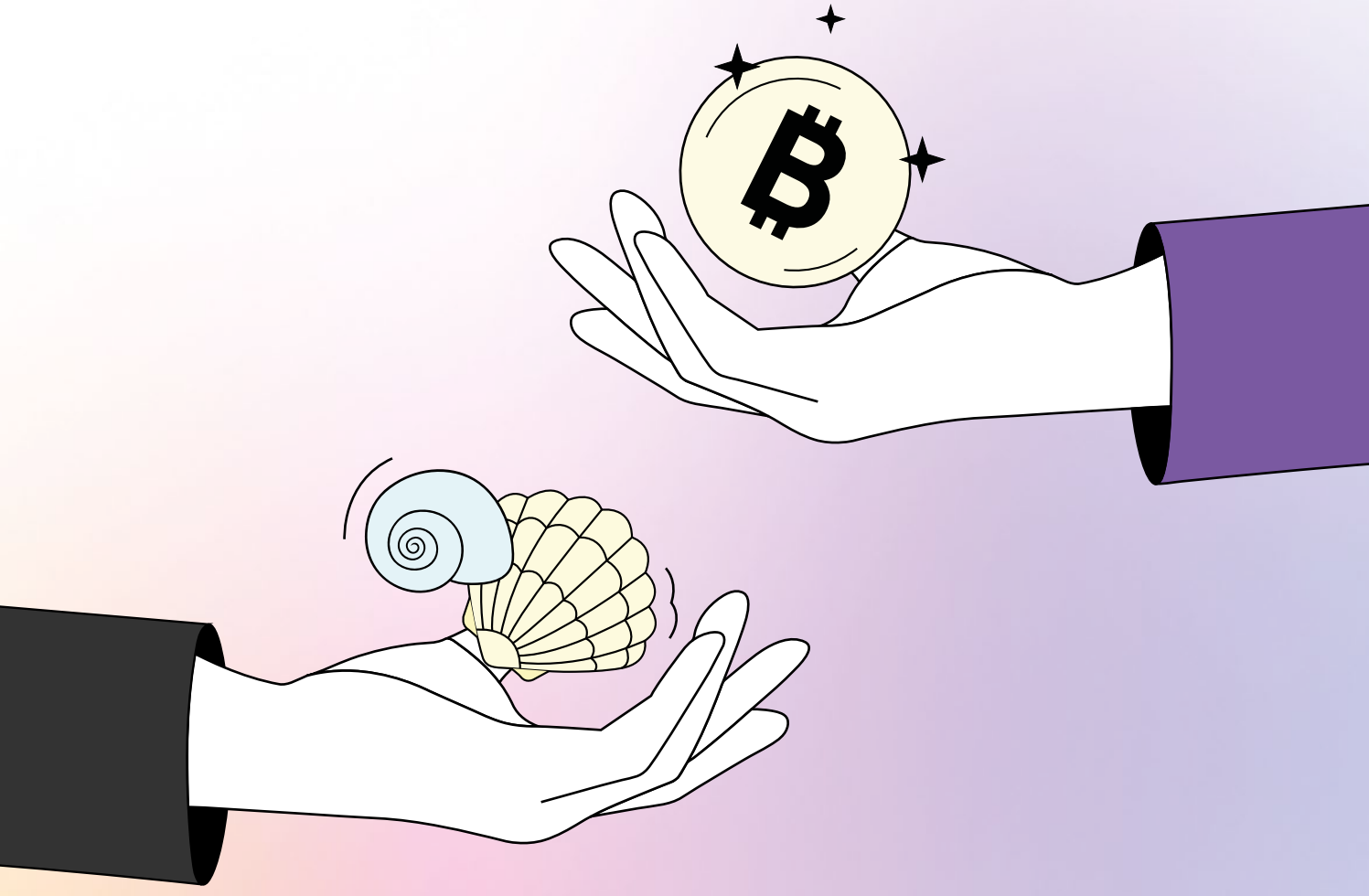
JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 30d58088c7

Kiedyś muszle.
Dziś coiny.

Nie przegap przyszłości finansów.



zondacrypto

Trade tomorrow, today

zondacrypto.com

eprasa.pl 30d58088c7